KWARTALNIK ARTYSTYCZNY
KUJAWY I POMORZE
1/2025
125
ROK XXXII

ALEKSANDER FIUT 6 Podróżna świata
CARL SANDBURG 8 Trawa • Zupa
9 Jak bardzo? • Chicago
w przekładzie Andrzeja Szuby

MIASTA SZTUKI: TRIEST/TRIESTE/TRST

MAREK KĘDZIERSKI 12 ***
PAWEŁ MADEJ 15 Amfiteatr triesteński
NADINE CELOTTI 19 Mój kilometr (mentalny) Triestu
przełożył Marek Kędzierski
ALEKSANDRA NOSALSKA 27 Na tropach Penelopy. W Trieście
LILIAN FASCHINGER 40 Triest i Habsburgowie
przełożył Marek Kędzierski
47 Triest 2024 impresje
Fotografie Marka Kędzierskiego
i Artura Szlosarka
z IVANĄ SOBAN 63 Przemilczane historie. Triest słoweński
rozmawia MAREK KĘDZIERSKI
z ALESSANDREM ROSADĄ 77 Sztuki piękne. Galleria Torbandena
rozmawia ALEKSANDRA NOSALSKA „W innym mieście nie byłoby to możliwe…"
MAREK KĘDZIERSKI 82 Życiorysy (z) początku wieku

KRZYSZTOF LISOWSKI 97 To • Nad światem
98 Po filmie *Tintoretto*
99 Może już wtedy przeszłaś na stronę Etrusków
100 Ryba
ARTUR SZLOSAREK 101 *Paradiso terrestre* (*glossa*)
102 Równia pochyła (medytacja)
104 Krynica, Zdrój – Rytro (na Lido)
PIOTR MOSSAKOWSKI 106 Wanna
ADRIANA SZYMAŃSKA 112 Przypowieść z uśmiechem
113 Przypowieść urodzinowa
114 Serenada z przesyłką • Na pamięć
ANNA PIWKOWSKA 116 Zabiłam w locie Albatrosa
117 Koniec świata szwoleżerów • Soboość
118 Sonet z wykręconą żarówką
119 Podwójność

PIOTR SOBOLCZYK 121 Napolitana
SAMANTHA KITSCH 128 *only sky* [tryptyk]
ZBIGNIEW DMITROCA 132 Don Kichot • Śmierć gawrona
134 Oda
135 Opoka epoki

VARIA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI 136 Widnoksiąg (18)
STEFAN CHWIN 142 Dziennik 2025
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI 151 Komora (13)
PIOTR SZEWC 161 Z powodu i bez powodu (76)
ARTUR SZLOSAREK 164 Notatki do zapomnianych podróży (22)
ANDRZEJ ZAWADA 168 Dziennik lektur (4)

RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH

PAWEŁ TAŃSKI 175 Ile kosztuje was poezja?
BELLA SZWARCMAN-CZARNOTA 178 Śladami trzydziestu sześciu ukrytych cadyków
KAZIMIERZ BRAKONIECKI 185 O Międzymorzu
MARTA TOMCZOK 189 Słów nie ma
ALEKSANDER FIUT 190 „Pani od obrazków"
ANDRZEJ ZAWADA 196 „Mistykę trzeba robić"
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI 200 Gabinet lektury
208 Okiem Skorpiona
Nigdy bym się nie ożenił
z Marią Konopnicką

NOTY O AUTORACH 213
BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO" 216
NOWE KSIĄŻKI 220

Dnia 22 stycznia 2025 roku zmarła w Gdańsku

Śp.

Renata Gorczyńska

eseistka, tłumaczka

R.I.P.

Żegnamy Renatę Gorczyńską, eseistkę, tłumaczkę i autorkę zdjęć, przyjaciółkę Czesława Miłosza, jego rozmówczynię i egzegetkę. W rozmowie nazwał ją intelektualistką i jest to chyba najlepsze określenie, obejmujące jej liczne prace, zainteresowania i ich skalę. Spotykaliśmy się w Warszawie, Toruniu, Bydgoszczy, Gdyni, powstawały plany i projekty. Była dociekliwa, otwarta na propozycje, rozszerzająca je i solidna w wykonaniu, które spełniała w szerokim zakresie i na wysokości. Renato, odpoczywaj w pokoju i od czasu do czasu patrz także w naszą stronę.

Renatę Gorczyńską wspomina Aleksander Fiut. I dalej: wiersze Carla Sandburga w przekładzie Andrzeja Szuby, wiersze Krzysztofa Lisowskiego, Artura Szlosarka, Adriany Szymańskiej, Anny Piwkowskiej, Samanthy Kitsch i Zbigniewa Dmitrocy, proza Piotra Mossakowskiego i Piotra Sobolczyka, a w *Variach* między innymi teksty Kazimierza Brakonieckiego, Stefana Chwina, Piotra Szewca, Artura Szlosarka i Andrzeja Zawady.

W drugim odcinku „Miast sztuki" wyruszamy nad Adriatyk, do Triestu, miasta artystów, w którym wiele lat mieszkał i pisał James Joyce. W bloku znajdują się szkice i rozmowy Marka Kędzierskiego, Pawła Madeja, Nadine Celotti, Aleksandry Nosalskiej, Liliany Faschinger, Ivany Soban, Alessandra Rosady i wiele zdjęć.

W dziale *Recenzji i not* między innymi ostatnią książkę Leszka Szarugi omawia Kazimierz Brakoniecki, wraca Skorpion i znowu możemy patrzeć jego chłodnym i przenikliwym wzrokiem, rozpoczyna się cykl „Gabinet lektury".

Zachęcamy i zapraszamy!

Krzysztof Myszkowski

ALEKSANDER FIUT

Podróżna świata

Nie potrafię sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach poznałem Renatę Gorczyńską. Spotykaliśmy się kilka razy w różnych miejscach i przy rozmaitych okazjach. Ostatni raz w Gdyni, gdzie zamieszkała pod koniec życia. Poniewczasie żałuję, że spotykaliśmy się tak rzadko, choć łączyła nas serdeczna więź. Podziwiałem jej życiową energię, wewnętrzny impet, który nią władał i pomagał jej mierzyć się z życiowymi, nierzadko tragicznymi perypetiami, bystrą inteligencję, ale także bezpośredniość, serdeczność i zabarwione ironią i autoironią poczucie humoru.

Była wyjątkowo uzdolniona. Z łatwością odnajdywała się w rozmaitych rolach: dziennikarki radiowej, dokumentalistki, tłumaczki poezji, badaczki literatury, reportażystki, eseistki i fotografki artystycznej. A przekładała wiersze nie byle jakich poetów: Czesława Miłosza i Adama Zagajewskiego. Chodziła śladami Juliana Tuwima po Nowym Jorku oraz opisywała spotkania za oceanem z Josifem Brodskim. Pisała o podróży Witolda Gombrowicza i Czesława Straszewicza do Argentyny oraz o korespondencji tego pierwszego z Jerzym Wittlinem. Nade wszystko – prowadziła niezwykle ciekawe rozmowy z tak wybitnymi osobami, jak między innymi Czesław Miłosz, Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc, Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Jan Lebenstein, Zbigniew Herbert oraz Adam Zagajewski. W wywiadach za każdym razem umiała trafić we właściwy ton, zdobyć zaufanie i skłonić do zwierzeń. Świadoma stawianych sobie wymagań, we wstępie do rozmów z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim zwróciła uwagę, że: „Wywiady z pisarzami wielkiego kalibru są dla dziennikarza karkołomnym zadaniem. Bardzo łatwo wpaść w ton pochlebczy albo – ze strachu – słuchać z nabożeństwem ich wywodów, milczeniem pokrywając własne niedostatki umysłu. Toteż trzeba natychmiast wytworzyć taką intensywność rozmowy, żeby nagle w jej trakcie poczęła się ujawniać jakaś podszewka rzeczy".

Dla mnie pierwszą i najważniejszą lekturą z książek Renaty były jej rozmowy z Czesławem Miłoszem w grudniu 1979 roku, wydane w 1983 w książce *Podróżny*

świata. Znakomicie znając twórczość noblisty, miała odwagę zapytać go o to, jaka była owa „podszewka rzeczy" w jego pisarstwie. Czyli: kiedy powstał dany wiersz, kto jest pierwowzorem portretowanego bohatera, skąd autor czerpał wzory do kreślonych krajobrazów, co oznaczają zawarte w tekście aluzje literackie czy malarskie. Dla miłoszologów ta książka oraz zbiór esejów Renaty zatytułowany skromnie *Małe miłosziana* są cennym źródłem informacji.

Kiedy mieszkała w Paryżu przy rue de Seine, zaciekawili ją „sąsiedzi z przeszłości". Przesiadywała w bibliotekach, wertując rozmaite źródła, by więcej dowiedzieć się o mieszkańcach tej ulicy. Dzięki temu powstały wyraziste portrety między innymi postaci tak mało znanych i barwnych, jak Raymond Duncan, brat słynnej tancerki Isadory, który po stolicy Francji paradował odziany w chiton i nawiązywał do tradycji starożytnej Grecji, zakładając popularną wówczas Akademię oraz podparyską komunę. Tłem tych fascynujących peregrynacji w czasie obecnym i przeszłym jest ciągle nieuchwytny w swej istocie Paryż, miasto przechodzące zdumiewające metamorfozy. Z kolei *Szkice portugalskie* można uznać tyleż za jej prywatne itinerarium, co swego rodzaju przewodnik po kraju, który dokładnie zwiedziła, przeżywając rozmaite, nieraz zabawne przygody. We wstępie do tych *Szkiców* wyznawała: „Kiedy stanęłam na litej skale Przylądka Świętego Wincentego, najbardziej na południowy wschód wysuniętego skrawka kontynentu, o mało nie zwiał mnie wiatr. Sześćdziesięciometrowe klify spadają tam do wiecznie wzburzonego Atlantyku. W miejscu tym, nazywanym »końcem świata«, podziwiałam odwagę portugalskich żeglarzy i odkrywców pokonujących tysiąc mil morskich żywiołu budzącego moją nabożną bojaźń. Oddawałam w myślach hołd fenomenalnym szkutnikom, którzy przemieniali lasy w karawele, i budowniczym przekuwającym skały w warownie. Paradoksalnie, to tam właśnie poczułam się w pełni Europejką".

Jak widać, przyjaciele, co wspomniała z właściwym sobie humorem, nie bez powodu przezwali ją „latawicą". Bo też ciekawość ludzi i głód wrażeń wiodły ją przez miasta i kraje, małe ojczyzny i kontynenty, współczesność i daleką przeszłość. Z tych wędrówek i spotkań pozostawiła zapisy, w których celność drobiazgowej obserwacji, umiejętność zatrzymywania ulotnej chwili oraz ujawniana jakby mimochodem imponująca erudycja z różnych dziedzin wiedzy szły w parze z pisarskim talentem, a szczególnie z darem przykuwającej uwagę swobodnej narracji.

CARL SANDBURG

w przekładzie Andrzeja Szuby

Trawa

Wznieście wysoki stos ciał pod Austerlitz i Waterloo.
Potem zakopcie je i pozwólcie mi działać –
    Ja jestem trawa; zarastam wszystko.

I wznieście wysoki stos pod Gettysburgiem,
I wznieście wysoki stos pod Ypres i Verdun.
Zakopcie ciała, a ja się nimi zajmę.
Dwa lata, dziesięć lat, i podróżni spytają konduktora:
    Co to za miejsce?
    Gdzie jesteśmy?

    Jestem trawa.
    Pozwólcie mi działać.

Zupa

Widziałem, jak pewien sławny człowiek jadł zupę.
I słuchajcie – do jego otwartych ust co i raz
Wędrowała łyżka z tłustym rosołem!
A jego nazwisko rozsławiały w gazetach
Tłuste, czarne nagłówki.
I było na ustach tysięcy ludzi.

Kiedy go widziałem,
Siedział z głową schyloną nad talerzem
I łyżką wlewał sobie do ust tłusty rosół.

Jak bardzo?

Jak bardzo mnie kochasz? Tyle, ile wart jest milion buszli pszenicy?
Och, bardziej. Dużo, dużo bardziej.

A jutro? Może tylko tyle, ile warte jest pół buszla?
Jutro może nawet nie tyle, ile warte jest pół buszla.

Więc taka jest arytmetyka twojego serca?
Tak wiatrem mierzy się pogodę.

Chicago

Rzeźniku Wieprzy dla Całego Świata,
Narzędziowcu, Stertniku Pszenicy,
Zawiadowco Kolei, Zarządzający Krajowym Transportem;
Porywcze, krzepkie, awanturnicze
Miasto o Szerokich Barach:
Mówią mi, że jesteś rozwiązłe, i ja w to wierzę, bo widziałem, jak umalowane kobiety pod
gazowymi latarniami wabią parobków.
Mówią mi, że jesteś bandyckie, a ja odpowiadam: Tak, to prawda, widziałem, jak bandyta
zabija i spokojnie oddala się, by zabijać dalej.
Mówią mi, że jesteś okrutne, a moja odpowiedź jest taka: Na twarzach kobiet i dzieci widzia-
łem oznaki wilczego głodu.

Tak odpowiedziawszy, zwracam się jeszcze raz do szydzących z mojego miasta i odpłacam
podobnym szyderstwem:
A pokażcie mi inne miasto, które śpiewa z podniesioną głową, równie żywotne, dumne, pros-
tackie, potężne i szczwane,
Miotające siarczyste przekleństwa pośród niekończącego się znoju, jak mocarny zabijaka ru-
szające przeciw małym, gnuśnym miasteczkom;
Zajadłe jak pies z wywieszonym jęzorem, gotowy do ataku, sprytne jak dzikus walczący z
puszczą,
Z gołą głową,
Który kopie,
Niszczy,
Planuje,
Buduje, burzy, odbudowuje,
W dymie, z pyłem w ustach, szczerzący białe zęby w uśmiechu,
Który zgięty brzemieniem losu śmieje się zdrowym śmiechem młodzieńca,
Śmieje się jak prymitywny bokser, który nigdy nie przegrał walki,
Śmieje się i chełpi, że pulsuje w nim krew, a pod żebrami bije serce ludu,
Śmieje się!
Śmieje się gromkim, chrypliwym, dzikim śmiechem Młodości, półnagie, spocone, dumne
miasto Chicago: Rzeźnik Wieprzy dla Całego Świata, Narzędziowiec, Stertnik Pszenicy,
Zawiadowca Kolei, Zarządzający Krajowym Transportem.

MIASTA SZTUKI – TRIEST/TRIESTE/TRST

***

Dwa lata po ukazaniu się „Kwartalnika Artystycznego" (numer 115) z blokiem materiałów o Paryżu, myśląc o kolejnym profilu wielkomiejskim, ustaliliśmy, że następnym portretem miasta w przestrzeni sztuki będzie Wiedeń. Stało się inaczej, blok o Wiedniu nieco przesunie się w czasie. Na celowniku znalazły się Włochy, ale Rzym i Mediolan wymagałyby dłuższych przygotowań. Zamiast więc kolejnej stolicy sztuki postanowiłem zająć się swego rodzaju centrum… peryferii.

Triest. Słynne miasto sztuki i literatury, niewątpliwie, ale w zupełnie innym wymiarze niż najbliższy na północy Mediolan, nie mówiąc o Rzymie czy Florencji. Tu, choć klejnotów nie brakuje, historycznie nie dominowali absolutni arcymistrzowie, a dziś nie tu rodzą się trendy. Ale i Triest nie podporządkowuje się im, tak jak na prowincji. I przy okazji, nie taki jest włoski, jak go malują.

Spojrzenie na mapę uświadamia, że to miasto znajduje się w połowie drogi między Sycylią a Zatoką Gdańską, w pół drogi z Bordeaux do Odessy (zgoda, jestem niesprawiedliwy dla Skandynawii, która niesłusznie znalazła się już poza), geograficznie jest więc uosobieniem środka Europy, choć Europa Środkowa nieco bardziej ciąży ku wschodowi i północy, i w tym kierunku mocno się rozciąga. Do Wiednia jest z Triestu dwieście kilometrów bliżej niż do Rzymu, i niespełna tyle, ile do Mediolanu. Nie tylko geograficznie miasto nad Adriatykiem jest środkiem Europy – również etnograficznie. Jeśli etnografia ma się zajmować kulturą rozmaitych społeczności i grup etnicznych, w tym wypadku wiele ich rozwijało się i rozwija na jednym terenie. O kilka kroków od siebie. Wschodnie wybrzeże Adriatyku, *a motley coat,* jak mówią Anglicy, pstrokate odzienie, pokryte gęsto obok siebie naszytymi łatkami wszelkiej maści i proweniencji, albo skrzyżowanie, miejsce, gdzie krzyżują się języki, alfabety, rasy, narracje historyczne, jakże często naznaczone konfliktami lojalności.

Ta podróż do Triestu w październikową sobotę miała za cel dokonanie swego rodzaju wizji lokalnej, której rezultatem byłoby coś, co Austriak nazwałby *Momentaufnahme*, obrazem chwili, Włoch powiedziałby *instantanea*, zaś ktoś anglojęzyczny *snapshot* – innymi słowy chcieliśmy w tym mieście utrwalić chwilę.

Po polsku najzręczniej chyba, choć raczej banalnie, byłoby użyć słowa migawka. Więc na ten blok składają się migawki z tygodnia peregrynacji po Trieście i okolicach, tygodnia, który, jak chciał los i przypadek, zaczął się w przeddzień ponoć największych regat na świecie, z udziałem tysiąc siedemset pięćdziesięciu siedmiu jednostek żaglowych. Trzynastomilowa trasa zaczyna się na rozległym pasie morza przed miejscowością Barcola, od której biorą nazwę regaty – Barcolana.

Naszym zamiarem nie było stworzenie przewodnika kulturalnego po Trieście. Ani antologii tłumaczeń gotowych już tekstów na jego temat, napisanych przez autorytety powołane do mówienia w imieniu triesteńczyków. Choć ogromne byłyby korzyści z przeczytania kolejnych wypowiedzi Claudia Magrisa, który z niezwykłą erudycją napisał tyle wspaniałych tekstów (niektóre są dostępne po polsku). Chcieliśmy po nitce trafić do kłębka, dowiedzieć się czegoś o Trieście od ludzi, którzy tam mieszkają albo mają Triest we krwi. Nie pytać Magrisa, lecz ludzi z ulicy. Nie, nie z ulicy (to drobna prowokacja) – tych, na których natrafiłem przez pocztę pantoflową.

To miało być badanie w terenie. Jego uczestnicy nierzadko podają informacje, które powtarzają też inni, z własnej perspektywy. To jest zamierzone. Numer otwiera Paweł Madej, archeolog z Krakowa, zafascynowany prahistorią i toposem Triestu, który na niedalekich terenach odnalazł groby swoich wujów. Potem o swoim Trieście opowiada koleżanka Claudio Magrisa z fakultetu Literatury i Filozofii Uniwersytetu Triesteńskiego, językoznawczyni Nadine Celotti. Urodzona we Francji, ponieważ jej rodzice musieli uciekać przed reżimem Mussoliniego, „wróciła" do Italii, aby tam studiować w czasach antyburżuazyjnych ruchów studenckich po roku 1968 i osiadła w Trieście. Do dziś nosi w sobie to, co intelektualnie i emocjonalnie dała jej Francja. Lilian Faschinger, pochodząca z Karyntii wiedeńska pisarka, znana w Polsce z przekładów w oficynie Noir sur Blanc, daje syntetyczny opis swojego Triestu, z bardzo habsburskiej perspektywy. Dzięki Nadine poznałem Ivanę Soban, czterdziestolatkę, która pracuje w sercu Triestu, w Narodowym Domu Słoweńców. Budynek był sceną pierwszej nocy kryształowej w niesławnej historii skrajnej prawicy, już w 1920 roku, osiemnaście lat przed nocą nazistowską w Niemczech i osiemnaście lat przed proklamacją praw rasowych przez Mussoliniego w centralnym punkcie Triestu. Wiadomo, jak się to skończyło, ale zanim faszyzm przegrał, na przedmieściach miasta powstał jedyny w tej części świata

obóz koncentracyjny z piecami gazowymi. Kolejny triesteńczyk dzisiaj, Alessandro Rosada, opowiada o swej awangardowej i prestiżowej galerii sztuki. Pyta go o nią Aleksandra Nosalska, która w innym tu zamieszczonym tekście spisała swoje wrażenia z pobytu w mieście nad Adriatykiem. Tekście pisanym z perspektywy historyczki sztuki, która – lekko zafascynowana aktem czekania w stylu Penelopy – mitem greckim kontrapunktuje swe obserwacje Triestu dzisiaj. Czytając ten artykuł, myślę o tytule książki Umberta Saby *Triest jest kobietą*.

Tak, stanowczo mało jest tu o poetach i w ogóle o literaturze. Ale trzeba zadowolić się dostarczeniem kontekstu. W moim tekście, który zamyka blok utrwalający chwilę dzisiejszego Triestu, nie wychodzę poza Triest początków XX wieku. Może trzeba by od tego lub tym zacząć, nie na tym kończyć. Koniec, jak wiadomo, jest w początku, choć trzeba iść dalej. Ten Triest odszedł w przeszłość, wszystko się zmieniło, miasto ładnie odnowiono, ale spoza warstwy nowej farby przeziera, i to mocno, przeszłość. Nie tak odległa. Prezentuję w największym skrócie życiorysy ludzi związanych z Triestem, ściśle mówiąc: mężczyzn. Paradoksalnie tu akurat brakuje choćby jednej kobiety. Te portrety wielce i niezbyt dostojnych mężów są szkicami do studium portretu. Portretu miasta. Portretu z pamięci. Jego pamięci. Jak napisać portret miasta z jego pamięci? Co jest zapisane w DNA Triestu?

Zacząłbym od nazwy miasta, istniejącej w trzech wersjach. Triest albo Trst oraz Trieste. Co desygnuje, denotuje i konotuje – trzeba by zacząć od logiki miejsca.

Marek Kędzierski

PAWEŁ MADEJ

Amfiteatr triesteński

Rozszczepianie świata na drobne elementy mam tak głęboko zakodowane w umyśle, że nie potrafię inaczej postrzegać przestrzeni. Każdy jej fragment jawi się jako mozaika mniejszych części, które jednocześnie składają się w większą całość. Zdolność wyszukiwania podobieństw i pomijania różnic pozwala mi budować spójny obraz otaczającego świata. W tej mozaice szczególne miejsce zajmuje dla mnie region między Wenecją a Triestem, pomiędzy Alpami a morzem.

Uderzające w tym obszarze jest jego uporządkowanie. Na północy wznoszą się pasma Alp Karnickich i Julijskich, tworząc naturalne granice. Dalej na południe rozciągają się Przedalpy, które łagodnie schodzą ku Nizinie Padańsko-Weneckiej. Jeszcze dalej jest adriatyckie wybrzeże i morze. Na wschodzie obszar flankuje wyniesiony płaskowyż Krasu z niewidocznymi na powierzchni ciekami wodnymi, zapadliskami i labiryntami podziemnych jaskiń. Z Alp przemierzają ten region rzeki, z których najważniejsze w naszej opowieści są Soča (Isonzo), Tagliamento i Piave. Ponad sześćdziesiąt lat temu tę harmonijną, uporządkowaną przestrzeń trafnie opisał Roberto Almagià i trudno jest do tego coś dodać[1].

Cały region zawsze kojarzył mi się z amfiteatrem. Siedząc na stopniach gór i przedgórzy, patrzy się na scenę między Triestem a Wenecją, gdzie nieustannie odbywały się kolejne odsłony wielkiego spektaklu historii. Nie jest to już Półwysep Apeniński, nie są to jeszcze Bałkany, ani panońska brama do Europy Północnej. To obszar przejścia, korytarz, którym albo Rzym wkraczał do barbarzyńskiej Europy, albo barbarzyńcy penetrowali Półwysep. Transpadania i Cisalpina w jednym.

Oczywiście, obszar ten łączy się płynnie z sąsiednimi terenami, tworząc z nimi czasami zdumiewające konstelacje. Na północy z pasmami Alp, które dostrzega się dopiero po dotarciu od strony morza do tych, które widać na horyzoncie. Na

[1] Roberto Almagià, *L'Italia*, tomy I i II, Turyn 1959.

wschodzie przechodzi w wyżynę – to z niej wieje w kierunku Triestu gwałtowna bora. Na południu może się wydawać, że tereny te otwierają się na morski bezkres, ale Adriatyk kończy się Bramą Morza, zieloną wyspą Korfu, gdzie na wzgórzu wśród cyprysów stoi Achilleion, grecka willa cesarzowej Elżbiety, w której starała się zapomnieć o śmierci syna w Mayerlingu. Ten kompleks stanowi dla mnie lustrzane odbicie habsburskiego Miramare obok Triestu, rezydencji nieszczęsnego młodszego brata cesarza, Maksymiliana.

Na zachodzie region płynnie przechodzi w dolinę Padu, ale już tuż za Wenecją płynie rzeka Brenta, z ulokowanymi wzdłuż niej monumentalnymi rezydencjami arystokracji weneckiej. Riwiera Brenty to zwielokrotnione wrażenie, jakie ogarnia w parku Decjusza, gdy stoi się przed zbudowanym dla Justusa Dietza pałacem, nazywanym skromnie willą. Tak, przy całej inności krakowskiego założenia, wtopienie renesansowej architektury w krajobraz powoduje, że nad Brentą myśli się o Woli Justowskiej.

Ziemie między morzem a Alpami zaczęto włączać do Italii w ostatnich wiekach przed naszą erą, a za Augusta stały się one sercem Regio X Venetia et Histria, przecinanym siecią dróg, takich jak via Annia i via Gemina. Najważniejszym miastem była wówczas Akwileja, pre-Wenecja, która po upadku Rzymu, pod ciosami huńskimi, przez przystanek w Grado znalazła schronienie na lagunach. Akwileja była też miejscem antycznego dramatu. To tutaj młodszy syn Konstantyna Wielkiego, Konstans, zabił swojego starszego brata w walce o schedę po ojcu. W tej Akwilei, która była częścią monarchii habsburskiej, finansował i promował wykopaliska oraz prace renowacyjne wczesnochrześcijańskiej bazyliki Karol Lanckoroński[2], ojciec Karoliny. Ten sam, który angażował się w wykupienie Wawelu z rąk austriackiej armii i jego odnowę. Sponsor nagrobka Jadwigi Andegaweńskiej i wreszcie kolekcjoner, którego część zbiorów z pałacu przy Jacquingasse w Wiedniu zasiliła wawelskie zbiory.

Przez ten amfiteatr przewijały się w VI wieku masy Longobardów, którzy po pokonaniu Gepidów postanowili oddać Panonię awarskim sojusznikom i osiedlić się w północnych Włoszech. Pod koniec VIII wieku przez ten korytarz przeciągały oddziały Pepina Longobardzkiego, syna Karola Wielkiego, aby zadać ostateczny cios najsilniejszym barbarzyńcom tego czasu, Awarom. Złoto zdobyte w świętym

[2] Karl von Lanckoroński, *Der Dom von Aquileia. Sein Bau und seine Geschichte*, Wiedeń 1906.

Ringu, gdzieś na stepach Panonii, wywożone dziesiątkami wozów zaprzężonych w woły, stało się złotymi relikwiarzami zalegającymi w skarbcach katedr Europy.

Europa Środkowa upomniała się o wschodnią część tego regionu w XIV wieku, gdy Triest dobrowolnie oddał się pod władzę Habsburgów, chcąc uniknąć imperialnej dominacji Wenecji. Granica wzdłuż rzeki Isonzo utrwaliła się na ponad pięćset lat.

W czasach osmańskich, gdy Turcy panowali na Bałkanach i nad Dunajem, a rządzone przez Habsburgów Święte Cesarstwo Rzymskie na wschód od Isonzo i w Trieście, Wenecjanie zaryglowali pod koniec XVI wieku ten korytarz, wznosząc fortecę-gwiazdę Palmanova. To idealne miasto było jak uporządkowany amfiteatr między Alpami a morzem. Nie była to pierwsza wenecka próba ochrony tego korytarza. Uważa się, że już w 1500 roku wykonanie projektu ufortyfikowania granicznej rzeki Isonzo obiektami hydrotechnicznymi zlecono uciekinierowi z zajętego przez Francuzów Mediolanu, Leonardowi da Vinci.

Dla mieszkańców Krakowa i Galicji, których połączono z monarchią habsburską, Zatoka Wenecka stała się najbliższym morzem. Była wizją Południa, światła i morza. Na dworcach od Krakowa po Lwów, jak i w całym Imperium, znajdowały się repery wskazujące wysokość w metrach nad poziom Morza Adriatyckiego w Trieście.

Za tę wizję Południa przyszło w Wielkiej Wojnie przelewać krew wujom mojego ojca. W rodzinie trauma tej wojny była żywa jeszcze w latach siedemdziesiątych. Wieczorami wspominano rozpacz ciotki, która straciła oszczędności w guldenach ulokowane w obligacjach i banku. Przypominano listy i opowieści braci mojej babki z „taliańskiego" frontu. Nazwy takie jak Isonzo, Piave czy San Donà były dla mnie wówczas obce, ale zapamiętałem zdanie: „Austria musi upaść, bo karmią nas tutaj kukurydzą i kwaśnym winem". Dopiero po latach zrozumiałem, że chodziło o polentę i refosco.

Refosco, tradycyjny szczep tego regionu, może w rękach winiarza dawać wielkie wina, ale produkowane w czasie wojny dla armii stawało się synonimem kwasu. Może losy świata potoczyłyby się inaczej, gdyby do wojskowego gulaszu, który tak bardzo był ceniony, podawano wino verduzzo, też miejscowe, ale słodkie i mające tę właściwość, że kilka godzin po jego wypiciu skóra wydziela niezwykły zapach ekstraktu białych winogron.

Oddziały 12. Krakowskiej Dywizji Piechoty, w tym rodzimy 57. Regiment Piechoty Galicyjskiej, walczyły na froncie włoskim nad Isonzo, w Alpach i na Płaskowyżu Asiago. Wiosną 1918 roku zgrupowano je w dolnym biegu Piave, gdzie malaryczne błota dziesiątkowały żołnierzy przed ostatecznym, jesiennym starciem. Pod koniec października odeszli do Leibach, wsiedli na tamtejszym dworcu do pociągów i wrócili z bronią do Tarnowa.

Porzucenie cesarskich sztandarów i wycofanie się z frontu przez lata wzbudzało pretensje austriackich historyków, że galicyjskie oddziały, głównie 57. IR, przyczyniły się do utraty Triestu.

Czy, wiedząc to wszystko, inaczej czytałem *Pożegnanie z bronią* Hemingwaya? Tak. Zawsze miałem świadomość, że zniszczenia pod Caporetto i nad Tagliamento to dzieło moich wujów. Czy spotkali wtedy jakiegoś Frederica Henry'ego? Czy widzieli tę samą campanilę w Caporetto?

NADINE CELOTTI

Mój kilometr (mentalny) Triestu

Mój kilometr Triestu przebiega chronologicznie przez etapy myślowe oddzielone od siebie miejscami i wspomnieniami: pomiędzy tym, co da się wypowiedzieć i tym, czego od razu się nie da, co ujawnia się stopniowo w miarę transformacji świata Wschodu i Europy, a także znikających i pojawiających się na nowo granic…

Zaczyna się w młodości, kiedy na początku lat siedemdziesiątych z Francji do Triestu przybywa, z powodów ściśle osobistych, młoda studentka, aktywna politycznie, i trwa aż do chwili obecnej, kiedy świeżo upieczona emerytka mieszka w Trieście teoretycznie bez granic. Teoretycznie, ponieważ one powracają, choćby dlatego, że między Włochami a Słowenią zawieszono ustalenia Schengen, ze względu na rzekome zagrożenie terroryzmem poprzez nielegalną imigrację z terenu Bałkanów. To granica Triestu urzędowego, który okazuje mało gościnności ubiegającym się o azyl, z Triestem obywatelskim, zaangażowanym w pomoc. Triestu, który otwiera się na kolejne fale turystów, uwodząc urokiem swej już opowiedzianej przeszłości, podejmując próby powrotu tej jeszcze niepowiedzianej.

Zaraz po przyjeździe: Zablokowana w mieście, odciętym granicą od świata Wschodu, pełna wszelkiego typu Wyobrażeń, sama wobec Nieznanego, w mieście zwróconym w stronę wody, określanej jako morze, które dla kogoś, kto zna morza Bretanii czy Normandii, jest jednak spokojnym jeziorem. Choć z biegiem lat to nieruchome jezioro przekształciło się w morze, zachęcające do długich kąpieli i nieszczędzące bezkresnej przestrzeni, z żaglowcami i statkami towarowymi na horyzoncie; długi brzeg na trotuarach usiany ludźmi z różnych warstw społecznych i w każdym wieku, którzy rozbierają się beztrosko pośród przejeżdżających obok samochodów. Dziś: morze nader często oszpecone obecnością gigantycznych statków pompujących w tkankę miasta turystykę nadmiaru, dla triesteńczyków coraz trudniejszą do zaakceptowania. I przez ogromny jacht rosyjskiego oligarchy, na który nałożono sekwestr od czasu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Kiedy przyjechałam: Miasto przedstawiane jako dwujęzyczne, trójjęzyczne, a nawet wielokulturowe, ale przez tych, którzy nie znają żadnego z tych języków, doświadczane na co dzień jako jednojęzyczne – dialekt triesteński królował w przestrzeni prywatnej i publicznej, na poczcie, w biurze, w sklepie i w barze… I coś w rodzaju wewnętrznej granicy w hermetycznym mieście pomiędzy językiem włoskim a językiem słoweńskim, gdzie dla kogoś jak ja, obcokrajowca, nauczenie się obu języków bez konieczności stanięcia po czyjejś stronie okazało się trudne, jeśli nie niemożliwe. Możliwe do wypowiedzenia, ale nazbyt często niepowiedziane: Triest chciał być jednojęzyczno-włoskim od początku lat dwudziestych XX wieku, kiedy faszyzm zaczął kneblować język i kulturę słoweńską, na długo przed ogłoszeniem praw rasowych, aż do końca drugiej wojny światowej, kiedy miasto i okolice znalazły się pod administracją wojsk aliantów, którzy wprowadzili język angielski i przywrócili słoweński, *piano piano, počasi*. Następnie długa przerwa czasowa aż do rozbiórki świata Wschodu, a w szczególności Socjalistycznej Federalnej Republiki Jugosławii, zwanej w skrócie „Jugo", co zrewidowało wyznaczone granice i doprowadziło do wędrówki ludów. Ci, który osiedlili się w Trieście, przywieźli z sobą własne języki: chorwacki, serbski, bośniacki, macedoński, albański i tym podobne, języki robotnic i robotników ze Wschodu. A od niedawna wielość języków tych, którzy uciekając z własnych krajów, przeszli przez Bałkany i którym udało się dotrzeć do Triestu. I wreszcie języki turystów.

Dzisiaj: Prawdziwa lingwistyczno-akustyczna mozaika, krajobraz mocno skomplikowany językowo. Uzupełniają go napisy i tablice, odsłaniające przeszłość ukrytą w niedopowiedzianej epoce. Podobnie jak wędrówki szlakiem pisarzy. Kiedy przyjechałam, literacki Triest przedstawiało się głównie jako miejsce zamieszkania Saby, Svevo i Joyce'a, Irlandczyka. A inni? Ta „inna dusza Triestu"? Piszący po słoweńsku, tacy jak Srečko Kosovel, Vladimir Bartol, Boris Pahor czy Alojz Rebula? *Piano piano, počasi*, dziś, po długim milczeniu, w końcu przetłumaczono ich na język włoski i uznano za odrębną część literatury triesteńskiej. Właśnie trafili do nowo otwartego muzeum literatury LETS – Letteratura Trieste.

Miejsca obowiązkowe

Piazza Ponterosso. Duży czworokątny plac otoczony licznymi budynkami o dużej wartości architektonicznej, z piękną trójotworową kamienną fontanną

z 1751 roku. Kiedy przyjechałam: rynek „jeansinari", gdzie mnóstwo zwłaszcza kobiet, ale i mężczyzn z Jugosławii, przychodziło, aby kupić dżinsy, ubrania niedostępne po drugiej stronie granicy i inne zachodnie produkty, miejsce, w którym były w obrocie dinary i marki. W pobliżu znajdowały się też sklepy dla nich, kobiet i mężczyzn „Jugo", oddzielone od i całkiem inne niż te dla mieszkańców miasta. Po otwarciu granic plac Ponterosso powrócił do przeszłości, kilka straganów na targu owocowo-warzywnym, a następnie służył jako zatłoczony samochodami parking. Dziś na Ponterosso znalazły się karuzela dla dzieci i talar Marii Teresy średnicy trzech metrów, ku czci cesarzowej, plac jest także, zależnie od pory roku, zatopiony lodowiskiem albo stoiskami, od których rozchodzą się intensywne zapachy potraw i rozbrzmiewa kakofonia muzyki. Miejsce oszpecone.

Piazza Unità d'Italia. Największy plac w Europie otwarty całkowicie na morze, po prostu piękny, otoczony wspaniałymi pałacami, lecz także miejsce dramatu, plac niesławnej proklamacji praw rasowych w 1938 roku przez Mussoliniego. Kiedy przyjechałam, był jeszcze niemy na swą historię w epoce faszyzmu. Na jego skraju znajdowała się tak zwana fontanna Czterech Kontynentów. Zbudowana bezpośrednio przed ratuszem, przeszkadzała dyktatorowi. Na swoją uroczystość kazał ją usunąć, z balkonu chciał widzieć wyłącznie rzeszę zgromadzonych na placu faszystów. Fontanna wróciła na swoje miejsce. Ten tragiczny moment w historii upamiętnia dziś tabliczka wmurowana w bruk placu w 2013 roku oraz tablica umieszczona na ścianie ratusza w 2018 roku. Przeszłość, choć późno, ujawniona w piśmie. No i nie można zapomnieć o chwili, gdy z Piazza Unità d'Italia wzniosło się przesłanie pokoju i braterstwa. 13 lipca 2010 roku na wypełnionym mieszkańcami placu rozbrzmiały dźwięki i głosy koncertu *Le Vie dell'Amicizia* pod batutą Riccardo Mutiego. Wzięło w nim udział trzystu sześćdziesięciu młodych muzyków różnych narodowości, zagrali w obecności trzech prezydentów: Włoch, Słowenii i Chorwacji, Giorgio Napolitano, Danilo Türka i Ivo Josipovica.

Narodni Dom. Najpierw hotel Balkan, teraz Scuola per Interpreti (Instytut Translatologii), w międzyczasie hotel Regina… Elegancki budynek w stylu *art nouveau*, wzniesiony w dzielnicy zwanej Borgo Teresiano, wywodzącej swą nazwę od Marii Teresy Austriaczki, jest czołowym przykładem owego triesteńskiego kroku po kroku, który ujawnia się w kolejnych momentach historii. Narodni Dom, Dom Narodowy, mieścił się w 1907 roku w hotelu Balkan, wybudowanym w latach

1901–1904 za czasów monarchii austro-węgierskiej według projektu architekta Maxa Fabianiego. Był ośrodkiem inicjatyw kulturalnych i działalności gospodarczej Słowenów. Słoweński i inne języki słowiańskie przeżywały w Trieście okres rozkwitu aż do dramatycznego momentu historii, 13 lipca 1920 roku, kiedy został podpalony przez faszystów, w próbie uciszenia wszystkiego, co nie było włoskie. Kiedy przyjechałam, Narodni Dom znany był mi jako hotel Regina, bez jakiegokolwiek odwołania do jego historii… symbolicznie niedopowiedziane. Na jego sześciu piętrach mieści się dzisiaj Scuola Superiore di Lingue Moderne per Interpreti e Traduttori Uniwesytetu Triesteńskiego, znana jako Scuola per Interpreti, a na parterze Narodna in študijska knjižnica, Narodowa Biblioteka Studiów Słowiańskich. Ustawiane etapami, z biegiem czasu, napisy, odsłaniają niewypowiedziane. Na zewnątrz budynku dwie tablice opowiadają jego przeszłość. Pierwsza, wmurowana w fasadę w 2004 roku w dwóch językach (po włosku i po słoweńsku), mówi o nietolerancji nacjonalistów, natomiast umieszczona tam kilka lat później inskrypcja w czterech językach (po włosku, niemiecku, angielsku i słoweńsku) mówi, że to faszyści byli odpowiedzialni za podpalenie. We wnętrzu budynku, napis, tylko po włosku, przytwierdzony do ściany w 1997 roku, a więc najwcześniejszy, zawiera cytat z włoskojęzycznego pisarza Gianiego Stuparicha, który mówi o tragicznym widowisku, nie wymieniając wszakże odpowiadających za nie faszystów (manipulacja cytatami literackimi?). Zaś trójjęzyczne plansze, włosko-słoweńsko-angielskie, zawieszone kilka lat temu na kolumnach przy wejściu, opowiadają historię Narodnego Domu w kolejnych rozdziałach jego dziejów, otwarcie potępiając nietolerancję i represje faszystów wobec Słoweńców.

I absolutnie obowiązkowe

Ospedale Psichiatrico Provinciale. Prowincjonalny szpital psychiatryczny, do momentu zamknięcia zazwyczaj nazywany „OPP", potem „były OPP", a dziś najczęściej Parco San Giovanni: przestrzeń usuniętych granic między „szaleństwem" a „normalnością".

Utworzony na początku XX wieku pod rządami Habsburgów, przedstawia się jako zespół wspaniałych pawilonów różnej wielkości, w których zamykano chorych psychicznie – z teatrem, kościołem, pralnią i laboratoriami pośród ogromnego parku o powierzchni dwudziestu dwóch hektarów, a do tego oczywiście

Podobizna Franco Basaglii w budynku byłego OPP

dwie duże bramy na północnym i południowym krańcu, umożliwiające wejście lub wyjście, zależnie od sytuacji.

Kiedy przyjechałam, OPP, dzięki Franco Basaglii oraz jego zmotywowanemu i oddanemu idei zespołowi, był terenem innowacji i transformacji w Trieście; rewolucji w dziedzinie psychiatrii o zasięgu międzynarodowym. W tym doświadczeniu uczestniczył także kolektyw wolontariuszy, artystów, studentów, gości… Pamiętam, że czasami niełatwo było odróżnić jednych od drugich, nienoszących białych fartuchów psychiatrów, pielęgniarek i pielęgniarzy, pacjentów… Drzwi oddziału stały otworem. Muzyka, teatr, taniec, kino, rzeźba powstające przed moimi oczami… Pamiętam marcowy dzień 1973 roku, kiedy trzeba było rozwalić architraw południowej bramy po to, by wyprowadzić ze szpitala do miasta Marco Cavallo niebieską rzeźbę o wysokości czterech metrów, konia z drewna i tektury/papier-mâché skonstruowanego w pawilonie P – pierwszym wyzwolonym pawilonie, w którym hospitalizowano tych spokojnych, „Tranquilli-Uomini" – przez grupę artystów we współpracy z pacjentami, którzy zamierzali wszystkie swoje sny i pragnienia zlokalizować w końskim brzuchu. Pamiętam tę procesję internowanych, którzy stali się eksternami, radośnie stąpających za Marco Cavallo. Pamiętam, jak w maju 1974 roku różnokolorowy tłum, unieważniając różnice w hierarchii społecznej, podziwiał i oklaskiwał Ornette Colemana, wielkiego amerykańskiego saksofonistę, freejazzowego protagonistę koncertu we wspomnianym parku. Pamiętam, jak w 1977 roku OPP był siedzibą „Międzynarodowej Sieci Alternatyw Psychiatrii" i pamiętam debaty z Davidem Cooperem, przedstawicielem antypsychiatrii, który wskazał wszystkim alternatywne perspektywy. Dni pełne napięcia i entuzjazmu. Przez całe dziesięciolecie istny ferment twórczych działań szedł w parze z delikatnym i trudnym procesem deinstytucjonalizacji, którego efektem było uchwalenie 13 maja 1978 roku ustawy numer 180, nazwanej ustawą Basaglii, likwidującej tradycyjne szpitale psychiatryczne we Włoszech. W konsekwencji czego OPP, który stał się „byłym OPP", nadal proponuje miastu, które go wchłonęło, mnóstwo wydarzeń kulturalnych, artystycznych i festynów.

Obecnie ten były OPP nazywa się Parco San Giovani, dwadzieścia dwa hektary osiane różami w pięciu tysiącach odmian, zainaugurowany w 2009 roku. W pawilonach nikogo już się nie zamyka, wręcz przeciwnie. Ludzie pracują, uczą się, przychodzą na kawę lub *lunch* do baru Poste delle fragole, idą do teatru, odwiedzają

muzea… albo po prostu chcą sobie pochodzić wśród róż. A dwie wielkie bramy, wejściowa i wyjściowa, pozostają szeroko otwarte.

Na koniec, fragmencik archeologii miejskiej. Stacja Rogers – Riva Grumula, 14

Kiedy przyjechałam: stacja benzynowa. Dzisiaj: stacja paliw kultury.

Na skraju ulicy biegnącej w mieście wzdłuż morza, zazwyczaj zwanej nabrzeżem, stała stacja benzynowa, bardzo szczególna, w moich oczach niezwykle elegancka w swej formie architektonicznej. Wybudowano ją w 1953 roku dla rafinerii Aquila według projektu mediolańskiego zespołu architektów, którego członkiem był pochodzący z Triestu Ernesto Nathan Rogers. Kiedy nie mieliśmy czasu jechać po benzynę do Jugosławii, gdzie paliwo było znacznie tańsze, tam właśnie tankowaliśmy. Odczuwałam wtedy coś w rodzaju przyjemności estetycznej. Potem przez długie lata stacja była zamknięta. W 2008 roku, nie zmieniając zasadniczo pierwotnego designu, została przekształcona w bardzo specyficzne miejsce kultury i przyjęła nazwę Stacji Rogersa, w hołdzie wspomnianemu architektowi. Kierowana przez ludzi w każdym wieku, niemających żadnego problemu z hierarchią, jako miejsce organizacji warsztatów, laboratoriów, różnorodnych i interdyscyplinarnych spotkań, w dziedzinach takich jak architektura, literatura, tłumaczenia, muzyka i tym podobne, Stacja Rogers jest miejscem, w którym można się odprężyć i uzupełnić zasoby intelektualne. Niedawno spotkali się tam studenci, doktoranci, profesorowie i tłumacze, snując refleksje o przekładaniu autorów z Chorwacji, Portugalii, Hiszpanii, Niemiec; można tam było posłuchać Puszkina w dialekcie friulskim, a nawet podyskutować o poetyce Henri Meschonnica. Przyjemność estetyczna innego rodzaju.

przełożył Marek Kędzierski

Vittorio Bergagna, Donna e barca, 1930 ca.
4.10.24 - 6.1.25
Trieste e una donna
immagini al femminile dalla Collezione d'Arte
della Fondazione CRTrieste
Franco Asco, Giuseppe Barison, Vittorio Bergagna, Lovis Corinth, Bruno Croatto, Oreste Depoel, Leonor Fini, Arturo Fittke, Franco Gentilini, Virgilio Guidi, Francesco Hayez, Vincenzo Irulli, Oscar Hermann Lamb, Mario Lannes, Marcello Mascherini, Miela Reina, Arturo Rietti, Federico Righi, Edgardo Sambo, Aligi Sassu, Carlo Sbisà, Eugenio Scomparini, Tullio Silvestri, Cesare Sofianopulo, Bruno Sossi, Dyalma Stultus, Carlo Wostry, Giovanni Zangrando
a cura di Alessandro Del Puppo
ORARI
da giovedì a sabato
10-12 e 17-19
domenica e festivi 10-12
ingresso libero
INFORMAZIONI
Comune di Muggia - Assessorato alla Cultura
040 3360340 | ufficio.cultura@comunedimuggia.ts.it
www.muggiacultura.eu | www.museougocara.eu
Fondazione CRTrieste | www.fondazionecrtrieste.it
Fondazione
FONDAZIONE CRTRIESTE
BARCOLANA

ALEKSANDRA NOSALSKA

Na tropach Penelopy. W Trieście

Opuszczam zatokę wraz z historycznym centrum i ruszam przez via San Michele, pnącą się mocno pod górę, aż do szczytu San Giusto. Zaledwie od dwóch godzin w Trieście, ale wyraźnie czuję zmianę klimatu, jest w miarę ciepło, powietrze nasycone wilgocią, wczesny wieczór, a na „riwierze" ludzie tłumnie świętują otwarcie międzynarodowych regat Barcolana. Więc tak wygląda to miasto, w którym James Joyce konstruował swoje sławne dzieło, miasto, w którym tworzyli kolejni wybitni, choćby zaprzyjaźniony z Joyce'em Italo Svevo. Miasto, o którym dzisiaj, z literackim kunsztem i wielką erudycją opowiada Claudio Magris. Jednak wbrew jego zapewnieniom, a także na przekór moim najgłębszym nadziejom, nie doświadczam, że czas w Trieście przestaje płynąć. Tutaj wszystko trwa teraz – mówi Magris – świadectwa czasu nie przechodzą do przeszłości, ale współ-istnieją: cesarstwo austriacko-węgierskie, epoka faszyzmu, słoweńscy patrioci, nacjonalizm, sentyment do monarchii… Tego pierwszego wieczoru nie zauważam jednak, aby archaiczne znaki snuły równoległe wątki; następujące po sobie opowieści – jak najbardziej! – ale nie równocześnie w tym samym momencie. Z tego pierwszego spotkania zapamiętuję Triest takim, jakim wówczas był, 12 października 2024, a nie takim, jakim był sto czy dwieście lat temu. Gdy mijam kolejne grupy osób, które przed knajpami popijają alkohol, palą papierosy, przekrzykują głośną muzykę lub podrygują w jej takt, myślę, że to „papierowe miasto" – określenie Magrisa – pulsuje chwilą obecną. Patrzę na nie, nie jak na „zamknięte w literaturze", ale jak na żywy organizm, z krwi i kości, ciało.

A może było tak: Porzucając hałaśliwe nabrzeże, kieruję się w stronę wzgórza San Giusto, z zamkiem i katedrą, a słony zapach znad morza przeradza się w mdłą woń. W kolejnych dniach odkryję, że październikowe wieczory i poranki są tutaj duszne i parne, a im dalej, tym bardziej wyraźne się to staje. To pewnie przez wilgoć tynki na kamienicach murszeją i zachodzą mchem. A zapach powraca,

zwłaszcza na wzgórzach otaczających historyczne centrum, gdy przechodzę pod rusztowaniami budynków przygotowywanych do remontu. Co innego przy Canal Grande i wzdłuż reprezentacyjnych Riva Nazario Sauro, Riva Tre Novembre biegnących wzdłuż morza Piazza Unità d'Italia czy Cordo Italia, która łączy wschodnią część miasta z zachodnią. Tutaj wszystko *pico bello*. Wystarczy jednak kilkuminutowy szybki marsz i wkraczam w dzielnice mniej zadbane, ale za to o romantycznym a zarazem swojskim klimacie.

Tego pierwszego wieczoru, idąc pod górę przez via San Michele, napotykam cztery kobiety, które siedzą na skraju chodnika i w świetle przyniesionych przez siebie lamp, robią na drutach. Jedna z nich to Argentynka Maria Sanchez Puyade, od lat mieszkająca w Trieście, zresztą jej atelier znajduje się dokładnie naprzeciw. Sześć lat temu rozpoczęła projekt *Penelopa*, który w tym roku pokazała na Biennale w Wenecji. Do białego szalika – prezent od babci męża – dorabia kolejne, różnokolorowe kawałki, chcąc wyrazić solidarność z ofiarami konfliktów wojennych. „Tkać szalik w nieskończoność, aż po ostatni dzień życia" – w październiku artystka przyniosła nad triesteńskie molo Audace piętnastometrową już tkaninę, aby dołączyć do niej barwy Palestyny. Podkreśla, że tkanie to starożytna sztuka, używana przez kobiety, gdy chcą wyrazić coś, czego nie można wypowiedzieć. Z ciszy i skupienia wyłania się gest oporu.

Tego wszystkiego nie dowiedziałam się bezpośrednio od Marii Sanchez Puyade, w ten pierwszy wieczór widziałam tylko, jak robi na drutach otoczona wianuszkiem innych kobiet. Cztery osoby na tle przylegającego do ulicy Giardino San Michele – ogrodu miejskiego, który wkomponowano w zamkową skarpę. Teren zielony istniał tutaj już na początku XVIII wieku, ale dopiero w 1954 roku administracja amerykańsko-angielska zarządziła jego uporządkowanie. O tej porze roku pnące się po pergolach glicynie już nie kwitną, ale ciągle mają soczyste liście. Ze szczytu schodów Giardino po raz pierwszy dostrzegam, że większość triesteńskich budynków ma żółtą, beżową i pomarańczowo-ceglastą kolorystykę. To miasto charakteryzuje porządek architektoniczny i duża konsekwencja, co jeszcze wiele razy rzuci mi się w oczy.

Pierwszego wieczoru w Trieście myślę o Penelopie i jej współczesnych wcieleniach. Wierna, owszem, ale w moim przekonaniu przede wszystkim samej sobie. Czy odrzucała zalotników, faktycznie mając nadzieję na powrót męża? Gdy Odys

wreszcie się zjawi, to Penelopa będzie ostatnią, która uwierzy, że to on! Prując tkaninę, przeciwstawia się temu, co odtąd, zgodnie z normami społecznymi, jest jej przeznaczeniem. Nie zamierza wchodzić w związek tylko dlatego, że jest sama. Powiedzieć, że Penelopa odrzuca małżeństwo z rozsądku, to za mało – ona nie chce mieć nic wspólnego z żadnym z zalotników, ponieważ nimi głęboko gardzi. To moje pierwsze przypuszczenie, a drugie, że Penelopa chce być totalnie wolna, dlatego nie zamierza dzielić życia z żadnym mężczyzną. Co z tego, że powiedzą, że ma serce z kamienia. Czy to najgorsza rzecz, jaka może spotkać kobietę? Triestenki podkreślają swoją niezależność, porównując się do kobiet z innych regionów Włoch, silnie patriarchalnych. Włoszki otrzymały prawa wyborcze dopiero w 1946 roku, a do 1975 roku panowało *podestà maritale,* oznaczające *de facto* podporządkowanie kobiety mężowi we wszystkich decyzjach, nie tylko dotyczących rodziny, ale również jej osobistego majątku. W 1970 roku Włoszki wywalczyły prawo do rozwodów, ale aż do 1981 roku, włoski kodeks karny przewidywał *matrimonio riparatore*, czyli powiedzmy sobie „małżeństwo naprawcze", które w przypadku gwałtu otwierało możliwość małżeństwa oprawcy i ofiary, co traktowano jako naprawienie winy mężczyzny i zmycie hańby z kobiety. Do 1996 roku we włoskim prawie gwałt nie był uznawany za przestępstwo przeciwko osobie, jedynie za występek przeciw moralności publicznej.

Myśli o przemocy, krzywdzie i niesprawiedliwości wymierzanej w ramach zasad społecznych nasilają się, gdy trafiam do Parco di Villa Bazzoni, położonego na południe od wzgórza San Giusto, piętnaście minut na piechotę od historycznego centrum. To niewielki ogród na zboczach, do którego prowadzą Schody Dublińskie, niegdyś nazywane Schodami Joyce'a, ponieważ przez lata mieszkał on nieopodal, przy via Bramante 4. Ale ja wchodzę do ogrodu od innej strony, idąc wzdłuż kamiennego muru, na którym w 2020 roku zbudowano *Wall of Dolls* – Ścianę Lalek. Z materiału lub plastikowe, o różnej wielkości, przytwierdzone do muru wokół zdjęć przedstawiających ofiary *femminicidio* – kobietobójstwa. Triesteńska ściana powstała dzięki inicjatywie działaczki i psychoterapeutki Elisabecie Maresio oraz zaangażowaniu lokalnej społeczności. Przestępstwo, które w języku polskim określamy bardziej ogólnie, jako przemoc domowa, aktualnie wzbudza we Włoszech debatę społeczną, czego jednym z przykładów jest triesteńska instalacja. Podobne powstały w innych włoskich miastach, między innymi w Wenecji,

Rzymie i Genui, Mediolanie, Brescii. Mimo, że włoskie feministki wymusiły zmiany legislacyjne chroniące kobiety, w tym roku liczba ofiar *femminicidio* przewyższyła statystyki z ubiegłych lat. Twórcy *Wall of Dolls* stają w szczególności w obronie kobiet, ale ich projekt można rozumieć w szerszej perspektywie jako krytykę wszelkiej przemocy, bez względu na płeć. Znamienne, że w triesteńskiej instalacji znajdują się też zdjęcia dwóch mężczyzn.

*

A może było tak: wychodzę z Parco di Villa Bazzoni zaledwie po kwadransie, nie mogąc znieść ciężkiego zapachu wilgotnego muru, ziemi i zgniłych liści. Idę na zachód, schodzę w stronę morza, ale nie docieram nad samo wybrzeże. Zatrzymuję się przed Palazzo Biserini, wzniesionym u schyłku XVIII wieku, o oszczędnej, klasycyzującej fasadzie. Od 1820 roku mieści się w nim, utworzona dwadzieścia siedem lat wcześniej, Biblioteca Civica Attilio Hortis, w której przechowywane są historyczne pamiątki miasta. Tutaj znajdują się dokumenty gromadzone między innymi przez Anitę Pittoni: artystkę, właścicielkę pracowni włókienniczej i wydawnictwa, pisarkę. Mówiła o sobie, że jest „donkiszotowska" (*donchisciottesca*), bo umie żyć złudzeniami i ma świadomość, że żyje dla historii. Dla mnie jednak Anita Pittoni jest kolejnym wcieleniem Penelopy: tak mocno zakorzenionej w miejsce, że aż z nim zrośniętej. Bez wątpienia sprawy i ludzie tego miasta ukształtowali jej tożsamość i wytyczyli kierunek działań.

Urodziła się w Trieście w 1901 roku i tutaj też zmarła, w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Anita Pittoni uważała, co trzeba zaznaczyć, że triesteńczykiem się staje, to „dar intelektu i serca", na pewno nie otrzymuje się go wraz z urodzeniem. Przed drugą wojną światową zajmowała się modą, projektowała ubrania oraz tapety, tapiserie, tekstylia i tkaniny… Można by powiedzieć, że miłość do rzemiosła wyssała z mlekiem matki, która była hafciarką. Romantyczne przekonanie o wartości pracy manualnej, Pittoni łączy z podejściem pragmatycznym. Gdy, w 1929 roku, zakłada własną pracownię, przygląda się tendencjom rynkowym i tak organizuje prace zespołu (w okresie prosperity zatrudnia dziewięćdziesiąt osób), żeby zminimalizować koszty produkcji i ceny materiałów. Jest innowatorką, do dziewiarstwa i szydełkowania przenosi techniki typowe dla koronkarstwa. Używa różnych rodzajów przędzy, najchętniej jednak konopnych i pochodzenia włoskiego, wytwarza tkaniny naturalne, mieszane i syntetyczne, o zupełnie nowych właściwościach. Doce-

niona przez środowisko artystyczne, Anita Pittoni projektuje kostiumy do *Opery za trzy grosze* (Teatro Filodrammatici Mediolan 1930 rok, reżyseria Anton Giuloa Bragaglia) i zdobywa w 1937 roku Grand Prix na Wystawie Powszechnej w Paryżu.

Ale już po wojnie zmienia charakter działalności. W 1949 roku, wraz z Gianim Stuparichem, późniejszym mężem, zakłada wydawnictwo Lo Zibaldone, żeby, jak czytamy w manifeście instytucji, pokazać Triest jako otwarty na Włochy i Europę, zintegrować mieszkających tu artystów ze środowiskiem całego regionu oraz dokumentować wydarzenia i ludzi miasta. Oczywiście głównym zadaniem jest publikacja dzieł Umberto Saby, Roberto Bazlena, Giani Stupericha, Italo Svevy, Benedetto Croce, w wydawnictwie ukazywały się również dzieła samej Anity Pittoni.

Chcąc, jak wskazuje tytuł jednej z jej publikacji, zachować „duszę Triestu", archiwizuje swoją korespondencję z włoskimi intelektualistami, prywatne listy, artykuły o Gianim Stuparichu oraz jego własne publikacje, wzory z okresu działalności włókienniczej, rysunki, szkice, fotografie, próbki tkanin, wycinki z magazynów, maszynopisy, recenzje, zapiski i notatki o publikacjach i projektach Lo Zibaldone. Anita Pittoni dba o najmniejszy szczegół w wydawnictwie: robi korekty publikacji oraz finalną redakcję, zawiera umowy z księgarzami i rozsyłała biuletyny reklamowe do księgarni. Za swoją pracę nie jest wynagradzana, nie otrzymuje nawet najmniejszej dotacji, a wydawnictwo mieści się w jej własnym domu. Ojczyzna to, jak podkreśla, ziemia, region, nasze miasto, dom, „najbardziej zaciszny pokój, w którym najlepiej się pracuje". Miejsce własne, intymne, może odosobnione, do którego można kogoś przyjąć, ale wcale się nie musi, jeśli się nie chce, jak Penelopa.

*

Już w pierwszy wieczór, ale również w kolejne dni, z uwagą przypatruję się przechodniom. Tutejszy? Przyjezdny? A jak oni poznają, że ja nie jestem stąd? Szukając molo, z którego można popłynąć do Muggi, małej miejscowości na południowym brzegu zatoki, rzucają mi się w oczy ufryzowane głowy, żakiety, szminki, pozłacane łańcuszki. Są bardzo eleganckie, kobiety w dojrzałym wieku. Przechadzają się wzdłuż wybrzeża, później widzę je też, a może to już inna para przyjaciółek, na obiedzie w domu handlowym Eataly, siadają przy stoliku z widokiem na żaglówki zacumowane przy przystani albo wybierają kameralny Yacht Club Adriaco, na świeżym powietrzu, również nad wodą. Jakby nie wypadało wyjść na miasto bez makijażu, a spotkanie ze znajomymi było wielkim świętem, co warto podkreślić

również strojem. Dla mnie samej to wielka przyjemność patrzeć na *gioia di vivere* tych elegantek, kobiecych w tradycyjny sposób, gdzie walory ciała, atrakcyjność, uroda (w czyich oczach? czyżby męskich?) grają główną rolę.

Pierwszą mieszkającą w Trieście kobietą, którą mam przyjemność poznać, jest Nadine Celotti. Opowiada, że kiedy przyjechała tutaj w latach siedemdziesiątych, zaskoczyła ją niezależność triestenek, zupełnie nieporównywalna z innymi regionami Włoch. Spotykały się w kawiarniach i jeszcze przed południem sączyły alkohol, a gdy ich mężowie wypływali na morze, bynajmniej nie spełniały się jako strażniczki domowego ogniska, którym nie pozostaje nic innego, jak czekać na powrót głowy rodziny; czasami jakaś wdowa otwarcie mówiła, że nie brakuje jej męża. Na miejskiej plaży bezceremonialnie i bez skrępowania demonstrowały swoje ciała. Nadine uważa, że to wpływ kultury austriackiej, w mniejszym stopniu pruderyjnej. Ale przecież, przypominam sobie, triesteńska plaża jest przedzielona murem: kobiety idą na lewo, mężczyźni na prawo. Nawet w wodzie radykalnie rozdzielono płci grubym sznurem. Podobno zwyczaj ten pochodzi jeszcze z czasów cesarstwa i tak dobrze się tutaj zadomowił, że nikt nie ma ochoty go zmieniać.

*

Po wyjściu z wody założyła sukienkę i siadła na trawie. Ubrała jedną skarpetkę, drugą trzyma jeszcze w prawej ręce. Odwróciła głowę. Zastygła, nasłuchuje, czeka, niecierpliwi się, obserwuje? Nie wiem, na co patrzy, jak długo to trwa i czy jeszcze potrwa. Chociaż mogłabym snuć domysły albo wymyślić jej historię, opowiem tylko to, co widzę. Niebiesko-fioletowa sukienka z krótkim rękawkiem i głębokim dekoltem, podwinięta wysoko, tak, że widać jej całe nogi, do ud i pośladków. Nie wiem, co zdarzyło się wcześniej ani potem, obraz pokazuje tylko jedną chwilę. Jej ciało jest mocne, nawet muskularne, zwłaszcza nogi. Kobieta ma regularne rysy twarzy, duże oczy, ciemne włosy spięte na karku. Posągowa piękność, bije z niej siła, zdecydowanie i spokój. Opisuję obraz *Po kąpieli*, namalowany w 1943 roku przez Dyalmę Stultusa, malarza urodzonego w Trieście w 1901 roku. Płótno od paru lat znajduje się w kolekcji Museo Revoltella, wraz z innymi dziewięcioma, ofiarowanymi przez córki artysty. Dyalma Stultus w wieku zaledwie siedemnastu lat, dzięki stypendium, które otrzymał od swojego rodzinnego miasta, rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Wenecji. W 1921 roku wrócił do Triestu i sześć lat później wyjechał do Florencji, gdzie

zawarł przyjaźń z Felice Careną, malarzem, którego bardzo cenił. Po niemalże dwóch latach znowu zawitał w Trieście, a w latach czterdziestych ponownie wyjechał do Florencji, by osiąść tam na stałe. Brał udział w Prima Quadriennale d'Arte Nazionale w 1931 roku oraz w Biennale w Wenecji w latach 1930, 1932 i 1934. Zmarł w 1977 roku w Darfo Boario.

Prace Dyalmy Stultusa, które znajdują się w muzeum, pochodzą z dosyć szerokiego przedziału czasowego 1930–1954, mimo to nie ma między nimi znacznych różnic stylistycznych. W operowaniu kolorem jest Stultus podobny do Paula Cézanne'a i starszego od siebie o pokolenie malarza Pietro Marussiga, w konturowaniu postaci i inspiracjach włoskim malarstwem renesansowym blisko mu do Carlo Sbisà, współczesnego jemu. Zastanawiające, że witalne kobiece ciało to główny temat czterech obrazów Stultusa, które pokazuje Museo Revoltella. Pierwsze płótno pochodzi z 1938 roku, okresu szalejącego faszyzmu, kolejne dwa malował w trakcie wojny, ostatnie, zaledwie kilka lat po niej. Mimo że przyszło mu żyć w epoce, w której zło stało się ciałem, cielesna siła, piękno i zmysłowość wciąż stanowiły dla Stulusa tematy przewodnie. Jego ulubioną modelką była żona, Norma Aquilani: ukończyła malarstwo we Florencji, w latach trzydziestych pozowała do jednego z numerów magazynu „Lil" w kreacjach Anity Pittoni, *nota bene* w tym samym numerze widzimy Stultusa również w strojach projektu Pittoni. Sama Norma Aquilani tworzyła awangardowe ubrania, była ilustratorką książki *Siedem zapalonych lamp* Ettore Cozzaniego, do której okładkę projektował jej mąż. W latach osiemdziesiątych współpracowała z pismem o sztuce „Firme nostri", wraz z trzema córkami założyła archiwum Dyalmy Stultusa. Zmarła w 2009 roku w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat.

Museo Revoltella powstało w 1872 roku zgodnie z wolą barona Pasquale Revoltella, który w testamencie podarował miastu swój pałac, położony w samym centrum neorenesansowy budynek projektu berlińskiego architekta Friedricha Hitziga, ucznia samego Karla Friedricha Schinkela. Ze względów praktycznych w XX wieku muzeum rozbudowano, do dziś jednak znaczna jego część znajduje się w dawnej siedzibie barona i utrzymuje elegancki charakter pałacowego wnętrza. Baron Revoltella: przedsiębiorca, finansista, społecznik, założyciel Szkoły Handlowej, która stanowiła podwalinę późniejszego Uniwersytetu w Trieście, stał na czele Compagnia Universale del Canale di Suez. Przedsiębiorstwo powstałe w 1858 roku z inicjatywy Ferdinanda Lessepsa przeprowadziło przebicie Kanału

Sueskiego. Revoltella żywił przekonanie, że połączenie Morza Śródziemnego z Morzem Czerwonym stworzy korzystne warunki do rozwoju triesteńskiego portu i przysłuży się monarchii austriacko-węgierskiej.

Po pierwszej wojnie światowej muzeum powiększono o sąsiadujący z nim Palazzo Brunner, a ponowna rozbudowa miała miejsce w latach sześćdziesiątych, pod kierunkiem Carlo Scarpy. Wtedy też powstał wspaniały taras, z którego otwiera się widok na okoliczne, przykryte pomarańczową dachówką budynki i morską przystań, skąd od kilku dni, z luksusowego statku turystycznego Princessa, rozbrzmiewają muzyczne szlagiery. W galerii sztuki XX wieku, w muzeum na piątym piętrze widzę kolejną *Kobietę na brzegu morza*, tym razem jest to obraz Carlo Carry z 1931 roku. Museo Revoltella szczyci się bogatą kolekcją związanych z Triestem malarzy, są wśród nich: Arturo Nathan, Edgardo Sambo, Edmondo Passauro, Adolfo Lévier, Oscar Hermann-Lamb, Giorgio Carmelich, Cesare Sofianopulo i wspomniany już Carlo Sbisà – jego Wenus, praca z lat dwudziestych XX wieku, śpi nad brzegiem morza, nakryta białą tkaniną. Kobieta i woda, to częste motywy u malarzy stąd. Na filmie z 1966 roku używa ich również Yvan Butler, opowiadając o Leonor Fini: malarce związanej z kręgiem surrealistów, performerce, projektantce. Po długich ujęciach sylwetki i twarzy artystki, kamera przesuwa się na fale, wypluwane przez rozszalałe morze na skalisty klif. Bałwany wodne suną pchnięte gwałtownym wiatrem. Innym znowu razem widzimy Leonor Fini, która pływa. Ubrana w jasną suknię i ogromny kapelusz przyznaje, że uwielbia spędzać w wodzie długie godziny. Jej zawadiacki autoportret z drugiej połowy lat sześćdziesiątych wisi w Museo Revoltella, wszak w Trieście spędziła młodość i zawsze podkreślała, że to miasto odegrało niemałą rolę w jej życiu. To tu z Bueons Aires przywiozła ją matka, nie mogąc znieść dominującego, jak powiedziała sama Fini, „ekscesywnie męskiego charakteru" jej ojca, w połowie Włocha, w połowie Hiszpana. Zawsze lubiłam się przebierać – słowa Fini – oprócz malarstwa, ubrania i odzieżowe dodatki były jej żywiołami. Ciało traktowała jako naturalne medium artystycznego przekazu. Bez cienia pruderii, a nawet iluzji nieśmiałości, szkicowała splątane w seksualnym akcie ciała: żeńskie, męskie i hybrydyczne – po części ludzkie, po części zwierzęce. Ta Penelopa decydowała sama o sobie, wybierała w zgodzie z sobą samą, żyjąc w paryskiej kamienicy przy rue La Vrillière w romantycznym związku ze Stanislao Leprim i Konstantym Jeleńskim.

„Zawsze żyłam w teraźniejszości, żyję w teraźniejszości" – mówi stojąca nad brzegiem morza Leonor Fini. Jak tutaj wygląda teraźniejszość? – przed oczami wciąż mam eklektyczne fasady, kiedy czytam nagłówki artykułów: *More and more refugees are arriving in Trieste*. Przybywają tu od 2014 roku, najczęściej przez Bałkany. Ci, dla których zabrakło miejsca w ośrodkach dla uchodźców, chronią się w ogromnych pustostanach nazywanych Silosem wstydu, w okolicach dworca kolejowego, nieopodal starego portu. Śpią na gołym betonie, rozpalają ogniska z plastikowych butelek, muszą sobie radzić z brakiem urządzeń sanitarnych i znosić towarzystwo szczurów. Właściciele Silosu – grupa Co-op Alliance 3.0, uważa, że to państwo odpowiada za zapewnienie migrantom schronienia. Przeciwne zdanie reprezentuje radny Triestu, Pierpaolo Roberti, argumentując, że Silos to mienie prywatne, niepubliczne, dlatego politycy nie mogą podjąć w nim żadnych prac remontowych. Z kolei prezydent miasta tłumaczy, że jeśli tylko przygotuje kolejnych sto łóżek, w miejskich noclegowniach zjawi się dwustu migrantów, żeby je zająć, a jeśli otworzy następne dwieście, przyjdzie czterystu migrantów. Na fatalne warunki, w jakich żyją mieszkańcy Silosu zwracają uwagę wolontariusze i biskup Triestu. W ramach programu ochrony uchodźców i osób ubiegających się o azyl polityczny, prowadzone są kursy zawodowe oraz kursy języka włoskiego i angielskiego, które mają na celu włączenie migrantów w lokalną społeczność. Program wspiera też inicjatywę organizacji pozarządowej ONG, która w podobnym duchu integracji mieszkańców i przybyszy, szuka dla tych ostatnich noclegów w niewielkich mieszkaniach, opuszczonych hotelach albo domach prywatnych. Silos jest miejscem przejściowym dla osób, które ubiegają się o status uchodźcy, to centrum informacji dla nowo przybyłych, ich punkt spotkań, a nawet wspólnej rozrywki. Stary port, brama do miasta i główny węzeł handlowy Cesarstwa Austro-Węgierskiego, strategiczne miejsce, dworzec kolejowy niegdyś łączący Triest z Wiedniem i Wenecją, z którego odjeżdżali kupcy i turyści – dzisiaj witają inne losy, goszczą inne ciała, o które upominał się papież Franciszek podczas wakacyjnej wizyty w Trieście.

A może było tak, że to trzy młode dziewczyny, które widziałam wieczorem na jednym z placów w centrum, zwróciły moją uwagę na przybywających do Triestu uchodźców. Skrótowo opowiedziały historię anonimowego przybysza, który szczęśliwie otrzymuje pomoc. Splątane ciała, ciała w uścisku, zamarłe, ciało do

ciała, ciało przy ciele – w tańcu dziewczyny usiłują pokazać, że wszystkich nas stać na solidarność i współczucie. Może w trochę naiwny sposób, myślę, patrząc na ich występ. I wtedy podchodzi do mnie Nadine i wskazując na jedną ze zgromadzonych wokół osób, szepcze mi do ucha, że to jej koleżanka, która przyjmuje uchodźców u siebie w domu. Kobieta z krótkimi siwymi włosami, w okularach, a może bez. Nie pamiętam, prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, jak wyglądała ta kobieta.

*

Nie rzuca się w oczy, chociaż przecież wszyscy wiedzą, kim jest, przynajmniej w pewnych kręgach. Unika spotkań z mieszkankami Triestu, które drwią z jej wyświechtanych ubrań. Przyjechała tutaj w 1904 roku, prosto z Dublina, wraz z mężczyzną, którego imię i nazwisko, prędzej czy później wymieni każda osoba odwiedzająca Triest. Polska Wikipedia nazywa Norę Barnacle „długoletnią konkubiną, a następnie żoną Jamesa Joyce'a" – tak, jakby współczesna polszczyzna nie znała innych słów, żeby opisać kobietę żyjącą w nieformalnym związku. A może określenie „długoletnia" to komplement? – była solidnym wsparciem dla geniusza, wywrotowca literatury. Czy może przytyk? Co tak długo? Czy nie myśli pani o uregulowaniu swojej sytuacji? Przecież mogliby państwo to zrobić chociażby dla dzieci, Giorgio i Lucia! Zerkam na angielską Wikipedię, gdzie piszą o niej jako „muzie i żonie", podobnie we francuskiej, jest „muzą i małżonką", w niemieckiej nazywają ją „partnerką a później żoną", z kolei w hiszpańskiej „jedyną żoną irlandzkiego pisarza Jamesa Joyce'a i matką dwojga jego dzieci". Spory awans, jak na konkubinę. Miasto, które co rusz przypomina o pisarzu i jego dziełach – tutaj mieszkał, tu spał, tu jadał, tu pisał – o Norze Barnacle milczy.

Przez pięć lat w Trieście, lat, które były *de facto* początkiem ich związku, przeszli sporo kryzysów. Mimo to, opierając się na listach, które Nora i James pisali do siebie oraz do swoich bliskich, badacze stwierdzają, że związek był dla nich źródłem erotycznego spełnienia. Dawał spory zastrzyk witalnej siły. Swoją drogą to osobliwa sytuacja, stać się przedmiotem czyichś wywodów, a nawet teorii psychoanalitycznej tylko dlatego, że żyło się ze sławnym pisarzem. Zdaniem Mary Trackett Reynolds, wzajemne pożądanie Barnacle i Joyce'a wynikało z ich partnerstwa. Inne stanowisko reprezentował Jacques Lacan, dla którego w związku Nory i Jamesa brakowało równości. Ich dziwna relacja seksualna istniała, mimo że,

w pewnym sensie, istnieć nie powinna. James – słowa Lacana – utożsamiał Norę ze „wszystkimi kobietami". Była prototypem jego literackich bohaterek: Anny Livii, Molly Bloom, Gretty Conroy, Lily i Berthy. Chciał widzieć Norę jako madonnę i ladacznicę oraz opiekunkę, która dogląda go z matczyną troską. Roił jej wyobrażenia, nie wiedząc, kim sam jest dla Nory. Tymczasem Tom Dalzell twierdzi, że w jej oczach, James był takim samym mężczyzną jak inni, widziała go więc jako dziecko, którym trzeba się opiekować.

Żaden z niego bohater wojny trojańskiej, którego podziwia się, postawiwszy wcześniej na piedestale. Nawet nie wytrwały podróżnik, na którego powrót czeka się latami. Molly Bloom – kolejne wcielenie Penelopy – owszem, z przekonaniem wypowiedziała brzemienne w skutki „tak", nie wyzbyła się ciepłych wspomnień o początkach znajomości z Leopoldem, wciąż trwa, powiedziałabym jednak obok niego, a nie przy jego boku. Z precyzją punktuje wady i nietrafione decyzje małżonka, uszczypliwa i do cna pragmatyczna. Ta wyemancypowana Penelopa porzuca społeczne normy, przyjmuje cielesność jako źródło energii i swobodnej przyjemności. Jej ciało, które należy tylko do niej, jest równocześnie wabikiem i kartą przetargową w relacjach z mężczyznami.

*

Z Triestem związana była również Maria Charlotta Belgijska – ta Penelopa wyruszy w podróż morską wraz z Odysem. Chodzą nawet słuchy, że tak bardzo zależało jej na sławie i władzy, że nakłoniła arcyksięcia Maksymiliana, żeby przystał na propozycję Napoleona III i przyjął cesarską koronę Meksyku. Historia Charlotty i Maksymiliana zaczęła się na dobre w 1857 roku, małżeństwem zawartym w Brukseli, miejscu pochodzenia panny młodej. Początkowo mieszkali w Mediolanie, gdzie Maksymilian sprawował urząd wicekróla Królestwa Lombardzko-Weneckiego. Pozbawiony stanowiska przez starszego brata, cesarza Franciszka Józefa, wyjechał do Triestu, gdzie szykował sobie nadmorską rezydencję, zamek Miramare. To niedaleko od centrum, zaledwie kilka kilometrów od dworca kolejowego, można tu przyjechać autobusem miejskim. Po opuszczeniu strefy magazynów, składów i przydrożnych barów, podążamy biegnącą wzdłuż wybrzeża viale Miramare. Po jednej stronie drzewa, ich zapach potęguje rzęsisty deszcz, po drugiej stronie drogi morze, ciemne i leniwe. Wejście na teren rezydencji prowadzi przez aleję rosłych drzew. Sam zamek wznosi się na cyplu. Wybudowano go w latach 1856–1859 we-

dług projektu wiedeńskiego architekta, Carla Junkera, w stylu romantycznego historyzmu, łączącego elementy architektury romańskiej, gotyckiej i renesansowej. Niektórzy mogą uznać go za kiczowaty, ja uważam, że jest malowniczy, a uroku dodaje mu sporych rozmiarów ogród. Zresztą botanika była największą pasją Maksymiliana, który w osobistym herbie umieścił ananas. Motyw tego owocu wielokrotnie pojawia się w środku zamku: na tapiseriach, firanach czy poręczach.

Zamek nie jest duży, pierwsze piętro ma charakter prywatny, drugie – reprezentacyjny. W tak zwanej sali historycznej oglądam obraz przedstawiający odwiedziny cesarzowej Elżbiety Bawarskiej w Miramare w 1861 roku. Przyjechała tu prosto z Madery. W otoczeniu dworu i w asyście Maksymiliana, Charlotta wita cesarzową. Jaka piękna scena rodzinna, jakie z nich wytrawne dyplomatki, wcale nie domyślamy się, że ich relacja opiera się głównie na rywalizacji: o urodę, popularność, wreszcie o władzę. Rodzina jak rodzina, z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu lub na dworskim portrecie. Wreszcie nadarza się sposobność, aby przerwać stagnację i wyruszyć w świat. To w tym zamku Maksymilian przyjmuje propozycję meksykańskich konserwatystów i w sali tronowej oficjalnie zostaje cesarzem Meksyku. W 1866 roku wraz z Charlottą wyruszają za ocean, żeby nareszcie spełnić swoje ambicje i sprawować funkcje, do których byli stworzeni. Władza trafiła w ich ręce. Początkowo wszystko zapowiada się pysznie, jednak co z tego, skoro już wkrótce główny rywal stronnictwa konserwatystów, liberał, Benito Juàrez, powraca na polityczną scenę, a Napoleon III, wbrew początkowym obietnicom o wsparciu Maksymiliana, wycofuje wojska z Meksyku. W 1866 roku Charlotta wraca do Europy, chcąc znaleźć mężowi sojusznika, jednak ani jej brat, król Belgii Leopold II, ani brat Maksymiliana, cesarz Franciszek Józef, ani papież Pius IX nie są skorzy do wsparcia. Skromne oddziały Maksymiliana doznają porażki, a on sam dostaje się do niewoli Benito Juàreza i w 1867 roku zostaje skazany na śmierć przez rozstrzelanie.

Charlotta spędza kilka miesięcy w Miramare w rozpaczy i obłędzie. Wreszcie daje się przekonać swojej szwagierce, Marii Henrietcie Austriaczce, do wyjazdu do Belgii. Do Miramare już nigdy nie wróci.

Jadąc autobusem między budynkami magazynów i hal, a potem między morzem a zalesionym wzgórzem, nie myślę o Charlotcie, ale o mojej siostrze Annie Marii Jadwidze, która w 2010 roku, w środku nocy błąka się po viale Miramare

w poszukiwaniu schroniska młodzieżowego. Kiedy po nieoczekiwanie długiej podróży wraz z przyjaciółką dociera na dworzec kolejowy w Trieście, jest już dawno po północy. Kilkudniowy, zasilany skromnym budżetem studenckim wyjazd to spełnienie marzeń o obejrzeniu mistrzostw świata mężczyzn w siatkówce. Ruszają na viale Miramare, przeczytawszy w przewodniku, że można znaleźć tam tani nocleg. Ponieważ żal im pieniędzy na taksówkę, postanawiają iść pieszo, w końcu to tylko kilka kilometrów. Idą pieszo, a może nawet „na nogach", w końcu są krakuskami. Udaje im się zaoszczędzić w dwójnasób. Uprzytomniwszy sobie, że nikt o zdrowych zmysłach nie otworzy im drzwi o trzeciej w nocy, decydują się spędzić noc, a właściwie te kilka godzin, dzielących je od świtu, na plaży. Do snu kołysze je szum Adriatyku. Uda im się obejrzeć trzy mecze fazy grupowej: Polska–Niemcy, Polska–Kanada, Polska–Serbia, i zwiedzić Triest, pierwsze włoskie miasto na długiej liście miejsc w Italii, które pozna moja siostra. W drodze powrotnej do Krakowa skręci sobie kostkę. Ale to nic w porównaniu z losem Charlotty i innych.

LILIAN FASCHINGER

Triest i Habsburgowie

Na początku czerwca 2019 roku spędziłam dwa tygodnie w samym centrum historycznego Triestu, w przestronnym mieszkaniu, które oddaje do dyspozycji swoich członków Towarzystwo Ochrony Praw Autorskich Pisarzy Austriackich. Używam formy Triest, nie Trieste, już to pokazuje mój stosunek do tego miasta – przez ponad pięć stuleci było ono częścią monarchii Habsburgów. Uważane za „mały Wiedeń nad morzem", architekturą i zabytkami, kuchnią, kawiarniami i cukierniami, generalnie: swoją atmosferą, jeszcze dzisiaj miasto przypomina nam stolicę Austrii. Austriak czuje się tu jak w domu. Nawet mieszkańcy Triestu twierdzą, że nie są „prawdziwymi Włochami", ale raczej Środkowoeuropejczykami, a miasto jest właściwie syntezą świata śródziemnomorskiego i środkowoeuropejskiego.

Przyjechałam wieczorem, okna mieszkania wychodziły na Piazza di Cavana – idealny punkt wypadowy do zwiedzania miasta. Następnego ranka wypiłam kawę w barze na parterze budynku, zjadłam rogalik *cornetto*, który wydał mi się szczególny, jako że był czarny, dowiedziałam się, że swój kolor zawdzięcza on dodaniu sproszkowanego węgla aktywnego. Poszłam na Piazza dell'Unità d'Italia, olbrzymi plac wychodzący na port. Swoimi wspaniałymi budynkami przywołuje pamięć o dawnym bogactwie miasta, które cesarz Karol VI, ojciec Marii Teresy, ustanowił wolnym portem. Przyniosło to korzyści dla handlu, co skutkowało masowym wzrostem liczby ludności, czemu sprzyjała dodatkowo polityka tolerancji wobec mniejszości religijnych i etnicznych za czasów Marii Teresy oraz jej syna i następcy, Józefa II. Co zdumiewa, zważywszy na to, że cesarzowa znana była z negatywnego stosunku do niekatolików. W konsekwencji Triest stał się atrakcyjny dla Żydów, greckich i serbskich prawosławnych, protestantów i Ormian. Do dziś ma status wolnego portu i jest uważany za obszar celny poza Unią Europejską.

Szczególnie szybko rozrastała się mniejszość żydowska, gdyż Maria Teresa zapewniła Żydom bezpieczeństwo prawne, które Józef II – zwolennik oświeconego

absolutyzmu i zdecydowany orędownik wolności religijnej – jeszcze bardziej poszerzył swoim edyktem tolerancji. W kwestii handlu międzynarodowego w porcie w Trieście, Żydzi odegrali rolę pionierów, zważywszy na ich doświadczenie handlowe, co pozwoliło im zdobyć wysoką pozycję w hierarchii społecznej.

Nazwa Piazza dell'Unità przypomina o połączeniu Triestu z Włochami w 1918 roku, ale ze względu na wielkość placu nazwa Piazza Grande, używana do dziś przez mieszkańców Triestu, stała się powszechnie znana w okresie, kiedy miasto stanowiło część monarchii habsburskiej. Znak tego, że przeszłość nadal wywiera wpływ na pamięć mieszkańców. Plac otoczony jest z trzech stron neoklasycznymi budynkami w stylu eklektycznym oraz barokowym Palazzo Pitteri z 1790 roku. Jednym z późniejszych budynków na placu jest Palazzo del Lloyd Triestino, zaprojektowany w 1883 roku przez Heinricha von Ferstela, architekta kościoła Votivkirche w Wiedniu, w stylu włoskiego renesansu, niegdyś siedziba austriackiego Lloyda, kompanii żeglugowej, która odegrała ważną rolę zarówno w rozwoju gospodarczym monarchii, jak i w ukształtowaniu się wielonarodowego społeczeństwa.

Na Piazza dell'Unità znajdziemy kolejną spuściznę po Habsburgach, pomnik Karola VI na kolumnie z 1728 roku, pierwotnie wykonany z drewna, później zastąpiony figurą z białego kamienia. Lewą ręką wskazuje w stronę Starego Portu. Panowanie rodu Habsburgów upamiętnia także drugi barokowy pomnik na środku Piazza Grande, a mianowicie Fontana dei Quattro Continenti, monumentalna fontanna, której cztery kobiece posągi na brzegu basenu przedstawiają znane wówczas kontynenty. Na jego szczycie uskrzydlona postać z otwartymi ramionami, otoczona paczkami, belami bawełny i lin, symbolizuje wolne miasto Triest. Fontanna wyznacza koniec Acquedotto Teresiano, podziemnego wodociągu zbudowanego za panowania Marii Teresy w celu zaopatrzenia szybko rosnącej populacji. Aby zrobić miejsce na wiec Mussoliniego, fontannę usunięto w 1938 roku, dopiero w 1970 roku wróciła na pierwotne miejsce.

Jej los dzielą zakazane w przestrzeni publicznej inne pomniki z epoki Habsburgów, w tym pomnik cesarzowej Elżbiety, który w 1912 roku stanął na Piazza della Libertà przed głównym dworcem kolejowym. Po przyłączeniu Triestu do Włoch musiał zniknąć z pola widzenia, na wiele lat umieszczono go w magazynach zamku Miramare i dopiero w 1997 roku, kiedy zarówno Włochy, jak i Austria były członkami UE, powrócił na swoje pierwotne miejsce. Również prawie dziewię-

ciometrowy pomnik Maksymiliana Meksykańskiego w mundurze wiceadmirała, który powstał kilka lat później, odsłonięty po jego śmierci w 1875 roku w obecności brata Franciszka Józefa I, został usunięty po pierwszej wojnie światowej i zwycięstwie Włochów, a od 1961 roku czekał w parku zamku Miramare, nim po prawie dziewięćdziesięciu latach nieobecności umieszczono go na dawnym miejscu przy Piazza Venezia. Pomnik upamiętniający początek przynależności Triestu do monarchii Habsburgów w 1382 roku został doszczętnie zniszczony. W ten sposób pod koniec wojny panowanie austriackie zakończyło się nie tylko politycznie, ale także symbolicznie. Niemniej jednak założony w 2011 roku ruch Trieste Libera – Wolny Triest Trieste Freedom – za pomocą dobrze widocznych transparentów na siedzibie budynku przy Piazza della Borsa, domaga się dalszego udziału Austrii w mającej tak długą tradycję działalności portowej.

Usiadłam na jednej z ławek ustawionych wzdłuż fontanny, spojrzałam na Adriatyk i pomyślałam o moich krótkich wizytach w tym mieście wiele lat temu. Mieszkałam wtedy w Grazu i gdy wydawało się, że zima ma się ku końcowi, a tęsknota za słońcem staje się przemożna, od czasu do czasu wybierałam się z przyjaciółką na jednodniową wycieczkę do Triestu, na południe, gdzie panowała już wiosna. Wczesnym rankiem wsiadałyśmy do autobusu, po kilkugodzinnej podróży spędzałyśmy cały dzień nad brzegiem morza w Trieście i Miramare, wracając do Grazu późnym wieczorem, naładowane dawką południowego ciepła.

Dla niespokojnej podróżniczki, cesarzowej Elżbiety, Triest był także odskocznią na południu i punktem wyjścia wielu podróży. W sumie była tu czternaście razy, zatrzymywała się w zamku Miramare, wybudowanym przez jej szwagra Maksymiliana. Niezależnie od ekonomii i polityki, z pewnością właśnie ta tęsknota mieszkańców Europy Środkowej za śródziemnomorskimi krajobrazami, za morzem, była jednym z powodów budowy Südbahn, linii kolejowej przez przełęcz Semmering na wybrzeże Adriatyku, co stanowiło nie lada wyzwanie technologiczne, przed jakim stanął inżynier Carl Ritter von Ghega. Dobrze sobie poradził. Południową linię kolejową z Wiednia do Triestu otwarto w 1857 roku, stawiając w dużym stopniu na turystykę – lekarze zalecali pas wybrzeża adriatyckiego ze względu na łagodny klimat.

Wieczorem wspięłam się do Castello San Giusto, weneckich fortyfikacji wzniesionych na wzgórzu o tej samej nazwie, by o zachodzie słońca móc podziwiać pa-

noramą miasta i portu. To właśnie ciągłe zagrożenie ze strony Wenecjan skłoniło obywateli Triestu do zwrócenia się o ochronę do austriackiego księcia Leopolda III w 1382 roku. W ten sposób miasto stało się częścią dynastii Habsburgów i pozostało nią, z wyjątkiem krótkich okresów okupacji przez Wenecję oraz czasów wojen napoleońskich, aż do końca monarchii. Zamek wraz z umocnieniami został zbudowany przez Fryderyka III, w obecnym kształcie dopiero od 1630 roku.

Nazajutrz rano po przyjeździe wybrałam się na długi spacer do Giardino Botanico – uwielbiam zwiedzać ogrody botaniczne. Po drodze przechodzi się przez Borgo Franceschino, jedną z trzech dzielnic, założonych przez Habsburgów w XVIII wieku w odpowiedzi na rosnący popyt na mieszkania – swoją nazwę zawdzięcza Franciszkowi II. Maria Teresa do tego czasu zburzyła już mury miejskie, osuszyła saliny na zachodzie, za bramami miasta, i zbudowała dzielnicę, która stanie się nowym ośrodkiem handlowym i do dziś nosi jej imię: Borgo Teresiano. Dzielnica Borgo Giuseppino ze swoim centrum Piazza Venezia została połączona z centrum miasta na wschodzie za panowania Józefa II. Moja trasa prowadziła przez Piazza San Giovanni, gdzie znajduje się pomnik Giuseppe Verdiego, uszkodzony przez mieszkańców sprzyjających cesarzowi i odrestaurowany po pierwszej wojnie światowej, rzekomo przy użyciu brązu pochodzącego z austriackich armat. Podczas odsłonięcia pomnika z okazji setnej rocznicy urodzin Verdiego w 1913 roku dziesiątki tysięcy Włochów zaśpiewało Chór Więźniów z opery Verdiego *Nabucco*, dając mocny wyraz żądaniom wyzwolenia spod panowania austriackiego, co miało dla Włochów ogromne znaczenie symboliczne. Włoski ruch narodowy.

W drodze powrotnej z Ogrodu Botanicznego zatrzymałam się w Caffè San Marco, kawiarni w stylu wiedeńskim, jakich wiele powstało na przełomie XIX i XX wieku. Stały się one miejscami spotkań artystów, ale również irredentystów, czyli zwolenników zjednoczenia Włoch i przeciwników Austro-Węgier. San Marco to jedna z najpiękniejszych kawiarni w Trieście, w której w dużej mierze zachowano styl secesyjny. Można się tam poczuć bardzo komfortowo. Kiedy jakiś czas temu kawiarni groziło zamknięcie, jej stałym bywalcom, a był pośród nich pisarz Claudio Magris, udało się ją uratować. Pozostała na miejscu, a od tamtej pory w części kawiarni mieści się bardzo interesująca księgarnia. Zamówiłam *macchiato* i od razu zostałam uprzejmie poinformowana przez kelnera, że ten rodzaj kawy w Trieście nazywa się *capo*.

Nie tylko tradycja wiedeńskich kawiarni pielęgnowana jest w Trieście, jest także wiele cukierni z wypiekami bardzo podobnymi do austriackich. By wymienić choćby strudel w różnej postaci, przy czym to niemieckie słowo używane jest także w języku włoskim, więc *strudel di mele* oznacza strudel jabłkowy, zwany z węgierskiego *palatschinken*, po włosku *palacinche*. Świąteczne ciasto *potica*, pochodzące ze Słowenii, po niemiecku nazywa się *Potitze*, a po włosku *putizza*. To dla mnie dowód wpływu kuchni austro-węgierskiej na włoską. *Zwetschenknödel*, kluseczki ze śliwkami, austriacki wypiek, spożywany zwykle na deser, w Trieście podawany jest, nie wiedzieć dlaczego, jako przystawka. Wiele dań mięsnych z menu Triestu również wywodzi się z krajów należących do monarchii i często podaje się je z musztardą, chrzanem i kiszoną kapustą. Choćby *Kaiserfleisch* czy *Bauchfleisch* z boczkiem, *Tafelspitz* z wołowiną, ozory i oczywiście gulasz, który pochodzi z Węgier. Także *Liptauer*, pikantna pasta do chleba znana w kuchni słowackiej, węgierskiej i austriackiej, to typowa część oferty popularnych w Austrii, zwłaszcza we wschodniej części, gospód, znanych pod nazwą *heuriger*. W zamieszkanych głównie przez Słoweńców okolicach Triestu również istnieje tradycja *heurigerów*. Sięga ona czasów Józefa II, który pozwolił chłopom sprzedawać wino i nadwyżki produktów rolnych. Te przytulne restauracje nazywają się po słoweńsku *osmize*, czyli coś w rodzaju „ósemek" – ponieważ pierwotnie winiarze mieli prawo sprzedawać własne wino do ośmiu dni w roku. W Wiedniu znakiem, że *heuriger* jest otwarty, są gałązki sosnowe lub jodłowe, tutaj jest to gałąź bluszczu. Skoro mowa o alkoholu: do dziś istnieje browar, któremu cesarzowa Maria Teresa przyznała prawo warzenia piwa, Antica Birreria Trieste Theresianer. Obecnie siedziba firmy mieści się w pobliżu Treviso, niemniej pierwotny browar otwarto w Trieście w 1766 roku.

Czekając na przyjaciela, sporo czytałam, a zwiedzając miasto natknęłam się na wiele pięknych i interesujących rzeczy, które chciałam mu pokazać. Zastanawiałam się, czy warto pojechać koleją do pobliskiej Gorycji nad Isonzo, którą Austriacy uparcie nazywają wciąż Görz, a która od 1500 roku do końca pierwszej wojny światowej była miastem Habsburgów. Właśnie stamtąd pochodziła moja babcia od strony matki, Antonia *de domo* Gasparini, co jest dość popularnym nazwiskiem we Friulii. Zapamiętałam ją jako piękną, ale dość surową szatynkę o ciemnych oczach, która czasami rozmawiała z krewnymi po włosku. Gorycja, miasto na linii frontu, bardzo ucierpiała podczas pierwszej wojny światowej, a później, po dojściu Tito

do władzy, została podzielona – granica przecina miasto na dwie części po obu stronach rzeki, część na wschodzie przyłączono do Jugosławii i od 1991 roku należy do Słowenii. Jednak nie zdecydowałam się na podróż, nie wiem dlaczego, może z powodu trudnej przeszłości – działania wojenne, potem te granice. Nie odwiedziłam włoskiej gałęzi rodziny, odstraszyła mnie obawa, że byłoby to obciążone traumą, przekazywaną przez całe pokolenia…

Wieczorem wreszcie dotarł mój przyjaciel, prosto z Biennale w Wenecji. I już następnego ranka pojechaliśmy zobaczyć związany z Habsburgami zespół zamkowo-ogrodowy dziś na przedmieściach Triestu. Miramare, mocno naznaczony tragiczną śmiercią arcyksięcia Habsburga Maksymiliana zamordowanego w Meksyku, w czasach szkolnych rozpalał moją wyobraźnię, z wypiekami na twarzy czytałam o smutnym losie naiwnej i idealistycznej pary – Maksymiliana i Charlotty. Brak entuzjazmu ze strony mojego przyjaciela dał mi do myślenia, zastanowiwszy się, musiałam przyznać, że pomimo spektakularnej lokalizacji zamku na skalistym brzegu morza, rozmachu architektonicznego i aury światowości, samo wnętrze dziwnie z tym kontrastuje. Pokoje są ciasne i ciemne, mogą sprawiać wrażenie niezbyt interesujących, wręcz zatęchłych. Jako pasjonat marynistyki, kontradmirał Maksymilian urządził swoją sypialnię i gabinet w stylu małej kabiny okrętowej, z tapetą przedstawiającą kotwice! Zaprojektowany przez niego ogromny park wokół budynku, z licznymi drzewami i roślinami ze wszystkich stron świata, pawilonami i małymi jeziorami, robi wielkie wrażenie.

W pałacu eksponowane są oficjalne portrety pary panującej. Uderzają poważne miny obojga młodych ludzi, widoczne również na dużym obrazie przedstawiającym ich wyjazd do Meksyku w 1864 roku, będącym początkiem tej tak nieszczęśliwie zakończonej wyprawy. Z inicjatywy Napoleona III Maksymilianowi zaproponowano koronę cesarza Meksyku od króla Francji Karola X, a cesarz Franciszek Józef I nie był niezadowolony, gdy ten ją przyjął, ponieważ widział w swoim młodszym bracie konkurenta o nadmiernie liberalnych i postępowych poglądach. W Meksyku mianowanie Maksymiliana cesarzem postrzegano jako niepożądaną ingerencję ze strony Europy. Ponieważ nie miał doświadczenia, nie potrafił trzymać się z dala od sporów między różnymi grupami politycznymi i prowadzić intryg, w które uwikłani byli zarówno Francuzi, jak i Hiszpanie. Meksykanie chcieli republiki, a nie monarchii. Gdy sytuacja stała się niebezpieczna, Charlotte wróciła

do Europy, starając się pozyskać dla niego wsparcie, niestety bezskutecznie. W tragicznym finale Maksymilian został zdetronizowany, skazany na śmierć przez sąd wojskowy i stracony w Querétaro 19 czerwca 1867 roku. Ponieważ losy arcyksięcia Habsburga, którym z pewnością kierowały najlepsze intencje, zainteresowały mnie i już w młodości poruszyły, odwiedziłam to miejsce, kiedy zorganizowano mi w Meksyku serię spotkań z czytelnikami moich utworów. Dziś stoi w Querétaro kaplica poświęcona jego pamięci. Jego małżonka przeżyła go o sześćdziesiąt lat, ale popadła w coraz większe zaburzenia psychiczne, co wielu historyków uważa za dowód winy, ponieważ to ona zachęcała męża do przyjęcia korony.

Inny budynek pochodzący z czasów Habsburgów poznaliśmy przez szczęśliwy zbieg okoliczności, spacerując w dawnym porcie. Jest to latarnia morska La Lanterna, do której zazwyczaj nie można wejść. Budynek powstał z inicjatywy gubernatora Triestu, Karla von Zinzendorfa, a jego powstanie datuje się na 1831 rok. Łagodną perswazją udało nam się skłonić ochroniarza, by pozwolił nam wejść do środka, wspięliśmy się po spiralnych schodach do okrągłego pomieszczenia na szczycie, z którego roztacza się wspaniały widok na statki i łodzie w porcie oraz na miasto, a także na położony zaraz obok intrygujący obiekt, powstały pod koniec monarchii – instytucję zwaną kąpieliskiem La Lanterna. Przez całą plażę, daleko w głąb wody, ciągnie się trzymetrowy mur, oddzielający część męską od damskiej, i tak jest do dzisiaj! Mieszkańcy Triestu nazywają plażę w dialekcie El Pedocin, czyli „pchełka", ponieważ żołnierze armii austro-węgierskiej rzekomo korzystali z plaży, aby pozbyć się dokuczliwych owadów.

Opuściłam Triest pewna, że nie będzie to moja ostatnia wizyta w tym mieście.

przełożył Marek Kędzierski

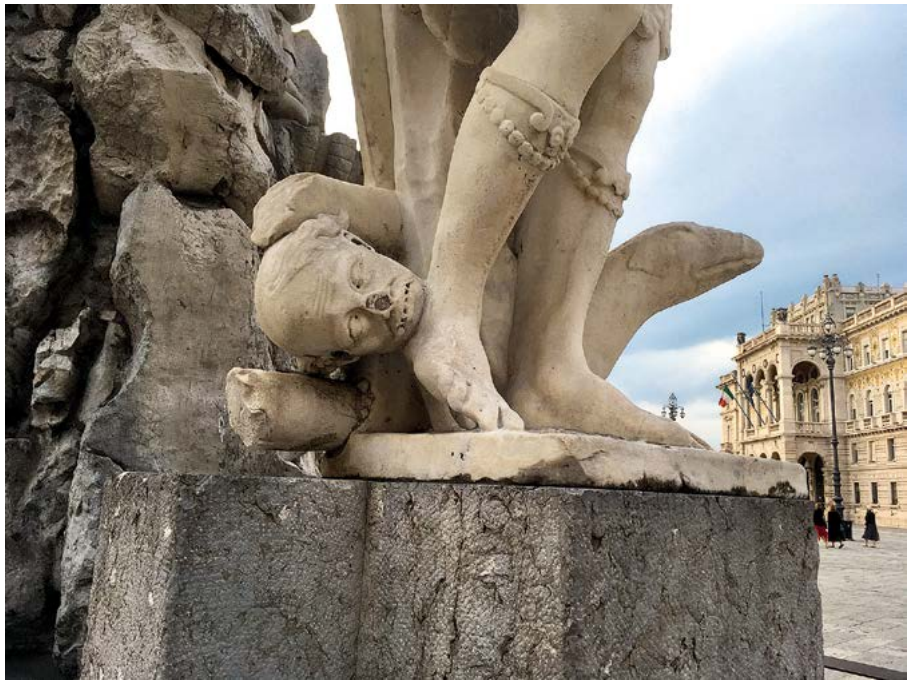

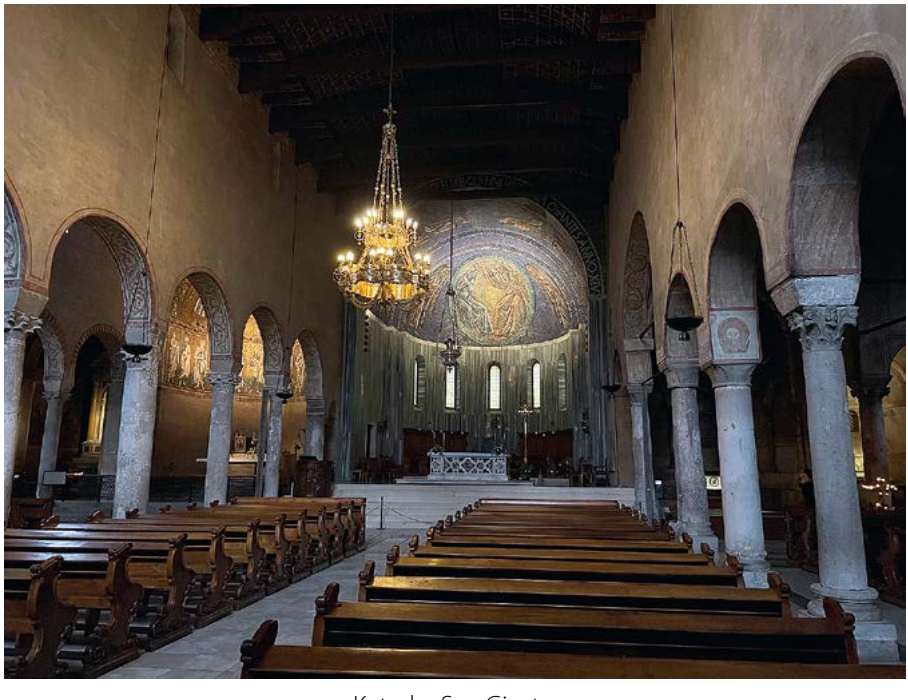

Katedra San Giusto

Museum Revoltella

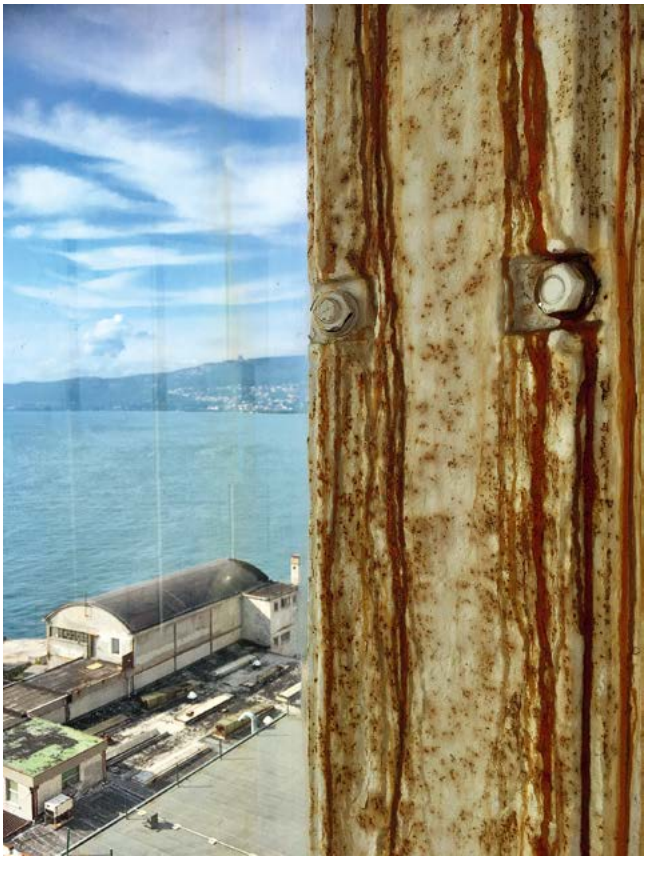

Regaty i turystyka nadmiaru

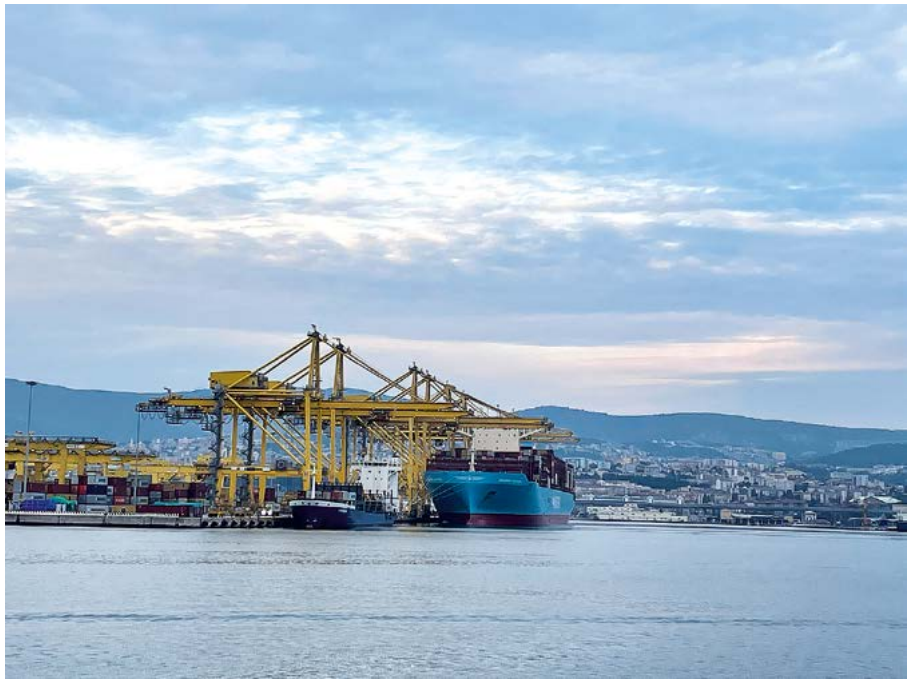

TRATTORIA

Artur Szlosarek

TRIESTE
OPICINA
404
Artur Szlosarek

Artrur Szlosarek

Artrur Szlosarek
N° 2

Kino Ambasador i zamek Miramar

Kawiarnia San Marco i Mur Kobiet

Risiera di San Sabba, jedyny w tej części Europy nazistowski obóz koncentracyjny

Triest 2024 impresje

Fotografie Marka Kędzierskiego i Artura Szlosarka (sygnowane)

Przemilczane historie. Triest słoweński

z Ivaną Soban rozmawia Marek Kędzierski

Marek Kędzierski: Zacznijmy od samej góry, od wyżyn nad miastem, dosyć stromo opadających do morza, na których nawet niewprawne oko zauważy Santuario del Monte Grisa.

Ivana Soban: 30 kwietnia 1945 roku, w przeddzień zakończenia wojny w naszym mieście, wkroczyli do niego [jugosłowiańscy] partyzanci. Legenda mówi, że biskup Triestu obiecał Matce Boskiej, iż, jeśli miasto nie zostanie zrównane z ziemią, zbuduje na wzgórzach świątynię. I że dlatego stanęła tu ta konstrukcja w stylu brutalizmu, naprawdę brutalna, okropny budynek, olbrzymi trójkąt z surowego cementu – żartobliwie nazywany przez mieszkańców Triestu *formaggino*, to znaczy serek topiony w kształcie trójkąta.

M.K.: …który widać było z Jugosławii, za włoską granicą…

I.S.: Tak, ale nie wszędzie, tylko z wyżej położonych wzgórz, i oczywiście od strony morza, z Istrii…

M.K.: Mówili mi Austriacy, że to miejsce wybrano po to, aby przymuszane do komunizmu społeczeństwo Jugosławii widziało wciąż Boga. Czy to prawda?

I.S.: Owszem, widziało się, ale trzeba się było wdrapać na samą górę i popatrzeć w kierunku morza, jako że to sanktuarium, po słoweńsku Svetišče na Vejni, nie stoi na samym szczycie, a rzeźba terenu jest taka, że na górze, patrząc ze Słowenii w kierunku Adriatyku, tylko z pewnych punktów widzi się morze.

M.K.: A jak daleko jest do granicy?

I.S.: Nie wiem, jakieś sześć, siedem kilometrów.

M.K.: Czy ten kościół spełnia jakąś szczególną rolę, czy było to po prostu upamiętnienie walk 30 kwietnia 1945 roku?

I.S.: Po wojnie starano się o równowagę etniczną regionu, obszaru Krasu. Tereny powyżej samego Triestu zamieszkiwała wyłącznie ludność słoweńska. Cały obszar znalazł się pod administracją sił alianckich, stanowił tak zwany Territorio Libero Triestino. Nie był ani jugosłowiański, ani włoski, stacjonowały na nim wojska amerykańskie i brytyjskie. Po zakończeniu ich misji jedną strefę, zonę B, przekazano Jugosławii, a zonę A, czyli Triest z najbliższą okolicą – Włochom. Zdarzało się, że włoska mniejszość, która znalazła się w Jugosławii, emigrowała na obszary po drugiej stronie granicy, a wtedy gmina dawała im mieszkania wybudowane i przygotowane dla Włochów w słoweńskich wioskach. Władze chciały, aby ludzie trochę się przemieszali, żeby słoweńskie wsie nie były w stu procentach monoetniczne. Ten kościół wybudowano w pobliżu osady, w której mieszkali wyłącznie imigranci włoskiego pochodzenia, to dla nich powstał ten kościół, żeby z daleka było widać, że tam są Włochy. Do głównej wsi przyłączono jeszcze część dla Włochów.

M.K.: Czyli polityka była taka, żeby mieszać, nie rozdzielać…

I.S.: Administracja starała się po drugiej wojnie światowej rozbić monolit etniczny, zmienić strukturę demograficzną tak, żeby nie było już wyłącznie słoweńskich wiosek. W czasach monarchii austro-węgierskiej spis ludności w 1910 roku, wykazał, że Triest na około dwieście trzydzieści tysięcy mieszkańców, liczy pięćdziesiąt tysięcy Słoweńców, tylko w obrębie miasta. A wszystkie wsie wokół Triestu miały ludność wyłącznie słoweńską. Takie były proporcje, taka była struktura etniczna. Od lat pięćdziesiątych władze starały się, by wioski były trochę bardziej włoskie, z powodzeniem, bo nie ma już całkowicie słoweńskich. Ludność włoska wyjeżdżała masowo z Jugosławii do Włoch, ale Słoweńcy z Włoch do Jugosławii nie emigrowali, może w szczególnych wypadkach, z powodów politycznych.

M.K.: W rodzinnej wiosce, w szkole, miała pani koleżanki i kolegów wyłącznie pochodzenia słoweńskiego?

I.S.: Repentabor, miejscowość, w której się urodziłam, jest dobrym przykładem tego, o czym rozmawiamy. Wioska znajduje się u stóp wzniesienia, a powyżej stoi kościół. Przed drugą wojną światową, zanim ta granica tak brutalnie rozdzieliła okoliczną społeczność, był to kościół parafialny dla całej okolicznej ludności. W chwili, kiedy ustanowiono tam granicę, jedne osady znalazły się we Włoszech, inne w Słowenii, to już nie była taka społeczność jak poprzednio. Granica naprawdę rozdzieliła ludzi. My, w całkowicie słoweńskiej wiosce, zostaliśmy po włoskiej stronie. Pamiętam z dzieciństwa, że istniała w Repentaborze włoska szkoła, ale tylko przez dwa lata, potem nie było już rodziców, którzy chcieliby zapisać dziecko do włoskiej szkoły, wszyscy wysłali dzieci do szkoły słoweńskiej. Ja miałam wszystkie przedmioty po słoweńsku, oprócz oczywiście języka włoskiego.

M.K.: A w pani wypadku to był całkiem naturalny włoski? Zaczynając naukę w szkole średniej, nie miała pani żadnych trudności? Czy to jednak był dla pani język obcy?

I.S.: To nie był mój język, w domu mówiliśmy po słoweńsku, w szkole też, wszyscy mówili wyłącznie w tym języku, więc dla mnie włoski był wyłącznie językiem miasta, słyszałam go, kiedy byłam w Trieście. I językiem telewizji.

M.K.: A włoska telewizja publiczna nadaje po słoweńsku?

I.S.: Telewizja regionalna ma program słoweński i włoski. Tak było od kiedy pamiętam – z tym że wszystkie lepsze programy dla dzieci były po włosku. Można we Włoszech oglądać też słoweńską telewizję, nadawaną ze Słowenii, tylko że program dla dzieci był we Włoszech dla nas dużo bardziej atrakcyjny, wszyscy oglądaliśmy filmy animowane, począwszy od Disneya, po włosku, japońskie kreskówki, ale po włosku. Słoweński program we Włoszech to przede wszystkim *teležurnal*, wieczorne wiadomości…

M.K.: W słoweńskiej księgarni znalazłem włoskie książki, jedną był komiks *Czarny płomień*. Z podpaleniem Narodowego Domu Słoweńców jako dominantą tematyczną. Duży format, oprawa graficzna na wskroś przekonywająca.

I.S.: W oryginale *Črni plamen,* we włoskim tłumaczeniu *La fiamma nera*. To naprawdę dobry komiks. Zoran Smiljanić stworzył obrazy, zaś tekst napisał jego syn Ivan, który jest historykiem. Akcja książki zaczyna się w epoce historii Triestu, kiedy Słoweńcy byli bardzo aktywni, świadomi swej kultury, mieli możliwości finansowe, zaczęli odgrywać ważną rolę…

M.K.: Czyli lata…

I.S..: Lata rozkwitu, koniec XIX wieku i pierwsze dwudziestolecie XX wieku. My czasy te określamy jako *vzpon*, wzlot. Ale i lata rozkwitu faszyzmu. To była epoka, kiedy rósł nacjonalizm, kiedy narodził się faszyzm, i o tym mówi ten komiks. O Trieście, w którym Słoweńcy i triesteńczycy starali się żyć spokojnie obok siebie. *Czarny płomień* to historia dwóch chłopców, jeden jest Słoweńcem, drugi Włochem, dobrze się rozumieją, tylko że różnice między nimi coraz bardziej rosną. Od Wiosny Ludów datował się mocny wzrost nacjonalizmów, i to we Włoszech niestety tak się wypaczyło…

M.K. Wiosna ludów, czyli rok 1848…

I.S.: Tak. Wtedy triesteńscy Słoweńcy zdali sobie sprawę z tego, że są Słoweńcami. Wtedy cała Europa zdała sobie sprawę, że jest dużo różnych narodów. Wraz ze wzrostem świadomości narodowej, wzrastały też nacjonalizmy. W wielu wypadkach to było dobre, bo Słoweńcy zaczęli nakładem swej energii i swoich środków przyczyniać się do tego, żeby rosła kultura, gospodarka, ekonomia w Trieście. Niektórzy, niestety, chcieli podkreślać i wyolbrzymiać nie to, co ludzi łączy, ale to, co dzieli, i faszyzm to było takie dziecko tego okresu.

M.K.: Dla kogo przeznaczony jest *Czarny płomień*? Dla Włochów, Słoweńców, dzieci, młodzieży, dorosłych?

I.S.: Dla obu grup. Ponieważ to nie tylko historia o Słoweńcach w Trieście, to też historia Włochów w Trieście, bo w 1920 roku wraz z podpaleniem Narodnego Domu, budynku Słoweńców, zaczęła się epoka ciemna nie tylko dla nich, dla całej Europy – to było pierwsze takie wydarzenie na całym kontynencie, odtąd zaczęły gwałtownie rosnąć w siłę wszystkie faszyzmy w Europie.

Oprócz tego wydarzenia, jeszcze kilka innych w Trieście znacząco zapisało się w europejskiej historii: procesy słoweńskich antyfaszystów w latach 1930 i 1941, a w 1938 roku ogłoszenie faszystowskich ustaw rasowych na placu Unità d'Italia…

Traumatyczne wydarzenia znalazły odzwierciedlenie w literaturze. Boris Pahor (1913–2022), słoweński pisarz z Triestu, opisał podpalenie Domu Narodowego, którego był świadkiem jako sześcioletnie dziecko. Widział je z placu „della Caserma", po słoweńsku to Vojaški lub Kasarniški trg. Cytuję w moim przekładzie *ad hoc*: „Cały Triest patrzył na wysoki biały dom, w którego oknach płonęły języki ognia. Płomienie jak ostre języki, jak czerwone flagi. […] »Eia, eia, eia – alala!« – śpiewali mężczyźni w czarnych fezach, mimo to strażacy rozwijali długie węże, tłum się rozstępował. […] Mężczyźni w czerni krzyczeli i bawili się jak Indianie, którzy przywiązali ofiarę do pala i podłożyli pod nią ogień. Tańczyli z maczugami i siekierami w rękach".

Boris Pahor uchodził za jednego z najważniejszych i najbardziej wpływowych słoweńskich pisarzy. Na targach książki we Frankfurcie nad Menem w 2023 roku, rok po śmierci, przedstawiony został jako główny autor ze Słowenii wraz ze świetnym artystą Jurijem Devetakiem, który jego powieść *Nekropola*, fundamentalne dzieło literatury obozowej, przedstawił w formie komiksu. Dzieła Borisa Pahora podejmowały przede wszystkim tematykę faszyzmu i nacjonalizmów na słoweńsko-włoskim pograniczu oraz doświadczeń życia w obozach śmierci. Niestety powieść nie doczekała się polskiego tłumaczenia.

M.K.: Od kiedy pani pracuje w Narodnim Domu?

I.S.: Od ośmiu lat. Dziesięć lat temu główna biblioteka słoweńska w Trieście, Narodna in Študijska Knjižnica, po włosku to Biblioteca Nazionale Slovena e degli Studi, czyli Biblioteka Powszechna i Uniwersytecka, otworzyła oddział dla dzieci w Domu Narodowym. Zgłosiłam się i przyjęto mnie do pracy.

M.K.: Narodni Dom to główna, najbardziej zauważalna instytucja, służąca mieszkańcom Triestu i regionu, tak Słoweńcom, jak Włochom, jest również wizytówką słoweńskich mieszkańców dla triesteńczyków i przyjezdnych.

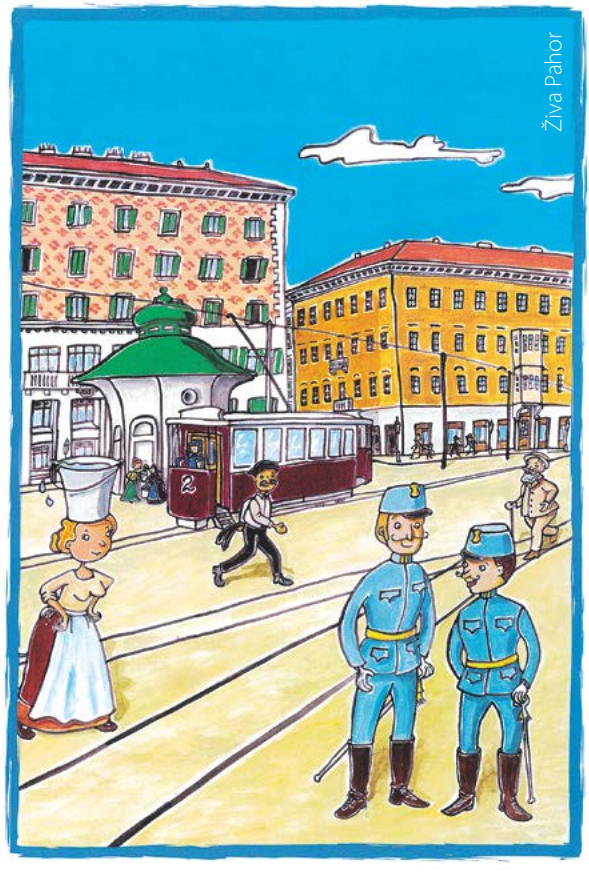

I.S.: Jesteśmy dynamiczną społecznością, zorganizowaną w różnych dziedzinach: ekonomicznej, gospodarczej, kulturalnej, edukacyjnej, badawczej i innych. Mamy wiele stowarzyszeń rozproszonych po całym terytorium oraz sieć szkół, w których słoweński jest głównym językiem nauczania i które odgrywają kluczową rolę w jego zachowaniu jako żywego języka. Wiele osób w regionie używa go na co dzień, również w pracy. Tak jest na przykład w naszej bibliotece – Biblioteka Narodowa i Naukowa. Przechowujemy i udostępniamy słoweńskie książki i inne materiały, a naszym głównym celem jest promowanie języka słoweńskiego, kultury i literatury. To zatem nasz chleb powszedni.

M.K.: A jest także prasa?

I.S.: W Trieście ukazuje się gazeta „Primorski dnevnik", która codzienne, z wyjątkiem poniedziałku, przynosi wiadomości w języku słoweńskim. Pierwszy numer ukazał się 15 czerwca 1945 roku w oswobodzonym mieście. Pismo jest moralnym spadkobiercą antyfaszystowskiej gazety „Partizanski dnevnik", którą drukowano w czasie okupacji niemieckiej w lasach Trnovskego gozdu. Dzieci mają własną prasę, czasopismo „Galeb", czyli „Mewa", o profilu literackim, właśnie obchodzi siedemdziesięciolecie swojego powstania. Współpracuje z nim wielu lokalnych autorów, pisarzy i poetów, ilustratorów. Ja regularnie publikuję w nim rysunki.

M.K.: Studiowała pani w Trieście?

I.S.: Nie, odbyłam studia w Lublanie, potem byłam przez rok na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W Trieście ukończyłam szkołę średnią, gimnazjum.

M.K.: Dwujęzyczne?

I.S.: Tylko w regionie Udine istnieje edukacja dwujęzyczna, uczyłam się po słoweńsku. Słoweńcy we Włoszech mają możliwość nauki od trzeciego do osiemnastego roku życia, całą szkołę można przejść po słoweńsku, choć nie ma jeszcze i pewnie nigdy nie będzie uniwersytetu słoweńskiego. Wszystkie przedmioty miałam po słoweńsku, plus włoski i angielski.

M.K.: Włoski jako przedmiot ma identyczny program dla Włochów etnicznych i Słoweńców?

I.S.: Szkolnictwo generalnie ma *curriculum* ministerstwa włoskiego. Program jest identyczny w całym kraju, z tym że w szkołach słoweńskich jest on realizowany po słoweńsku, oprócz zajęć z włoskiego oczywiście.

M.K.: Jest pani dwujęzyczna, do jakiego stopnia?

I.S.: Słoweński jest moim językiem macierzystym.

M.K.: Po polsku mówimy „ojczystym", znacząca różnica.

I.S.: No właśnie, polski jest językiem obcym, uczyłam się go później, na uniwersytecie, dużo wtedy się nim posługiwałam, ale teraz nie codziennie. Zaś włoski to jest coś pomiędzy, całe życie posługuję się nim na co dzień, filmy oglądam po słoweńsku i po włosku – więc włoski nie jest ani ojczysty, ani obcy.

M.K.: A w Domu Narodowym wszyscy pracownicy znają oba języki?

I.S.: Wszyscy zatrudnieni, czyli my, jesteśmy dwujęzycznymi. Ale w budynku mieści się też fakultet translatologii, tam do pracy nie ma wymogu znajomości słoweńskiego, to jest domena włoska. Ale na przykład bibliotekarz w bibliotece uniwersyteckiej ma żonę Słowenkę i nauczył się języka.

M.K.: Czy Narodni Dom jest państwową instytucją słoweńską?

I.S.: Jest prowadzony przez międzynarodową fundację, w skład jej zarządu wchodzą przedstawiciele Słoweńców we Włoszech, przedstawiciele włoskiego państwa i przedstawiciele państwa słoweńskiego. Dzięki zabiegom dyplomatycznym budynek wrócił do Słoweńców cztery lata temu, wcześniej należał do regionu Friuli-Wenecja Julijska. Po podpaleniu w 1920 roku Słoweńcy zmuszeni byli budynek sprzedać, więc już nie był w słoweńskich rękach.

M.K.: Podpalenie stało się tematem licznych utworów literackich.

I.S.: Wielu pisarzy kilku pokoleń zajmowało się tematyką Narodnego Domu i przemilczaną historią miasta: Mauro Covacich – *La città interiore*, Adriano Sofri – *Il martire fascista*, Tatjana Rojc – *La figlia che vorrei avere*, Marij Čuk – *Črni obroč / Fiamme nere*, Livio Isaak Sirovich – *Cime irredente*, Roberto Weber – *L'uomo che parlava alle statue*…, Fulvio Tomizza, pochodzący z Istrii pisarz włoski, laureat bardzo ważnej nagrody Premio Strega, a także słoweńskiej nagrody Vilenica

przyznawanej pisarzom Europy Środkowej (nawiasem mówiąc, nagrodę Vilenica otrzymali także Ewa Lipska, Adam Zagajewski, Andrzej Stasiuk i Olga Tokarczuk). Triest w czasach faszyzmu przedstawił Tomizza między innymi w *Gli sposi di via Rossetti* („Małżonkowie z ulicy Rosetti"), powieści o zamordowaniu pary antyfaszystów Stanko Vuka i Danicy Tomažič w ich własnym domu – sprawy tej nigdy nie wyjaśniono. Vuk związany był raczej z kręgami klerykalnymi, natomiast Danica była siostrą Pinka Tomažiča, antyfaszysty i komunisty, którego w 1941 roku wraz z czterema innymi osobami skazano na śmierć i zamordowano na strzelnicy w Opčinach. Nawiasem mówiąc, ta strzelnica, kilka metrów od pomnika ofiar tego procesu w Trieście, wciąż istnieje i jest placówką sportową, ludzie tam przychodzą strzelać. Fulvio Tomizza akurat nie pisał o procesie z 1930 roku, kiedy skazano na śmierć cztery osoby za podłożenie bomby w redakcji dziennika „Il Piccolo", która notabene wybuchła w nocy, nie raniąc nikogo.

M.K.: Próbując sobie uporządkować wspomniane przez panią informacje: ten region dla kogoś jak ja to prawdziwe puzzle geograficzne, tyle jest historycznych nawarstwień i zaszłości, nie tylko rozpad cesarstwa Austrii po pierwszej wojnie światowej, lecz także, już za naszych czasów, rozpad drugiego państwa wielonarodowościowego, Jugosławii, w którym większość życia spędziło pokolenie pani rodziców. Konflikty jugosłowiańsko-włoskie znamy z podręczników historii, ale tak zwane samo życie przynosiło na pewno momenty zgody i harmonii.

I.S.: Ja urodziłam się w Trieście i całe życie mieszkałam we Włoszech. Natomiast teraz mieszkam wraz z rodziną w Słowenii, w miejscowości tuż za granicą, połowę czasu spędzam we Włoszech, połowę w Słowenii. Moja babcia pochodziła z wioski, która po zakończeniu drugiej wojny znalazła się w Jugosławii, miała siostrę, brata i tak dalej. Wszyscy mieszkali w Jugosławii. Cały czas przechodziliśmy przez granicę i to nie było aż tak trudne ani traumatyczne. W pierwszych latach po wojnie dla większości ludności w obu państwach trudno było dostać się na drugą stronę, czasami było to wręcz niemożliwe. Ale ludziom mieszkającym w obszarze przygranicznym dawano specjalne przepustki, w trzech językach. Granicę można było przekraczać bez paszportu, my cały czas chodziliśmy w odwiedziny do rodziny po drugiej stronie, dla mnie Jugosławia nie była tak zamknięta. Kontrole graniczne

owszem były, ale nie takie, jak w Niemczech lub w Czechosłowacji, bo Jugosławia znalazła się po tej stronie żelaznej kurtyny, to było państwo tamponowe między Wschodem a Zachodem.

M.K.: Mieliście na pewno krewnych w dalszej części Jugosławii? Czy wojna, a właściwie dwie wojny, bo oprócz światowej, także ta pod koniec lat dziewięćdziesiątych, miała wpływ na spójność i jedność rodziny?

I.S.: W rodzinie nie było sporów, w społeczeństwie owszem, jeszcze teraz rozmawiamy, kto miał wtedy rację, jeszcze teraz rozmawiamy o tym, kto kogo zabił i tak dalej. Jeszcze teraz mówimy o takich historiach, jak ta w komiksie *Czarny płomień*, i tak naprawdę nie ma końca tego dyskursu, między innymi dlatego, iż państwo włoskie nigdy nie przyznało się, że Włochy wyrządziły ludziom krzywdę, że faszyzm był złem, że czyniły zło, no i teraz też raczej nie ma nadziei, bo świat skręca w prawo, nie w lewo, coraz bardziej podkreśla się różnice, a nie podobieństwa czy wartość wspólnoty.

M.K.: Czy czuje pani, że tak na co dzień, z punktu widzenia relacji między dwiema grupami etnicznymi, coś się poprawia?

I.S.: Jest mała nadzieja, choć Słoweńcy w Trieście, i generalnie we Włoszech, są prawie niewidoczni. W centrum miasta nie ma słoweńskich napisów, na pierwszy rzut oka wydaje się, że nas po prostu nie ma. Sądząc po oficjalnych publikacjach, promujących region Friuli-Wenecja Julijska, nie widać, że tu mieszka ktoś, kto nie jest Włochem, włoskiego pochodzenia. O Słoweńcach raczej się nie wspomina, raczej się o nich zapomina. Choć bywają od tego wyjątki. Na przykład, do ubiegłego roku, w okresie świąt Bożego Narodzenia, na głównym targu w mieście stały choinki z napisami we wszystkich językach – *Buone Feste, Feliz Navidad, Merry Christmas, Frohe Weihnachten*, ale nie po słoweńsku. W ubiegłym roku zaszła jednak zmiana, bo nalepiono także *Vesel božič*. W 2024 przypomniano sobie, że w Trieście mieszkają też Słoweńcy.

M.K.: Wyczuwam lekki sarkazm. Ale jest przecież interakcja, współpraca choćby na poziomie instytucji, a to musi jakoś się przekładać na życie mieszkańców.

I.S.: Rozwija się współpraca między słoweńskimi a włoskimi instytucjami. W teatrze słoweńskim, *Slovensko stalno gledališče* widzowie nierozumiejący słoweńskiego mają możność oglądania spektaklu z włoskimi napisami. Często jednak owocem współpracy są przedstawienia dwujęzyczne. Akurat w styczniu w spektaklu *Tako bližji / Così vicini* występuje urodzona w Trieście Lara Komar, doskonała aktorka teatralna, która z równym powodzeniem gra na ekranach włoskiej RAI i w popularnych słoweńskich serialach. Nasza biblioteka od prawie dziesięciu lat organizuje spotkania „Rojeni za branje / Nati per leggere" (Urodzeni, by czytać) oraz „Mammalingua / Mamin jezik" (dosłownie: Język mamy, w znaczeniu po polsku języka ojczystego), w ramach włoskiego projektu „Leggiamo 0–18" (Czytamy od zera do osiemnastu), którego celem jest popularyzacja czytania w rodzinie. W spotkaniach uczestniczą dzieci i rodzice różnych narodowości, niektórzy po raz pierwszy spotykają się z językiem słoweńskim.

W Trieście, w mieście, w którym faszyści ogłosili ustawy rasowe, w zeszłym roku zorganizowano międzynarodowy kongres IBBY (International Board of Books for Young People). Przyciągnął on wiele osób zajmujących się promocją czytelnictwa, postrzegających książki, zwłaszcza książki dla młodzieży, jako mosty między kulturami i narzędzie do ich współistnienia. Co dwa lata w centrum miasta odbywa się festiwal Slofest – to festiwal Słoweńców we Włoszech, organizowany przez Zvezę slovenskih kulturnih društev, Związek Słoweńskich Towarzystw Kulturalnych, we współorganizacji z gminą miejską. To świetna okazja do zapoznania się Słoweńcami. Zapraszam!

M.K.: Pani rodzice żyli w strefie literackiej państwa wielonarodowego. Jaki stosunek ma pani do literatury chorwackiej, serbskiej, bośniackiej?

I.S.: Czytam po słoweńsku, czytam po włosku, czytam też po polsku, ale w językach sąsiadów, byłej Jugosławii raczej nie. Czasem nie jestem pewna, czy rozumiem, to zależy od stopnia trudności języka w konkretnej książce. W języku serbskim dodatkowym wyzwaniem jest cyrylica, wprawdzie ją znam, ale nie mam wprawy. Ostatnio przeczytałam po raz pierwszy w całości książkę po chorwacku, Slavenki Drakulić, która podejmuje problematykę komunizmu. W latach dziewięćdziesiątych napisała świetną książkę, *Trylogię bałkańską*, zresztą po angielsku,

zbiór esejów o komunizmie, z dużym humorem. To pierwsza przeczytana przeze mnie w całości po chorwacku książka.

M.K.: Slavenka Drakulić nie była tłumaczona na słoweński?

I.S.: Tylko kilka książek, które znałam z przekładu. Brakowało mi jednak ostatniego tomu wspomnianej trylogii. A generalnie, czytamy oczywiście literaturę byłych republik jugosłowiańskich, bardzo to jest ciekawe, to, co dzieje się w sąsiednich państwach bałkańskich teraz jest też bardzo interesujące. Problemów, które związane są z wojną w latach dziewięćdziesiątych, oczywiście nie rozwiązano, z powodu nacjonalizmów, to jest taka bomba zegarowa, która cały czas tyka. Różnica jest taka, że ludzie starają się, staramy się, zachować spokój. Prawie wszyscy znaczący pisarze bałkańskich sąsiadów wydawani są w przekładach, na przykład Danilo Kiš, Aleksandar Hemon, Slavenka Drakulić, Dubravka Ugrešić i inni. Choć mam wrażenie, że Słoweńcy nie są tak interesujący dla reszty Bałkanów. Słowenia jest przede wszystkim krajem, w którym lepiej się zarabia, więc wielu przyjeżdża z powodów ekonomicznych, jak do Austrii i Niemiec. A obecnie u nas wydaje się więcej przekładów choćby z tego powodu, że dawniej wszyscy mieli język serbsko-chorwacki w szkole, my też, to był język państwowy, każdy musiał się go uczyć, więc przekłady nie były tak potrzebne.

M.K.: Kiedy czyta pani literaturę włoską, identyfikuje się pani z regionem?

I.S.: Oczywiście. Z tego nie można tak po prostu wyjść. Kiedy czytam włoskich autorów, to często są to ci, którzy mówią o tym regionie, ten skrawek Europy niełatwo zrozumieć.

M.K.: Nadine Celotti twierdzi, że nie ma bliskich przyjaciół Włochów, pochodzących stąd, z Triestu, nawet, gdy mówi *triestino*, triesteńskim dialektem. A pani? Gdy pani z kimś rozmawia na ulicy, to rodowity triesteńczyk wyczuwa, że nie jest pani rodowita, choć Włoch?

I.S.: Co do *triestino*, widać, że mój nie jest autentyczny. Nie bardzo kojarzę, nie znam wszystkich słów w tym dialekcie, a niemal każde słowo ma odmianę triesteńską. Nie wiem, jak to odbierają triesteńczycy, ale kiedy podróżujemy po Włoszech, to ludzie zauważają, że jesteśmy z tej części Włoch, ale niekoniecznie, że nie jesteśmy etnicznymi Włochami. Mąż jest w takiej samej sytuacji jak ja. A nasze dzieci, ponieważ mamy dom w Sezana, miejscowości po słoweńskiej stronie granicy, chodzą do słoweńskiej szkoły. Ta miejscowość jest wprawdzie w strefie z mniejszością włoską, ale w niej akurat takiej mniejszości nie ma, więc w szkole nie uczą włoskiego. Inaczej niż na przykład w takich okręgach jak Koper czy Isola, gdzie całe wybrzeże historycznie zawsze miało włoską mniejszość, więc mają dwujęzyczne napisy na ulicach, mają włoskie szkoły i tak dalej. Nasi synowie nie uczą się włoskiego w szkole, więc są w innej sytuacji niż my. Znają włoski, zwłaszcza starszy syn ma motywację, chodzi do klubu rugby we Włoszech, więc to jest jednocześnie sport i nauka języka.

M.K.: Widzicie ich przyszłość w Trieście?

I.S.: Widzimy. Ale muszą sami dojść do tego, że to jest ważne dla nich.

M.K.: Wspominaliśmy wcześniej zdanie Ludwiga Wittgensteina „Granice mojego języka są granicami mego świata".

I.S.: Mądrość ludowa też to mówi: Ile języków znasz, tyle razy jesteś człowiekiem. Mamy takie przysłowie: Ile znasz, tyle jesteś wart. Znajomość języka nie sprowadza się jedynie do wiedzy o zasadach gramatyki i ortografii. Znajomość języka pozwala człowiekowi zbliżyć się do innej kultury, innej społeczności, innego sposobu myślenia i innego światopoglądu. Umożliwia jednostce lepsze zrozumienie świata, w którym się znajduje. Znajomość języka sąsiada to dźwignia, która pozwala dwóm narodom zbliżyć się do siebie, zrozumieć się i – współpracować. Smutne byłoby ograniczać się do jednego języka, będąc w samym sercu Europy.

Oreste Zevola

Sztuki piękne. Galleria Torbandena
„W innym mieście nie byłoby to możliwe…"

z Alessandrem Rosadą rozmawia Aleksandra Nosalska

Galleria Torbandena mieści się w jednej z kamienic, w zacisznym zakątku historycznego serca Triestu. Nietrudno wypatrzeć ją z ulicy. Dzięki szerokim witrynom można sprawdzić, co się dzieje wewnątrz, ale dopiero po przekroczeniu progu okazuje się, że przestrzeń ekspozycyjna rozciąga się na dwa piętra. Właścicielem galerii jest Alessandro Rosada. W młodości zapalony sportowiec, później pasjonat sztuki, z której uczynił też swój zawód. Trochę poeta i zdecydowany wielbiciel psów.

Jego galeria pokazuje głównie prace malarzy współczesnych w nurcie figuracji i abstrakcji, wystawia artystów z północno-wschodnich Włoch oraz Europy Środkowej i twórców o międzynarodowej sławie. To tutaj po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć subtelne martwe natury Giorgio Morandiego oraz rzeźbę z brązu Marino Mariniego. Galeria to miejsce spotkań, rozmów i żartów. Pod koniec wieczoru, kiedy Alessandro skończył czytać nam swoje wiersze, wpadł nagle Bruno Berger-Gorski, reżyser operowy, związany między innymi z Teatro Verdi w Trieście. Na dźwięk słowa „Polska" zaczął opowiadać o wspaniałych głosach: Andrzeju Lampercie i Gabrieli Legun, która zresztą niedawno została wyróżniona Paszportem Polityki.

Aleksandra Nosalska: Pańska galeria powstała w latach sześćdziesiątych, w samym centrum Triestu, zaledwie kilkaset metrów od Canal Grande. Od 1977 roku kierował nią pana ojciec, Andy. Skąd wzięła się jego pasja kolekcjonowania i popularyzacji sztuki? Jak pan się tego uczył? Czy galeria zawsze się tak nazywała?

Alessandro Rosada: Od samego początku, czyli od 1964 roku galeria nosi tę samą nazwę, pochodzącą od niewielkiej uliczki, przy której się znajduje. Pasja mo-

jego ojca była czysto instynktowna, zrodziła się z porywu serca i sympatii do abstrakcji. Nie uczył się tego wszystkiego z książek, natomiast ja oddychałem tym od czternastego roku życia, u mnie rozwijało się to wraz z upływem czasu, dziś mam sześćdziesiąt siedem lat…

A.N.: Czy galeria miała od początku jakąś sprecyzowaną linię programową, czy powstawała ona spontanicznie? Czy prace, które pokazują Państwo na wystawach, pochodzą głównie ze zbiorów prywatnych, czy są może częścią innych kolekcji?

A.R.: Nigdy nie określiliśmy linii programowej, ale na pewno bardzo interesowała nas abstrakcja. Ważne dzieła wystawiane w galerii, na które nie było nas stać, zawsze pochodziły ze znaczących kolekcji prywatnych.

A.N.: Czy Triest, ze swoim środowiskiem intelektualno-artystycznym i kręgiem mecenasów wpływa na pana wybory jako właściciela galerii? Czy podobna galeria mogłaby funkcjonować na przykład w Neapolu czy Mediolanie?

A.R.: W żadnym z innych miast nie udałoby się zrealizować tego, co zrobiliśmy w Trieście. Orientowaliśmy się raczej na sztukę środkowoeuropejską, uwypuklając znaczenie trzech, czterech triesteńskich artystów najcenniejszych dla XX wieku. Prawdopodobnie w ostatnich dwudziestu latach można by się było doszukać pokrewieństwa naszych eksponatów do tego, co wystawia się w Mediolanie czy Neapolu, choćby z powodu obecności wielkich współczesnych artystów, takich jak Anselm Kiefer, Miquel Barcelò, Jean-Michel Basquiat, Gerhard Richter lub wielkich abstrakcjonistów o międzynarodowej renomie jak Lucio Fontana czy Piero Manzoni.

A.N.: Wracając do Europy Środkowo-Wschodniej, byłej Jugosławii i północnych Włoch, wystawiał pan prace Edo Murtico (1921–2005) – malarza tworzącego pod wpływem abstrakcji, związanego z Zagrzebiem i Vrsarem, Mieli Reina (1935–1972), malarki urodzonej w Trieście, aktywnej tu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Szczególnie interesują mnie jednak dzieła Zorana Mušiča (1909–2005), pokazywanego w galerii, od 1967 roku. Urodził się nieopodal granicy z Włochami

w Bukovicy, niedaleko Nowej Gorycji, w domu mówiło się zarówno po włosku, jak i po słoweńsku. W 1930 roku zapisał się na Akademię Sztuk Pięknych w Zagrzebiu, podróżował do Wenecji, Madrytu, Pragi, Wiednia. Mówił, że jego malarstwo narodziło się ze straszliwych doświadczeń pobytu w obozie w Dachau, dokąd trafił w listopadzie 1944 roku.

A.R.: Zoran Mušič był dla nas najważniejszym malarzem włoskim. Swoją tragiczną historię wojenną przelał na papier i płótno wiele lat po wydarzeniach w Dachau. Organizowaliśmy mu w różnych okresach wystawy indywidualne, nie tylko kierując się jego wielkością artystyczną, ale także uniwersalnym przesłaniem: Nigdy nie zapomnimy o horrorze. Ale horror wciąż się powtarza, nawet wiele lat po zakończeniu drugiej wojny światowej.

A.N.: Nie mogę pominąć wątku polskiego. W 1982 roku, jeszcze pod kuratelą ojca, zorganizował pan wystawę Tadeusza Kantora. Co wtedy pan pokazał? Czy poznał pan Kantora osobiście?

A.R.: Nie, niestety nigdy go nie spotkałem. Ale bardzo podobał mi się teatr współczesny, Grotowski, Kantor, a po obejrzeniu wystawy wielkowymiarowych płócien Kantora w Paryżu byłem oniemiały! W naszej galerii pokazaliśmy chyba ze trzydzieści jego małych akwarel, zwłaszcza *Emballage humaine*, to był chyba 1984 rok…

A.N.: Oprócz działalności ekspozycyjnej, Galleria Torbandena prowadzi regularną działalność publicystyczną. Wydała katalogi takich artystów jak: Arturo Nothan, Franseco Stefanini, Julio Vaquero, Esteban Lisa, Hubert Scheibl, Cveto Marsic, Jordi Alcazar, żeby wymienić zaledwie kilku. Galeria opublikowała też tomiki pana poezji, ilustrowane przez Oreste Zevola, artystę związanego z Włochami i Francją. Jego oszczędne ilustracje idealnie korespondują z pana tekstami, równocześnie je dopełniając. Jak doszło do tej współpracy?

A.R.: Od początku była w nas prawdziwa pasja do książek, uważam, że księgarnia, którą mamy w galerii jest bardzo zadbana. Poezja natomiast przychodzi

z daleka. Od zawsze chciałem, żeby moje teksty były publikowane razem z obrazami. Oreste Zevola był wielkim neapolitańskim akwarelistą, nasza przyjaźń rozpoczęła się w 1983 roku. Niestety nie mógł już zobaczyć mojego ostatniego tomiku z wierszami o psach z jego starymi pracami, wydanego również w Stanach Zjednoczonych.

A.N.: Galleria Torbandena współpracuje także z publicznymi instytucjami kultury. W 2016 roku wspólnie z Muzeum Revoltella zorganizowali państwo ekspozycję zestawiającą różnorodne prace ze zbiorów muzealnych z dziełami z innych kolekcji. Szczególnie uderzyło mnie zestawienie *Cariatid* (1952) Alberta Vianiego z *Fruit de rêve* (1965) i *Le petit Théatre* (1959) Jeana Arpa. Są to prace, można by powiedzieć, wyrafinowane, a jednocześnie mocno wydobywające walory materiału. Jakie były główne cele tego projektu?

A.R.: Wydaje mi się, że poruszyła pani ważną kwestię. Koncepcja wystawy w Museo Revoltella była bardzo prosta: dziesięć abstrakcyjnych arcydzieł należących do muzeum obok dziesięciu abstrakcyjnych arcydzieł należących do moich prywatnych kolekcjonerów. Próbowaliśmy stworzyć dialog między tymi dziełami. Wystawę zamykało duże dzieło Anselma Kiefera (artysty nieabstrakcyjnego), ale jego obraz był niemal hołdem dla *Cretti* Alberta Burriego. Obaj artyści bardzo się szanowali. Trochę jak rozmowa między małą rzeźbą Jeana Arpa a marmurem Alberta Vianiego.

A.N.: W publikacji *Rysunki mistrzów: Una raccolta privata*, poświęconej prywatnej kolekcji pana przyjaciela Arnaldo, wspomina pan o poczuciu ekscytacji w momencie oglądania całej kolekcji. W końcu miał pan ogromny wkład w jej powstanie. Jak wygląda proces towarzyszenia komuś w tworzeniu i poszerzaniu prywatnej kolekcji? Czy za wyborami stoją osobiste sympatie, czy może ma na to wpływ obecna sytuacja na rynku sztuki?

A.R.: Myślenie w perspektywie wpływów rynku sztuki jest nam zupełnie obce! Nie interesowało to ani Arnaldo, ani mnie. Rzecz jasna, podróżując wspólnie po Europie, aby zbudować kolekcję, musiałem upewnić się co do jakości dzieła, stanu

papieru, a także, oczywiście, czy cena wywoławcza jest uczciwa. Co więcej, każda praca musiała spełniać wymagania zarówno Arnaldo, jak i moje.

A.N.: Galeria skończyła niedawno sześćdziesiąt lat. Na wystawie z tej okazji, która zakończyła się 10 lipca 2024 roku, pokazano prace Giorgia Morandiego, Gina Severiniego, Giacoma Ballego, Lucia Fontany, Piera Manzoniego, Artura Nathana, Marina Mariniego, Henry'ego Moore'a, George'a Grosza, Marcella Mascheriniego, Zorana Musica, Miquela Barcelo, Huberta Scheibla, Jordiego Alcaraza. Czy kogoś pominęłam?

A.R.: Brawo! Myślę, że wszyscy moi ulubieńcy zostali wymienieni! Bez wspaniałych prywatnych kolekcjonerów, którzy pożyczyli nam dzieła sztuki, tej wystawy nie udałoby się zorganizować. Na szczęście galeria ma dobrą opinię, ludzie sztuki bardzo nam ufają, a dobra reputacja to największe bogactwo, jakim można cieszyć się w tym zawodzie. Nie pieniądze, nie kilkanaście gigantycznych galerii w różnych miejscach świata… Tworzy je kultura, przyjaźń, wzajemne zaufanie, radość z rzeczy pięknych, czyli to wszystko, czym w gronie przyjaciół sztuki zawsze trzeba się dzielić.

MAREK KĘDZIERSKI

Życiorysy (z) początku wieku

Aron Ettore Schmitz urodził się w monarchii austro-węgierskiej w 1861 roku, jego ojciec był niemieckim Żydem, przemysłowcem z branży szklanej czy szklarskiej, matka Włoszką, rodzice posłali go do szkoły z internatem w Würzburgu w niemieckiej Frankonii, przez dwadzieścia lat pracował w Allgemeine Bodencreditanstalt w mieście Wiedniu. Kiedy rodzice zmarli, zbliżał się do trzydziestki, zaraz potem zawarł ślub cywilny z bogatą kuzynką Livią, która jednak, po dramatycznej ciąży, przekonała go, by przeszedł na katolicyzm. Ateista, pacyfista i z przekonania demokratyczno-humanistyczny socjalista, dał się przecież nawrócić na kapitalistyczny industrializm, przystępując do biznesu swego zamożnego teścia, którego firma produkowała farby dla marynarki… wojennej, z równą korzyścią dla francuskiej, co niemieckiej. Niezależnie od pracy tego rodzaju, Schmitz był pasjonatem rodzącej się na dobre psychoanalizy oraz trudził się pisaniem – przed czterdziestym rokiem życia opublikował dwie powieści, jedna nazywała się *Una Vita* ([*Jedno*] *Życie,* 1892; tytuł pierwotny, *Nieudacznik*, odrzucił wydawca), druga *Senilità* (1898). Interes szedł dobrze, firma otworzyła filię pod Londynem, gdzie przez pewien czas Aron Ettore spędzał więcej czasu niż w Italii. Livia zwracała się do niego *per* Hektor, podobnie jak irlandzki pisarz, który dawał mu lekcje angielskiego. To entuzjazm i wsparcie dublińczyka utorowały drogę do międzynarodowego sukcesu literackiego Arona Hektora Schmitza.

Inny poddany monarchii wiedeńsko-budapesztańskiej, Umberto Poli (1885–1957), urodził się w tym samym mieście dwadzieścia dwa lata później niż Aron. Jego ojciec Ugo przeszedł na judaizm, by jako dwudziestodziewięciolatek poślubić osiem lat starszą Felicitę Rachelę Cohen. Wszakże nie na długo, jako że jeszcze przed narodzeniem syna rozstał się zarówno z nową wiarą, jak i żoną. Dziecko karmiła piersią i chowała przez pierwsze lata głównie katolicka mamka Peppa, Słowenka Gioseffa Gabrovich Schobar. Zakochanego w skrzypcach i wielbiącego

ptaki chłopca-samotnika posłano na naukę do Cesarskiej Akademii Handlu i Żeglugi, by potem pracował jako urzędnik celny. Ale górę wzięły pasje literackie, podbudowane muzyką, pierwsze wiersze sygnował jako Umberto Chopin Poli. W Pizie studiował archeologię, germanistykę i filologię klasyczną, i zaczął pisywać do socjalistycznej gazety „Il Lavoratore", czyli z grubsza biorąc, „Robotnik". We Florencji dwudziestodwulatek zobaczył po raz pierwszy swego ojca, a zaraz potem poznał Carolinę Wölfler, którą wkrótce po odbyciu zasadniczej służby wojskowej w Salerno poślubił w obrządku judaistycznym i która przez pół wieku będzie mu towarzyszyć zarówno w życiu, jak i twórczości. Życie, mimo że najpóźniej od 1919 roku chciał spędzić je w założonej przez siebie księgarni, w czasach Mussoliniego nie oszczędziło mu licznych przemieszczeń i przeprowadzek, pod koniec wojny w obawie przed deportacją ukrywał się przez kilkanaście miesięcy we Florencji i okolicach. Wraz z żoną i muzą, Liną z jego wierszy, która będzie mu towarzyszyła zarówno w twórczości, jak i w życiu.

Virgil Schönbeck (1885–1957) był jednym z niewielu przyjaciół Poliego, towarzyszem zabaw z piaskownicy, dwa lata od niego starszy. Syn Niemca z czeskiego Kolina i weneckiej piękności, przeniósł się z rodziną do Florencji w 1907 roku, aby uniknąć poboru do armii Habsburgów. Stamtąd jako przedstawiciel handlowy jeździł do spokojnej Szwajcarii. A ożenił się z Niną, szlachcianką z Moskwy, i to z nią po zakończeniu pierwszej wojny założył kiosk z gazetami, zajęcie, z którego niepewne dochody uzupełniała posada inspektora przedszkoli w niedalekiej Istrii i w Karście. Lokalny dialekt wzniósł Virgila na literacki parnas, w swoich wierszach obarczył go zadaniem oddania egzystencjalnej lekkości istnienia *orbi et urbi*.

Schmitz, Poli, Schönbeck – niektórzy spośród czytających pewnie nie zorientowali się jeszcze, o kim mowa. Mówię o trzech pisarzach z Triestu, z samego centrum europejskiej peryferii, podpisujących swoje dzieła pseudonimami: Italo Svevo, Umberto Saba i Virgilio Giotti. Nie znać zwłaszcza dwóch pierwszych, powinno być chyba powodem (literackiego) wstydu. Brzmiące po włosku pseudonimy w tej części c.k. Austrii były wówczas jak najbardziej na czasie i w cenie. Ale zwrot ku włoskiemu nie oznaczał odcięcia od korzeni. Svevo to po włosku Szwab, pod swymi wczesnymi wierszami Schmitz podpisywał się Ettore Samigli, od „marzyciela" po hebrajsku. Co do pseudonimu Saba, niewykluczone, że Poli wziął go od imienia wspomnianej mamki. Z kolei Giotii, w zastępstwie nazwiska Schön-

beck, może było hołdem weneckiej matce poety. Jak widać, skala przemieszania etniczno-religijnego jest znaczna i jeszcze będzie o tym mowa.

Svevo z portowego Triestu jest, jak wiadomo, prototypem chodzącego nad innym morzem dublińskiego Blooma z *Ulissesa*. Joyce, który stał się triesteńczykiem trochę przez przypadek, ale miasto pokochał, w 1907 roku w szkole Berlitza podkształcał w angielskim Hektora i Livię. Zaprzyjaźnili się, zaczęli czytać swoje teksty. *Senilità* (będę używał tytułu w oryginale, bo jak przetłumaczyć „senilność", polszczyzna jest okrutna dla starości: zniedołężnienie, starczy uwiąd? Jeden z polskich przekładów brzmi: *Wyznania starca*!), tak podziałała na Joyce'a, że całe pasaże znał ponoć na pamięć. Ponieważ jego powieść introspektywna przeszła bez echa, zniechęcony do pisania Svevo na długie lata zniechęcił się i dopiero dzięki entuzjazmowi Irlandczyka do niego, pisania, powrócił – *La Conscienza di Zeno* dzieli od *Senilità* ćwierć wieku! Tytuł oryginału zawiera słowo-klucz, *la conscienza*, świadomość. Svevo w 1910 roku zaczął czytać Freuda, połknął haczyk, w 1915 przetłumaczył na włoski *Interpretacje snów*. I to widać w *Zeno Cosinim*, na powierzchni, humorystycznie, ale i w głębszej warstwie, w introspekcji. Płytko, ale i głęboko. Freud.

Świadomość stała się nagle modnym tematem – w tych samych księgarniach i kawiarniach literackich siedzieli i dyskutowali o niej eksplorujący ją pisarze, niektórzy z nich nawet pozwalali analizować własną świadomość, twórczą, ale nie wyłącznie, krążącym po kawiarniach psychiatrom i psychologom. *Casus* Saba – Weiss.

Umberto Saba, wielki poeta, prawie nieznany w Polsce, autor, między innymi, tomu *Triest jest kobietą,* pozwolił to uczynić uczynić Eduardo, nieco młodszemu triesteńczykowi z urodzenia. Eduardo Weiss (1889–1970), syn pochodzącego z Czech producenta oliwy na wybrzeżu julijskim i safardyjskiej Żydówki, był uczniem Paula Federna. Już na początku stulecia, po przeczytaniu oryginalnego wydania *Interpretacji snów,* w czasie studiów medycznych w Wiedniu, odkrył psychoanalizę. Autora książki poznał Weiss w 1908 roku, prędko zaskarbiając sobie jego sympatię. Weiss utrzymywał z Freudem korespondencję – przez kilkanaście lat konsultował z nim przypadki własnych pacjentów, tudzież własny.

Freud pomagał mu leczyć malarza Artura Nathana (1891–1944), któremu Weiss malarstwo zalecał jako formę terapii. Biografia Nathana zawiera komplet elementów biografii wymienionych już twórców, profil się zgadza: pochodzenie z kosmopolitycznej żydowskiej rodziny, lektury Schopenhauera i Nietzschego w austriackim

gimnazjum, presja ojca, by został handlowcem. Dodatkowej egzotyki przydaje fakt, że ojciec był pochodzenia hinduskiego, więc tak jak on, Arturo miał też brytyjski paszport. Co miało duże znaczenie w czasie wojny światowej. Obrazy Nathana (samouka) przypominają Chirico. Choć mniej w nich humoru, są zdecydowanie bardziej melancholijne, za to nie brakuje w nich teatralności. Nim poznał Chirico w Rzymie, w triesteńskiej Caffè San Marco dyskutował z Sabą i Weissem, natomiast z Leonorą Fini i Carlem Sbisà uczestniczył w wystawie à *trois*. Choć jego płótna pokazywane były na biennale weneckim i w innych prestiżowych miejscach, dekrety rasowe pozbawiły go możliwości terapii przez sztukę, a wybuch wojny wygnał go z Triestu do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen, potem w Biberach, gdzie zmarł. To był już rok 1944 – druga wojna, a chciałbym wrócić do czasów pierwszej. Do Weissa. A najpierw do jeszcze wcześniejszej *la belle époque!* – do Freuda w Trieście.

Wiedeński papież psychoanalizy po raz pierwszy przebywał w stolicy riwiery austriackiej nad Adriatykiem jeszcze jako student medycyny. W 1876 roku spędził kilka pracowitych tygodni na praktyce w tak zwanej Stacji Zoologicznej, pod kierunkiem Carla Clausa, profesora, jak mówiono, będącego pod dużym wpływem Darwina, badając męskie organy reprodukcyjne węgorzy. Niestety badania nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, co Freud referuje w *Obserwacjach na temat struktury i szczególnej budowy płatów węgorza określanych jako jądra*.

Po godzinach mozolnego przypatrywania się płatom węgorzy Freud miał okazję na ulicach miasta zatrzymać wzrok na przechodniach, obu płci. O tej żeńskiej do przyjaciela Eduarda Silbersteina pisał, że kobiety z Triestu nie wydają mu się „szczególnie piękne", precyzując: „przynajmniej w niemieckim znaczeniu słowa" – są „typowo włoskiej urody, szczupłe, wysokie, smukłej sylwetki, z dość długim nosem, ciemnymi brwiami i wydatnymi ustami". Większą satysfakcję czerpał z rozwiązywania problemów naukowych i z patrzenia na linię brzegową „jednego z najpiękniejszych mórz" niż z rozmów z kobietami z miasta. Ale w pobliskiej rybackiej wiosce, wówczas, dzisiaj miasteczku turystycznym Muggia, dokąd dotarł drogą morską, stateczkiem, z równą satysfakcją jak rzymskie i średniowieczne znaleziska archeologiczne kontemplował kobiety, dużo piękniejsze od tych na triesteńskich ulicach.

Niewykluczone, że potem, we wczesnych latach dziewięćdziesiątych Freud zatrzymywał się w Trieście w drodze do chorwackiej części imperium, ale dopiero

w roku 1898 mamy tego potwierdzenie. 10 września wraz z żoną Marthą w porcie triesteńskim zszedł z pokładu parowca linii Lloyda. Wracali z długich wakacji w dalmackim Splicie, dzień lub dwa dni później mieli kontynuować podróż do Wenecji i Merano. Zamówili pokój w hotelu Delòrme (dziś Palazzo Modello) przy Piazza Grande, dziś Unità d'Italia. Los chciał, że tego dnia w Genewie włoski anarchista Luigi Lucheni dziesięciocentymetrowym narzędziem do ostrzenia noży zasztyletował idącą nad jeziorem bez eskorty Sisi, cesarzową Elżbietę, małżonkę Franciszka Józefa. Lucheni to był tułacz-anarchista, koczujący w Budapeszcie, jeśli się nie mylę, zanim, kilka lat przed rokiem 1898, trafił do więzienia w Trieście przy via Tigor. Zamordowanie Sisi, postaci bardzo popularnej nie tylko wśród ludu, natychmiast zelektryzowało monarchię, jeszcze tego samego dnia w całym państwie Habsburgów doszło do zamieszek, zwróconych przeciwko tak zwanym włoskim *regnicoli*, dziś powiedziałoby się *gastarbeiterom*. W Trieście już wczesnym wieczorem zaczęły się ataki, na rozpoznawalnych po ubiorze włoskich robotników. Niejako przy okazji wznoszono też okrzyki „Śmierć Żydom!". Łatwym celem stały się dewastowane w szybkim tempie kawiarnie i inne lokale gastronomiczne. Freud mógł być tego świadkiem na ulicy, zapewne też z okna pokoju patrzył na przeciągające przez wielki plac grupy wichrzycieli. Ale może w zaciszu pokoju (oferującego, jak czytam w ówczesnej broszurze, duży komfort za niezbyt wygórowaną cenę) poprawiał tekst *Interpretacji snów*, może nanosił ostatnie poprawki, dopisując końcowe akapity. Epokowa książka ukazała się rok później, w listopadzie 1899. Wydawca zdecydował się antydatować ją na 1900, aby promieniowała na całe rozpoczynające się stulecie. Tak też się stało, bez *Interpretacji snów* nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy psychoanalizy, i nie tylko jej. Niewykluczone jednak, że tego wieczora autor nie zaprzątał sobie głowy wyobrażeniami sennymi, tylko patrzył, co się dzieje wokół niego na jawie, bądź przeglądał „Il Piccolo", lokalny dziennik, na którego łamach we wrześniu 1898 roku ukazywała się w odcinkach powieść Italo Svevo *Senilità*.

Dziennik „Neues Wiener Tageblatt", wiedeński, jak sama nazwa wskazuje, szczerze żałował, że zemsta za zabójstwo cesarzowej dosięga najuboższych z ubogich, którzy, aby zarabiać na życie, musieli opuścić swoje sielankowo piękne wioski i miasteczka.

Od tej sielanki chronologicznie wybiegając naprzód, i wracając do Weissa, który w 1913 stał się członkiem ekskluzywnego Stowarzyszenia Psychoanalitycznego,

warto wspomnieć o wojennym epizodzie triesteńskiego psychoanalityka. Nim bowiem wrócił do wiedeńskich kawiarni nad Adriatykiem i wprowadził do psychologii koncept *destrudo*, spędził kilka miesięcy na froncie. W 1915 roku jako medyk trafił do regimentu polskiego, austriackiej rzecz jasna armii, skąd z powodu nazbyt wyraźnej empatii wobec jeńców włoskich, teoretycznie nieprzyjaciół, przeniesiono go na służbę do Chorwacji.

Destrudo, czyli Tanatos, instynkt śmierci to zarówno w przypadku mistrza, jak i ucznia kategorie, których sformułowanie umożliwiła trauma masowo wyniszczającej wojny.

Wróćmy więc do Triestu AD 1915. W głównym porcie morskim walącej się monarchii, w miejscu, w którym generalnie nie można było uskarżać się na nudę, panował ferment większy niż zazwyczaj. W kawiarniach krzyżowały się drogi takich indywidualności jak Svevo, Saba, Giotti, Nathan i Weiss. W istniejącej do dziś Caffè San Marco, typowo wiedeńskiej, trwały ożywione dyskusje zwolenników włoskiej państwowości. Wśród antyaustriackich patriotów dochodziło nie tylko do wymiany myśli, ale i dokumentów – cichaczem można tu było nabyć podrobione paszporty, aby nie służyć po niewłaściwej stronie. Na mocy tajnego układu zawartego w Londynie w kwietniu 1915 roku neutralna Italia zmieniła front, przystępując do aliantów, którzy w zamian za to obiecali włączenie do młodego państwa części terytoriów doszczętnie zmęczonego państwa austriackiego. Neutralna dotąd Italia – formalnie, jako że będąc sygnatariuszem trójprzymierza (1882), oficjalnie powinna stanąć w jednym szeregu z Niemcami i Austro-Węgrami. Zasiliwszy tak zwaną potrójną ententę, czyli trójporozumienie z Francją, Wielką Brytanią i Rosją, Włochy przystępowały do wojny światowej tak, jakby miała to być następna wojna o niepodległość, już czwarta. *Risorgimento* – odrodzenie państwowe następowało w kolejnych odsłonach wojen. Pierwszą zamknęło w 1861 roku proklamowanie Królestwa Włoskiego przez przyłączenie większej części historycznych ziem do Królestwa Sardynii, z Wiktorem Emmanuelem II u steru. Kolejne wojny wyzwoleńcze, jak wiadomo, powiększały obszar zjednoczonego państwa. W wyniku drugiej, po wojnie austriacko-pruskiej w 1866 roku, jego częścią stała się Wenecja. Trzecia, będąca rezultatem wojny francusko-pruskiej zaowocowała przyłączeniem Rzymu w 1870 roku. W 1915 roku stawką stały się obiecane przez aliantów część słoweńskiej Karniolii, riwiera austriacka oraz Dalmacja. Bitwa w Vittoria Veneto była końcowym aktem pierwszej wojny światowej.

Za zwycięstwo i zdobycze terytorialne przyszło zapłacić Włochom wysoką cenę. Włączając cywilów, dobrze ponad milion osób straciło życie. Na mocy traktatu z Saint-Germain-en-Laye w 1919 roku, rok później uzupełnionego traktatem w Rapallo, a ostatecznie przypieczętowanego w Rzymie w 1924 roku, do Italii przyłączono Trydent-Górną Adygę, tak zwaną Marchię Julijską, Istrię, Zatokę Kvarnerską i miasto Zara w Dalmacji. Ponieważ w Londynie obiecano więcej, a po rozpadzie imperium Habsburgów alianci nie aż tak skrzętnie spełniali wszystko, co obiecane, w dodatku jeszcze włoscy dyplomaci niezbyt się sprawdzili w przekonywaniu o swoich racjach, irredentyzm zaczął mutować się w faszyzm. Wynik wojny światowej wojowniczy Włosi okrzyknęli mianem *vittoria mutilata*. Słowo *mutilare,* zarówno po łacinie, jak i w języku włoskim ma kilka konotacji. Poharatać, rozczłonkować, oszpecić, ale i okaleczyć. Najlepiej „okaleczyć" ciało, zwłaszcza przez odcięcie jego części. I w takim sensie mówił Mussolini o niepełnym zwycięstwie. Sugerując odcięcie od Włoch całej Dalmacji. W kontekście jednoczenia kraju w trwającym kilkadziesiąt lat procesie, nie można mówić o okaleczeniu, jako że nie całe ciało zostało odzyskane, ciało się dopiero, że tak powiem, składało w całość – ale ten mit podjęła propaganda faszystowska, podsycająca włoski imperializm. W kwestii okaleczenia, największego okaleczenia doznały przecież Austro-Węgry, którym odebrano członki, no ale może słusznie, skoro przegrały w tej wojnie. *Habent sua fata verba*. Można to (całą manipulację) prześledzić na przykładzie nagle popularnych określeń.

Choćby „okaleczonej" Italii bądź Marchii Julijskiej.

To drugie jest właściwie nowym wynalazkiem, choć sprawiało wrażenie wyjętego z lamusa historii. Wymyślił je skromny (zrazu) językoznawca z Gorycji, o rzut kamieniem od Triestu. Graziado Isaia Ascoli (1829–1907) pochodził z bogatej rodziny żydowskiej, wielki ekspert rabin Samuel Vita Lolli uczył go starohebrajskiego; nie ukończył regularnych studiów, gdyż po śmierci ojca musiał przejąć rodzinne interesy – przędzalnię i papiernię. Trochę jak Svevo? Friulijski Żyd i włoski patriota jak najbardziej pasuje „profilem" do prezentowanych tu wcześniej życiorysów. Samouk z niezwykłym zacięciem do języków, mógł się im przysłuchiwać w Gorycji, tak na ulicy, jak w salonach. Oprócz niemieckiego, we wszelakich odmianach i akcentach, także słoweńskiego i chorwackiego, nie wspominając o friulskim, *latino* i *veneto*. Trzydziestolatkowi bez magisterium zaproponowano profesurę w słynnej mediolańskiej Accademia scientifico-letteraria. Wykładał tam, a potem na wielu

innych renomowanych uczelniach językoznawstwo porównawcze i sanskryt, języki żywe i martwe, romskie, celtyckie, semickie, nie zdziwiłbym się, gdyby miał coś do powiedzenia o i w eskimoskim. Mierzył siły na zamiary, badał języki jak leci, z wielkim rozmachem, swymi badaniami objął synchronicznie niemal cały ówczesny świat językowy, diachronicznie rozszerzając na dzieje całej ludzkości. Uogólniał swe obserwacje tudzież doświadczenia i wniósł bardzo wiele do rozwoju nowoczesnego językoznawstwa. Ukuł termin glottologii, czyli, nieco upraszczając, językoznawstwa historycznego.

O Ascolim mówiło sią, że był genialnym znawcą dialektów lokalnych, ladyński i friulski miał w małym palcu, może to po części dzięki niemu nawet w niedalekiej w końcu Szwajcarii retoromański, język wiosek i miasteczek, rozproszonych jak wysepki na morzu niemieckiego i włoskiego, figuruje dziś jako język oficjalny helweckiej konfederacji. Można śmiało powiedzieć, że Ascoli lokalnym dialektom nadał godność języka. I z czasem coraz więcej miał do powiedzenia w polityce. Ciężarem nabytego ciężką pracą autorytetu posiadł moralne prawo, by sprzeciwić się dominacji dialektu florenckiego i uznaniu tegoż za model i standard dla całej Italii, co postulował wielki Alessandro Manzoni. Ascoli opowiadał się za równouprawnieniem regionalnych dialektów (i za pozytywistycznym wypracowaniem nowoczesnego języka przez dyskutujących między sobą naukowców). Dysponując olbrzymią wiedzą i zapleczem intelektualnym, zgodnie z oczekiwaniami, Ascoli wypowiadał się w sprawach o największym znaczeniu dla społeczeństw mówiących po włosku. Analizując przemiany fonetyczne, mówił o językach zwycięskich i językach pokonanych. *Superstratum* i *adstratum*.

Już w 1863 roku Ascoli w patriotycznym ferworze wymyślił, całkiem na zimno, z całą racjonalnością podbitą już mniej racjonalnym podkładem emocji, termin Marchia Julijska, nawiązując do Juliusza Cezara – *perchè no*? „Marchia" jak za Świętego Cesarstwa, a więc w takim sensie, jaki znamy nad Wisłą na oznaczenie na przykład Marchii Brandenburskiej – czyli czegoś w rodzaju strefy buforowej, co w XIX wieku implikowało przedmurze, miejsce szczególnie narażone na ataki wrogów. Ascoli podparł się Augustiańskim podziałem Italii z początków Imperium Rzymskiego, którego dziesiątym regionem były Venetia i Histria. Termin ten nie od razu zaskoczył, rozprzestrzenił się, że tak powiem, dopiero przed wybuchem wojny światowej, i dopiero od 1920 roku był skwapliwie używany przez administrację.

Marchia Julijska to miały być tereny obecnie wchodzące w skład Italii, Chorwacji i Słowenii. Wersja XXL. Za jej utworzeniem, czyli od-tworzeniem rzymskiej potęgi, miało przemawiać to, że riwiera adriatycka i regiony Veneto, Friuli i Trydentu muszą mieć wspólną tożsamość, skoro łączy je język – mieszkająca na nich ludność posługuje się włoskim. Z pominięciem faktu, że te dwa dialekty, które uczony glottolog tak pedantycznie przestudiował, niekoniecznie byłyby zrozumiałe dla na przykład dwóch autochtonów z różnych części Marchii Julijskiej, spotykających się na ulicy. Choć oczywiście zrozumieliby więcej niż gdyby mieli rozmawiać z Chorwatem lub Słoweńcem.

Irredentystom argument Ascoliego o tożsamości narodowej, zbudowanej na bazie wspólnoty języka, bardzo przypadł do gustu. Mówimy tu o Europie sprzed co najmniej stulecia, nie o mowie Vladimira Putina dzień czy dwa przed inwazją na Ukrainę, w której z kiczowatym sentymentalizmem wspominał o języku i duchu Puszkina i Tołstoja, podobnie do nazistów, którzy kolonizowali dla siebie na przykład Nietzschego. Irredentyści, już faszystowscy, w zgodzie z ówczesnym trendem, chcieli włączyć do Italii tereny, na których znaczny procent mieszkańców mówił po włosku, zwłaszcza w większych miastach, zresztą nie precyzując, jak znaczny był to procent i nie patrząc na mapę etnicznych mniejszości i większości w otaczających większe miasta miasteczkach i wioskach.

W Trieście zamieszkiwało kilkadziesiąt tysięcy Słoweńców i Chorwatów. Kiedy w 1920 roku doszło do podpalenia słoweńskiego Domu Narodowego, znaczna część Italii, przywróconej do istnienia w boju przeciwko Austriakom i Francuzom (a właściwie przeciw francuskiej i austriackiej koronie), historycznie biorąc, największym oponentom tożsamości włoskiej *per se*, nie zdawała sobie chyba sprawy z tego, że słowiańskim sąsiadom czynią to samo, za co potępiali Francuzów i Austriaków.

„Mając do czynienia z rasą słowiańską – niższymi od nas barbarzyńcami – nie powinniśmy stosować polityki marchewki, lecz kija. Nie obawiając się nowych ofiar. Granica włoska powinna przebiegać przez przełęcz Brenner, Monte Nevoso i Alpy Dynarskie. Zaryzykuję twierdzenie, że z łatwością poświęcimy pięćset tysięcy barbarzyńskich Słowian za pięćdziesiąt tysięcy Włochów" – grzmiał w Puli 20 września 1920 roku, gestykulując w swym operowym stylu Benito Mussolini, odnosząc się do tego, co dwa miesiące wcześniej wydarzyło się w Trieście.

Czarny płomień, książka, o której mowa na stronie 66

Pretekstem do podpalenia Narodnego Domu był tak zwany incydent w Splicie – zabójstwo oficerów włoskiej marynarki wojennej 11 lipca 1920 roku. Dwa dni później w Trieście zorganizowane w Fascio Triestino di Combattimento bojówki zwołały demonstrację na Piazza dell'Unità. Podczas wiecu siedemnastoletni kucharz pobliskiego hotelu Bonavia (może to jego ojciec przyrządzał posiłki Zygmuntowi i Marcie

Freudom w hotelu obok) w do dziś nie wyjaśnionych okolicznościach został śmiertelnie pchnięty nożem. Ktoś z tłumu krzyknął, że to „były żołnierz", którego zabił parszywy Słoweniec. Wtedy trzy szwadrony czarnych koszul, wyposażone w kanistry z benzyną, ruszyły w stronę Domu Narodowego, niszcząc po drodze słoweńskie sklepy, biura organizacji, konsulat Jugosławii (która nazywała się Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców) przy via Mazzini, biura prawników i lekarzy, w tym politycznego przywódcy, adwokata Josipa Vilfana. Kiedy tłum dotarł do hotelu Balkan, czyli Domu Narodowego, otoczonego kordonem kilkuset żołnierzy, z drugiego piętra ktoś rzucił dwa granaty. Kilka osób odniosło obrażenia, w tym porucznik Luigi Casciana (który zmarł tydzień później). Żołnierze zaczęli strzelać w kierunku budynku, otwierając drogę szwadronom czarnych koszul, którzy weszli do środka i podłożyli ogień. Aby uciec przed płomieniami, lublański farmaceuta Hugo Roblek, gość hotelu Balkan, skoczył z okna i stracił życie.

Renzo de Felice, historyk faszyzmu, pisze, że szturm na hotel Balkan „to był prawdziwy chrzest bojowy triesteńskich szwadronów". Tymi szwadronami, w oryginale *squadri*, dowodził Francesco Giunta (1887–1971), członek włoskiego ruchu faszystowskiego od zarania – potem wysoko zaszedł w hierarchii państwa Mussoliniego. Już po drugiej wojnie światowej niczego nie żałował. „Byłem faszystą i zagorzałym obrońcą. Nie zaprzeczam. Wierzyłem, że służę swojemu krajowi i robiłem to z największą bezinteresownością. Mówią, że jestem stronniczy. Nawet Jezus Chrystus był stronniczy w stosunku do faryzeuszy. A ja zrobiłem to ze względu na moją wiarę i nigdy jej się nie wyrzekłem", wyznawał w 1950 roku.

Pochodzenie i życiorys Giunty już nie pasują „profilem" do naszych dotychczasowych triesteńskich życiorysów. Tym bardziej że z Triestu nie pochodził. Pochodził z bogatej i wpływowej rodziny Sycylijczyków zamieszkałych w Toskanii. Prawnik, mason, bywalec salonów, mąż prawnuczki Napoleona, tak: Bonaparte, ale przede wszystkim walczący fanatyk. Pierwszą wojnę światową zakończył w 1918 roku w stopniu kapitana, ale walczył dalej, przewodząc paramilitarnym bojówkom ludzi w czarnych koszulach. Zwalczał lewaków i obcych. W styczniu 1920 roku pojechał do Triestu, aby pomóc profesorowi Ruggerowi Conforto, subtelnemu znawcy poezji Giovanniego Pascoli, w konsolidacji ruchu faszystowskiego w regionie. Dobry organizator, szybko zbudował bazę masowego poparcia dla ruchu faszystowskiego, zaskarbił sobie sympatię Mussoliniego, bio-

rąc przykład z Gabriele D'Annunzio, o którym za chwilę. 14 października 1920 roku Giunta dowodził kolejnym atakiem na wrogów Italii, w czasie którego podpalono redakcję „Il Lavoratore" (gazety już w tym tekście wymienionej) – sam będąc redaktorem faszystowskiego dziennika „Popolo di Trieste". Współpracował z Benito Mussolinim przy tworzeniu oddziałów, które atakowały grupy słoweńskich „separatystów" w całej północnej Istrii. W październiku 1924 roku to on przewodził bojówkom z Marchii Julijskiej w tak zwanym marszu na Rzym. Mussolini szczerze go wynagrodził, w przypadku Giunty przymykając oko na masońskie afiliacje, które zazwyczaj zaciekle zwalczał.

Drogi Giunty niejednokrotnie krzyżowały się z drogami innego przybysza na wybrzeże Adriatyku. Gabriele D'Annunzio (1863–1938) był postacią znacznie większego kalibru niż faszystowski demagog i prowokator. D'Annunzio – miękiszon i twardziel, czego nauczyła go poezja, oduczyła polityka. Prowincjusz z głębokiego południa (Pescara w Abruzzi) do roku 1910 pisał i romansował, od 1914 walczył i politykował. Nader chętnie obwieszczał się wieszczem, to figura teatralna na miarę swoich czasów, a może i ponad, wprowadzał Nietzschego i Wagnera w życie, własne. Ten nawiedzony dekadencki poeta-mistyk, mimoza, mason i okultysta, ma w Trieście swój pomnik, a raczej pomniczek. Nie wiem, czy D'Annunzio pasuje do wymienionych tu triesteńskich życiorysów, ale na pewno bardziej niż Giunta.

Jako pilot wznosił się w niebo w wojskowych aeroplanach i kontynuował latanie, kiedy wypadek lotniczy pozbawił go oka. Odważny, zuchwały inscenizator, najpóźniej w czasie pierwszej wojny światowej ten poeta-dekadent obrócił się w twardziela, niedługo po oficjalnym jej zakończeniu, inscenizując prawdziwy zamach stanu w mieście Fiume, czyli Rijece. Chciał, by sojusznicze mocarstwa wreszcie uznały Italię jako równą im potęgę. Powinna istnieć wszędzie tam, gdzie Włosi stanowili większość, lub niemal. To D'Annunzio właśnie ukuł wspomniane pojęcie *vittora mutilata*. Rozgniewały go dyplomatyczne matactwa i hamowanie ambicji Włoch podczas negocjacji nowych granic. Zarzucał aliantom, że nie wykazali solidarności ze swymi towarzyszami broni. I wkurzył się na nich do tego stopnia, że na wieść o przekazaniu Fiume mniejszości demograficznej, ludziom, którzy nazywali miasto Rijeką, Jugosławii (wtedy występującej jako Królestwo Serbii, Chorwacji i Słowenii), porywczy poeta-polityk 12 września 1919 roku, poprowadził stu osiemdziesięciu sześciu żołnierzy z pierwszego batalionu

drugiego pułku grenadierów Królewskiej Armii Włoskiej z Ronchi do Fiume, gdzie zaczęły do nich dołączać inne jednostki, tak że w ciągu kilku dni D'Annunzio dowodził siłą dwóch tysięcy pięciuset żołnierzy, nacjonalistów i weteranów pierwszej wojny światowej. Choć amerykańskie, brytyjskie i francuskie siły okupacyjne postanowiły się wycofać, spalił na panewce oryginalny plan natychmiastowej aneksji Fiume – siły rządowe rozpoczęły blokadę miasta, żądając kapitulacji zbuntowanych. Wtedy D'Annunzio ogłosił Fiume niepodległym państwem, zakładając tak zwaną Włoską Regencję Carnaro (od nazwy zatoki Kvarner) pod przywództwem Il Duce, czyli jego samego, w roli Przywódcy. Samozwańcze państewko istniało ponad rok, potem Rijeka przeszła pod administrację międzynarodową, dopiero w 1924 roku została przyznana Włochom, których wypędził Josip Bros Tito w maju 1945 roku.

W czasie insurekcji dyktator-poeta próbował zorganizować alternatywną Ligę Narodów dla uciskanych nacji (chciał na przykład uzbroić Irlandczyków) i starał się zawierać sojusze z różnymi grupami separatystów na Bałkanach, choć bez większego powodzenia. D'Annunzio zignorował traktat z Rapallo i wypowiedział wojnę samym Włochom, ostatecznie poddając obszar Kvarnu dopiero 29 grudnia 1920 roku, po krwawym bombardowaniu miasta przez włoską marynarkę wojenną i pięciu dniach walk.

Włoska regencja Carnaro trwała szesnaście miesięcy. Dziesięć lat później, w 1929 roku, serbski król Aleksander I po zamachu stanu proklamował Królestwo Jugosławii, potwierdzając wyższość narodu serbskiego. W 1941 roku, kiedy jego syn Paweł II zerwał sojusz z państwami Osi (Włochy i Niemcy), Niemcy, wspierane przez armię włoską, dokonały inwazji na Jugosławię.

Nie chcąc wdawać się w dyskusje, tylko dla ogólnej orientacji wymieniam fakty w największym uproszczeniu. Słowianie rozpoczęli systematyczne najazdy na południowe Bałkany w VII wieku. Królestwo Chorwacji istniało w późnym średniowieczu przez półtora wieku, do początku XI. Wybrzeże Adriatyku zamieszkiwali Histri, Liburnowie i Dalmatyńczycy, którzy nie byli Słowianami. Ponieważ nie udało im się utworzyć federacji, przez pół wieku byli pod władzą Węgier. Na początku XV wieku król Władysław Andegaweński sprzedał Dalmację Wenecji za sto tysięcy dukatów. Po upadku Wenecji, w 1814 roku, na mocy traktatu paryskiego, Austria przejęła Istrię i Dalmację, utrzymując ustawodawstwo i szkoły

z językiem włoskim. Istria przedstawia chyba jeszcze bardziej złożony wzór etniczno-topograficzny.

I właśnie w stulecie proklamowania samozwańczej regencji w Trieście w pobliżu dawnej Giełdy na Piazza di Borsa zasiadł starannie i gładko wyrzeźbiony D'Annunzio. Politycy miejscy zamówili pomnik poety, nie polityka-anarchisty. Niepozorna postać siedzi skromnie, podpierając się o plik książek, więc jest postacią uskrzydloną tylko wewnętrznie i niezbyt wzniosłą (tym lepiej!). Ale krytycy i tak krytykowali niestosowność stawiania pomnika w stulecie awantury w Rijece – burmistrz tego miasta pisał, że w niedalekim Trieście stanął pomnik agresora i tyrana. I to niby w zaprzyjaźnionym kraju EU.

Ale niektórzy stanęli w obronie, wśród nich tak znane autorytety, jak historyk Vittorio Sgarbi czy Claudio Magris, pisarz, którego nazwisko powinno w tym numerze padać znacznie częściej. Sgarbi napisał w „Il Giornale", że pomnik „jest zaszczytem dla Włoch", biorąc pod uwagę literacką rangę D'Annunzia. Natomiast Magris w „Corriere della Sera" bronił D'Annunzia, podkreślając, że nawet ci, którzy, być może słusznie, pałają do niego nienawiścią polityczną i gardzą jako obywatele, nie mogą zaprzeczyć, że był wielkim poetą Włoch, Europy i świata, świadomym cynikiem i genialnym artystą, który przeżył i pomógł stworzyć, jako protagonista, radykalną światową transformację języka poetyckiego, sztuki w jej relacji do życia i pieniędzy. Ponadto, zwraca uwagę Magris, epizod Fiume jest „znacznie bardziej złożony niż łatwizna, z jaką jego krytycy skłonni są do prostych uogólnień". Przecież podczas swojej regencji w Rijece D'Annunzio otworzył szkoły włoskie, chorwackie i węgierskie, szanując i rzeczywiście wzmacniając wielonarodowy charakter miasta. W ramach postępu przywrócił też instytucję rozwodu. Carta Carnaro, napisana przez Alceste De Ambris, wprowadziła godne dzisiejszej ery założenia ochrony pracy i pracowników.

Na życiorysach dwunastu mężów związanych z Triestem i okolicami poprzestając, wypada stwierdzić, że na ich przykładzie rysowałem życie miasta zaledwie w ciągu jednego ćwierćwiecza – i była to *la belle époque*. Następne ćwierćwiecze przyniosło straszne ekscesy po stronie włoskiej, kolejne utrwaliło na niewielkiej przestrzeni wielki podział na Zachód i Wschód, wreszcie ostatnie zakończyła po wschodniej stronie krwawa wojna. Warto o tym pamiętać w kawiarni przy molo Audace, wystawiając muskaną przez lekką bryzę twarz na łagodne promienie zachodzącego słońca.

Artrur Szlosarek

KRZYSZTOF LISOWSKI

To

Dla M.

To jest jak grecki wysoki pożar
Biegnący jak biegną przestraszone konie

I jeszcze ten wiatr
Który prowokuje taniec
Gestykulację płomieni

Słychać kłótnię ognia i wody
Walczą o pierwszeństwo

21 sierpnia 2024

Nad światem

Leciałeś nad światem kilkadziesiąt razy
I teraz może polecisz na koniec
Ciemnego miesiąca przed zimą

Myślisz o kaligrafii podróży
Znakach na pustyni
Szachownicach dla olbrzymów
Ścieżkach arteriach po których
Przesuwają się reflektory życia
O jaskółkach obłoków
I tańczących pod nimi cieniach

Tysiącach pojedynczych istnień
Płaszczyznach gór pod śniegiem
Wyboistych morzach i wyspach na wygnaniu
Kiedy czytasz zabrany do plecaka tomik wierszy

Może to będzie spokojny (jak u Toma Mertona)
Lot do Eureki

A nad oceanem mocne jasne światło
Odzyskiwanie pustki
Dla każdej myśli
Dobra wola czasu

1 października 2024

Po filmie *Tintoretto*

Po tych samych wodach znów
Fala niesie do Wenecji
Raniących i zranionych
Umarłych i żywych

Czujemy zapalczywość burzy za plecami
Ale dalej widać słońce na słonych kamieniach

Zapisuję to niecierpliwie
W kącie ciemnej sali niedzielnego kina
Nie widząc liter
Nie wiedząc czy da się je
Ze zrozumieniem odczytać
Kiedy wrócę do świata

11 sierpnia 2024

Może już wtedy przeszłaś na stronę Etrusków

Biegli jak wszyscy w sztuce
Przemijania zatrzymali się w
Słowach chimerach przedmiotach
Które kradziono wiele razy

Przebiegli swoje stąd do wieczności
Obserwatorzy nieba badacze piorunów
Znaleźli metę ostatnie zwycięstwo
W podziemnych mieszkaniach pod kopcami trawy

Ale najpierw ktoś wybrał ten brzeg
Ktoś inny już tu był czaił się
Z ciekawością i lękiem schodził
Ze wzgórz po zmroku ku morzu

I zaraz Tarkwinia jej wieże
Łapiące sygnał z głębokiego nieba
Z błogich popiołów zapraszała na ucztę
I polowania przelotne dotknięcia

A trochę później stanęłaś w muzeum florenckim
Niedaleko potwora z Arezzo
Który zapewnia Ci niedokładność znikania
Lekkomyślną niepewność adresu

Moja Etrusko
Truskawko
Cieniu Kochany
W tamtych majowych zaświatach

Ryba

Grażynie Zambrzyckiej

W wielkiej rybie zamieszkaliśmy
Chcąc nie chcąc Grażyno
I teraz Ty z Vancouver
Znad Pacyfiku kiedy kuguar
Biega po Twoich ogrodach
I ja nad Wisłą w zimnym cieniu stycznia
Może patrzymy w jednej chwili na
Opactwo w Tyńcu
Zakręt rzeki
I zimowe ptactwo które wolno płynie
Do morza albo do źródeł ukrytych
W górach naszego zdziwienia
A my ciągle w tej rybie
Zwanej światem i czasem
Wiezieni pod jednym słońcem
Na inne wybrzeża

31 stycznia 2025

ARTUR SZLOSAREK

Paradiso terrestre (*glossa*)

Według mojego ojczyma, a ten nie należał do osób wykształconych,
Człowiek jest modelem świata, ruchomym miejscem zetknięcia

Ziemskich elementów z fragmentami pierwiastków o celestialnej
Proweniencji. Nie ma dobrych terminów, podkreślał, w dodatku

Każdego dnia zapominam jedno słowo, powtarzał. Kwadraturą koła,
Córą Kaina i synem Abla. By kara była równa winie, nasz kosmos

Nie ma centrum. Kiedy tak mówił, był już po dziesięciu dniach postu
I pił bez umiaru *kykeon*. A było to tak dawno, że prawie zdążyłem

Zapomnieć, że trochę wcześniej Kronos obciął jądra ojcu i wrzucił je
Do morza. Dlatego na sto metrów od praczasu bije mi z głębi ucha

Tinitus. Na pewno słyszałeś te piski na długo przed urodzeniem,
Zanim udało ci się przypomnieć, że czytanie to czynność liturgiczna,

Bez celu i rzeczywistych ram. Ale czy śmierć brzydzi się ludźmi?
Nie mam jasnego pojęcia. Przespałem lata, w oczekiwaniu na wiersze.

Spałeś w cieniu drzewa figowego, dotykając językiem snu otchłani?
Szczur zbiegły z laboratorium, w ciszy nieskończonych przestrzeni?

Tam na dnie wykręcam prześcieradło, w aerozol wstępuję, asteniczny
Zapach pustynnej pomarańczy, *corpo aereo*, aluzja poza aluzjami.

Każdego dnia na zakręcie mitu opłacamy bezdeń niewymienną
Walutą. By ktoś tu włączył nieświetlne światło i naprawił budziki?

Po raz pierwszy od roku poszłam do restauracji, zamówiłam ostrygi
I *chablis*. Potem pizzę, z pieca opalanego drewnem, a do niej ćwiartkę

Wina z Akwitanii. Uczta była przednia, ale restauracja wydawała się
Nazbyt tłoczna, rachunek zaś z hojnym napiwkiem wyniósł mnie całą

Drachmę. A teraz, pomimo tego, że jestem dwa razy zaszczepiona,
Czuję, że muszę pójść na kwarantannę, na czterdzieści dni, od nowa.

Kaspar Hauser to reinkarnacja z Atlantydy, słyszę, a więc pokora ma
Sens. Piszę niewłasnymi słowami: umarli mnie potrącają, przechodząc.

Równia pochyła
(medytacja)

Półka z książkami, na wysokości oczu, jeśli ciało się znajduje
W pozycji pionowej. Od prawej strony do lewej, kilka propozycji.

Nie wszystkie przetrawione, ale większość. (Powiedz mi, co masz
Na półce, a powiem ci, kim jesteś). Pierwsze siedem tytułów,

Odkurzonych przed końcem ubiegłego roku. (Odbiegło ode mnie
Nieodwracalnie tych kilka miesięcy). (Jeden autor na księżyc,

Cały, po utracie równowagi). Wunenburger, Jan Jakub, *Filozofia*
Obrazów. Petrarka, *O niewiedzy własnej i innych*. Niezły szpan,

Prawda? Może autoreprezentacja? *Pytanie o Nieuwarunkowane*,
Tillich. Zaledwie kilka stron, w środku. Arystoteles, *Retoryka*

Poetyka (kiedy to robiliśmy na zajęciach, ZOMO przywracało
Ład na Gołębiej). Co dalej? Wehr, *Jakob Böhme*, w przekładzie

Jerzego Prokopiuka (Wikipedia podaje, że odszedł na Covid).
Wydanie w twardej oprawie, wielokrotnie czytane. Wypadają

Z wnętrza zdjęcia Brodskiego, bilet i zaproszenie na spotkanie
Z czytelnikami, w ramach Targów Książki (nieaktualne). (Mam

Dziś uczucia zmieszane. *Życie jest gdzie indziej*, sugeruje inna
Wizja sprawy). (No, wiadomo, chodzi o polemikę z Kunderą).

„Bóg świętego świata i Bóg świata ciemnego to nie dwaj Bogowie".
(Niewinne podkreślenie). Ceronetti, *Drzewa bez bogów*. A zaraz

Za nimi sceptyczny Leopardi, *Dziełka moralne*. Dwie ostatnie książki
W tłumaczeniu Stanisława Kasprzysiaka (opracowanie graficzne:

Dmitrij Szewionkow-Kismiełow) (świetne rysunki), w wydaniu
Martwego agenta, ukrywającego się pod pseudonimem „Monika"

(Lubię to imię). (Kasprzysiaka poznałem, lecz bardziej mi przypadł
Do gustu Adam Wodnicki w Zwisie). (Obaj już po tamtej stronie).

OK. Wiedzieć, jak się ma zdanie: „każde słowo jest słowem zaklęcia.
Jaki duch wzywa – taki też się pojawia" (Novalis) do zdania:

„Myślę, że głębszym znaczeniem jest jego brak – i to w moim
Przekonaniu najzupełniej wystarczy" (Kafka)? Czy też lepiej:

Nie wiedzieć? Wolałbym się tu nie opowiadać jako metafora.

Krynica, Zdrój – Rytro (na Lido)

Pierwszy Maja, na Lido, częściowo. Idę brzegiem spokojnych wód,
Sprawdzić, ja magnetyczne, jak się ma do rzeczy *Hotel des Bains*.

Tu, na wąskiej wyspie, domy się już nie kołyszą, obmywane falami,
Jak tamte, przyklejone terminalnie do lądu, osadzone na palach.

Dobrze, dobrze… Ale: kto idzie? Żywa śmierć autora idzie zobaczyć
Scenerię, zapamiętaną przez urwaną rolkę pamięci? Morze to przecież

Autor widmo, który przyleciał tu wczoraj zza gór ułudy. Światło tak
Do mnie mruczy, jak kot, wytarzany w mokrym piasku, sam w sobie;

Ciekawy: jakby killer, ale bez śladów rybiej głowy w pysku. Ale:
Może to szum miauczy, sklejony dźwiękami słonej pieśni, która się

Też jakby przez przypadek tu znalazła, za kulisami dramatu istnienia.
(Dalej uważam, że *poważny żart* to właściwa formuła dla liryki łaski).

(Wątek tej pieśni nie będzie teraz podjęty, chociaż nosi tytuł *Susej*).
To *Adagietto* nijak się też ma do *tego* hotelu, który czeka na remont.

Da Vinci wypróbowuje na dnie batyskaf. I *Hotel Exelsior* wizualnie
O wiele mocnej wkręca, jako żywy monument zaprzeszłej epoki,

Kiedy Tadek, syn kościelnego z Czyżyn, kazał nam na siebie wołać:
„Snake", nad wódką czystą, co w towarzystwie budziło spore emocje.

(Co za lobby! Imponujące, ale nie wolno pod żadnym pozorem palić.
Posiedzieć za to w dobrze przewietrzonym wnętrzu – jak najbardziej).

A wszystko to za karę, jakby było mało, że naszą substancją jest ułuda.
Przez góry, z Krynicy do Rytra, to nieco ponad trzydzieści kilometrów.

Pociąg z Krakowa wlecze się całą noc. Już na początku drogi obcierają
Mnie pionierki, ale jestem twardy, idę, jakbym szedł brzegiem, w ciszy.

Na granicy utraty przytomności, z bólu, promieniującego z poranionych
Stóp, następuje wybuch i wyrzucam tłumiony przez wiele godzin krzyk,

Tuż przed samym celem, schodząc w ciemnościach po glinie i w błocie,
W dół, gdzie zaczynają się pojawiać idiomy i słychać, jak ujadają dni.

(Nie mogę sobie wybaczyć tego załamania). Przeniesienie się z Rytra
Na Lido (*rites de passage*) zajęło mi ćwierć wieku (śladami grzechu),

Ale to nic pewnego. Faza liminalna lubi się przeciągnąć poza czas, lubi
Napłakać, jak kot, kiedy nikt nie widzi, że siedzę i patrzę na lata minione.

Umysł i mowa to dwa wielkie dary. Pamięć wewnętrzna nagrywa
Najdrobniejszy ruch. Psu stabilizuje się stolec. A ta uwaga to skąd?

Próbujesz się wydobyć na ironiczny dystans? Na szczęście.

PAWEŁ MOSSAKOWSKI

Wanna

Mieszkałoby się nam idealnie, zupełnie bezkonfliktowo, gdyby Ołena nie kąpała się tak często. Wprawdzie były to bardzo krótkie kąpiele, ale brała je kilka razy dziennie. A kąpiąc się, uniemożliwiała innym dostęp do łazienki. W naszym mieszkaniu, wiadomo, łazienka wspólna z ubikacją, kibel i wanna w jednym, takie „vidal sasoon" budownictwa socjalistycznego. Więc, gdy Ołena ją zajmowała, wynikały z tego kłopotliwe sytuacje.

Gdyby nie te kąpiele, naprawdę nie można byłoby się do niej przyczepić. Żyło się nam z nią i z jej matką doskonale, bez żadnych zgrzytów. Ewa początkowo trochę się obawiała mieszkania z nimi pod wspólnym dachem. W ogóle ich przecież nie znaliśmy, spotkałem je przypadkiem. Pojechałem jak co dzień na dworzec z tacą domowych kanapek. Akurat dotarł pociąg z Przemyśla. I gdy tłum zmęczonych pasażerów przeszedł już do hali, gdzie było centrum pomocy – zgarniając po drodze całą zawartość tacy – zobaczyłem na peronie dwie kobiety, jedną starszą, drugą w średnim wieku, przerażone, miotające się, na granicy płaczu. Spytałem, co się stało, jak mogę im pomóc, i wtedy mi powiedziały, że ktoś miał je odebrać, jakiś muzyk, znajomy męża tej młodszej, ale nawalił. Nie przyszedł, komórka nie odpowiadała, a one nie mają gdzie się podziać.

Zaproponowałem więc, żeby przyjechały do nas. Mamy całkiem duże mieszkanie, zwłaszcza odkąd nasza córka Natalka wyjechała na stałe do Włoch i jej pokój stoi pusty. Służy teraz jako pokój gościny, gdy przyjeżdża do nas ktoś albo z rodziny Ewy, albo jakiś mój przyjaciel, z tych rozsianych po świecie. Ale to są rzadkie okazje i niemal przez cały rok jest nieużywany. Natalka wpada tam praktycznie tylko na święta, a ostatnio, gdy poznała Luigi'ego, to już w ogóle. Jakby wstydziła się pokazać mu Polskę. To pomyślałem, że się akurat przyda teraz tym dwóm Ukrainkom. Tym bardziej, że nie lubiłem, gdy stał taki pusty, przygnębiał mnie jakoś.

Oczywiście przedtem porozumiałem się z Ewą. Nie chciałem stawiać jej przed faktem dokonanym. Bo jakby to wyglądało? Przywożę je do domu i przedstawiam: to Daria, to Ołena, a to moja żona. Niezręczna sytuacja. Więc powiedziałem im tak ogólnie, że coś zaraz wymyślę, odszedłem kilka kroków na bok, bo nie chciałem, żeby słyszały naszą rozmowę, i zadzwoniłem do domu.

Musiałem zrobić to tym bardziej, że Ewa nie była przyzwyczajona do mieszkania z obcymi ludźmi. Nie lubiła tego i nawet, gdy jechała do sanatorium, zawsze zabierała przyjaciółkę, żeby, jak mówiła, „nie wtrynili jej do pokoju jakiejś nieznajomej". Zresztą dlatego właśnie jeszcze nikogo stamtąd nie przygarnęliśmy. Teraz też zareagowała raczej niechętnie, mnożyła zastrzeżenia. Że za duża odpowiedzialność, że co będzie, jak okażą się nieznośne, że przecież nie wyrzucimy ich wtedy na bruk. Ale w końcu uległa. Ma jednak miękkie serce, a ostatecznie przeważył argument, że ich pobyt będzie tymczasowy – dowiedziałem się od nich, że jadą do Londynu, do córki Darii z poprzedniego małżeństwa. To Ewę uspokoiło, choć i tak na koniec rozmowy westchnęła: „mam nadzieję, że wiesz, co robisz".

Ale już w trakcie kolacji, którą przytomnie przygotowała na ich przybycie, pierwsze lody zostały przełamane. Ukrainki początkowo spięte rozluźniły się i natychmiast złapała z nimi kontakt. A gdy dowiedziała się, że Ołena pracowała jako przedszkolanka, to aż się rozpromieniła. Wprawdzie przedszkolanka i nauczycielka ze szkoły średniej, to nie to samo, ale zawsze jedna branża, zawodowa więź łatwo powstaje. Nawet bariera językowa okazała się łatwa do pokonania i rozmowa w słowiańskim wolapiku, przy pomocy translatora Google toczyła się wartko. Jedyny zgrzyt nastąpił, gdy Ołena opowiadała, jak usiłowały przekupić władze, żeby jej mąż mógł też wyjechać. Co im się zresztą nie udało, bo mąż – muzyk, saksofonista w rozrywkowym zespole, odsługiwał w młodości wojsko w saperach, a teraz to była poszukiwana specjalność. Ewa była tą próbą przekupstwa wyraźnie oburzona, żyła trochę taką romantyczną mitologią, że wszyscy Ukraińcy aż się palą, aby walczyć z Ruskimi, a tu okazywało się, że wcale nie wszyscy. I nawet nie sam fakt dawania łapówki ją zbulwersował, ale sposób, w jaki Ołena o tym opowiadała – jakby to było coś najzupełniej zwyczajnego. Ale faktycznie tam to była norma, więc nie było powodu tak się obruszać.

Poza tym jednym momentem kolacja przebiegła w zgodnej atmosferze. I późniejsze dni również. Więc gdy ten znajomek męża Ołeny w końcu się odezwał,

zapraszając je do siebie, Ołena chłodno odmówiła, i nie tylko dlatego, że była na niego obrażona – po prostu było im u nas dobrze, a nam z nimi też. Nie pojawiły się nawet konflikty na tle finansowym, które, jak wiem od znajomych, czasami się zdarzały. Po prostu wzięliśmy je na garnuszek, bo miały wprawdzie odliczone pieniądze na samolot do Londynu, ale poza tym niewiele. Nie ukrywam, że był to dla nas pewien wysiłek finansowy: gdy straciłem porządne stanowisko w państwowej galerii, zostałem przygarnięty przez miasto, ale na posadce w Muzeum Warszawy wyciągałem niewiele. A Ewa – wiadomo. Ile może zarobić polonistka w liceum? Nawet z korepetycjami nie była to imponująca kwota. Ale dawaliśmy radę, miałem jeszcze oszczędności z lepszych czasów i jakoś spinaliśmy budżet. Zdarzało się zresztą, że Ołena nas odciążała, robiąc czasami zakupy. Miała zawsze jakieś zaskórniaki. Może przyrodnia siostra z Londynu jej po kryjomu podsyłała?

Za to Daria rewanżowała się nam, robiąc obiady. Trochę się przed tym wzbranialiśmy, żeby nie wyglądało, że w zamian za gościnę zrobiliśmy z niej nieodpłatną kucharkę. Ale ona była po prostu owładnięta jakąś obsesją odwdzięczenia się i nic nam nie pozwalała w kuchni robić. Zwłaszcza mnie – wywodziła się ze starej szkoły i uważała, że mężczyzna w ogóle nie powinien się do kuchni zbliżać, a w każdym razie do niej wchodzić. Gdy Ewa kiedyś powiedziała: „mąż zrobi herbatę", obruszyła się. „Nie, nie, mąż nie może – mówiła. – Tak nie wolno". Innym razem musiałem ją bardzo długo przekonywać, żeby pozwoliła mi pozmywać po posiłku, a gdy zmywałem, stała obok zlewu i patrzyła ze zgrozą. Ta jej chęć wyręczania nas na każdym kroku była trochę krępująca. Ale rozumieliśmy, że należy do tych osób, które nie chcą mieć żadnych długów, zawsze dążą do wyrównania bilansu. Nie mieliśmy też poczucia, że starszą panią wykorzystujemy, bo mimo siedemdziesiątki na karku była niezwykle żywotna, energia w niej aż kipiała. Jak już nie miała nic do roboty w kuchni, szła do pokoju i szydełkowała, robiąc żółto-niebieskie czapki i szaliki. Była emerytowaną inżynier włókiennictwa i z humorem, i nieco melancholijną autoironią mówiła, że pracuje w zawodzie. Rzadko wychodziła z domu.

Ołena była znacznie bardziej ruchliwa. Jakby ją nosiło, jakby niepokój o męża nie pozwalał jej usiedzieć w mieszkaniu. Chyba bardzo go kochała, bo codziennie dzwoniła do niego na WhatsApp czy Viber i długo przyciszonym głosem z nim rozmawiała. Służył teraz w formacjach samoobrony w ich rodzinnej miejscowo-

ści, wprawdzie nie na pierwszej linii frontu, ale tam też można było łatwo dostać w łeb (choć Daria, która chyba niezbyt lubiła zięcia, twierdziła, że nie ma tam źle, a przynajmniej może przypilnować domu). Ale Ołena widziała to inaczej. Kiedyś zwierzyła się Ewie, że bardzo się o niego boi, bo to artysta, człowiek niepraktyczny, nienadający się do wojaczki. I bardzo się ucieszyła, gdy podczas jednej z rozmów powiedział jej, że stara się o miejsce w orkiestrze wojskowej (jak chciał to załatwić, nie pytaliśmy), gdzie będzie bezpieczniejszy. Więc często wybywała na miasto, chodziła po Warszawie, tak bez planu łaziła po ulicach, ale najchętniej odwiedzała galerie handlowe. Lubiła oglądać i marzyć, wyjaśniła Ewie. Raz zresztą nie poprzestała na marzeniu, kupiła bluzkę w Medicine, bardzo ładną i chyba dosyć drogą. Pokazywała mi ją, prosząc, abym nic nie mówił Darii, bo ta by ją ostro zrugała, że wyrzuca pieniądze. Dosyć dziwnie zresztą przebiegała ta rozmowa, bo w jej trakcie nagle rzuciła bluzkę ze złością na podłogę. Co się stało, spytałem. Nie odpowiedziała od razu, dopiero po chwili: „czasem tak się boję, tak się boję…". Myślałem, że chodzi o męża, ale zaraz wyjaśniła, że nie tylko o niego, ale tak ogólnie. Że Bóg ją ukarze. „Ja sobie żyję jakby nic, do pięknych sklepów chodzę, eleganckie bluzki kupuję, a oni tam…", w tym momencie urwała. Powiedziałem jej, że nie powinna się obwiniać i spróbować żyć jak najbardziej normalnie. Nie wiem, czy ją przekonałem, ale po jakimś czasie podniosła tę bluzkę, otrzepała i poszła do łazienki przymierzyć ją jeszcze raz. A przy okazji oczywiście się wykąpać.

W ogóle była dla mnie pewnego rodzaju zagadką. Bo z jednej strony religijność, niekłamana bojaźń Boża, a z drugiej duży luz, pewna trzpiotowatość i beztroska. Pod wieloma względami była najzupełniej zwyczajną, normalną kobietą, która chce ładnie wyglądać, lubi się ubrać i ma zwykle trochę za mocny makijaż. Z jej opowiadań wynikało też, że tam u siebie nieźle balangowała. Nie mieli z mężem dzieci, obracała się w środowisku jego kolegów, muzyków, ludzi rozrywkowych i o swobodnym stylu życia. Sama miała też pewne ambicje artystyczne i pokazywała nam na swoim smartfonie filmiki, na których występuje z tym jego pseudojazzowym bandem. Więc piosenkarka-amatorka, otoczona ostro pijącymi facetami i z nimi imprezująca, a jednocześnie chodząca co tydzień do cerkwi i naprawdę głęboko wierząca. W Polsce nie zetknąłem się z takim połączeniem.

Bardzo przejmowała się tym, co dzieje się w Ukrainie. Gdy wracała do domu z tych wędrówek po Warszawie, to zwykle siadała przed telewizorem i oglądała ukraiński

program, który jej nastawiliśmy. Jeszcze częściej – w smarfonie – kręcone tam filmiki, czasem bardzo drastyczne. A przy tym wszystkim była całkiem pogodna i nawet się czasami śmiała. Uważaliśmy ją za prawdziwą twardzielkę, taką, co zbiera razy od losu, ale zaraz wstaje, otrzepuje się i idzie dalej. Było to wyraźnie widać w najbardziej dramatycznym momencie jej pobytu, gdy dowiedziała się, że rosyjska rakieta uderzyła w budynek sąsiadujący z ich domem, i zabiła znajomą. Pierwszego dnia chodziła przygnębiona, nie odzywała się, ale już następnego od rana była pełna werwy, rozmowna jak zawsze, może jeszcze nie uśmiechnięta, ale już spokojna. Zaraz poleciała na spacer. Choć śmierć sąsiadki jeszcze się odezwała, jakby odbitym echem, kilka dni później. Siedziały wieczorem w kuchni z Ewą, piły herbatę i rozmawiały. Stanąłem pod drzwiami i, co tu dużo mówić, podsłuchiwałem. Mówiła, że właściwie cały czas czekała na tego rodzaju wiadomość, tylko myślała, że będzie o jej mężu, nie tej znajomej. A potem spytała, czy Ewa nie uważa jej za złego człowieka. A gdy ta, zaskoczona, gwałtownie zaprzeczyła, powiedziała, że z jednej strony serce ją boli, że Liza zginęła, a z drugiej cieszy się, że to ona, nie mąż. Że rakieta spadła na jej dom, nie ich. To samo poczucie winy, co po zakupie bluzki. Ale po chwili rozmawiały już o zbliżającej się wiośnie. Była naprawdę skomplikowaną osobą.

W każdym razie początkowe obawy Ewy w ogóle się nie potwierdziły. Wszystko funkcjonowało gładko. Tylko te kąpiele, o których wspomniałem na początku… to był jedyny zapalny punkt. Raz, gdy Ewa wróciła z pracy i chciała wysikać się, a zastała zamkniętą łazienkę, naprawdę się wkurzyła. Zaczaiła się na Ołenę pod drzwiami i, gdy ta wyszła, naskoczyła na nią:

– Ołena, u nas tylko jedna łazienka. A ty nie jedna w tym domu. Ja ci wody nie żałuję, ale czasem też potrzebuję skorzystać.

Tak powiedziała, bo od codziennego rozmawiania takim łamanym słowiańskim ukraińsko-polsko-rosyjskim wolapikiem rzuciło się jej na polską składnię. Nawet, gdy mówiła do mnie.

Ołena zmieszała się. Spuściła oczy.

– Przepraszam… wże nie budu tak dowgo…

Ewa chciała chyba jeszcze dodać, że nie o to chodzi, w każdym razie nie tylko, ale machnęła ręką, nie ciągnęła rozmowy, bo chyba rzeczywiście nie mogła już wytrzymać. Zaraz zniknęła w łazience. W końcu, co miała powiedzieć, z grubsza powiedziała.

Tego samego wieczoru, leżąc już w łóżku, jeszcze o tym rozmawialiśmy. Ewa była wciąż rozdrażniona. Ja postanowiłem, trochę przez przekorę, Ołeny bronić.

– Co w tym złego? – spytałem zaczepnie.

– Bo to jakieś chorobliwe, jakaś obsesja – odparła.

– Może ją to uspakaja? Nie pomyślałaś o tym?

Ewa nic na to nie odpowiedziała. Oboje pewnie pomyśleliśmy o tym samym. Córka jej koleżanki ze szkoły została kiedyś zgwałcona i potem bez przerwy chodziła pod prysznic i stała pod nim godzinami, próbując zmyć z siebie niewidzialny brud. Więc może coś podobnego zdarzyło się Ołenie? Ale przecież wyjechała wcześnie, zanim żołdacy rosyjscy wtargnęli w głąb Ukrainy. I nigdy o tym nie wspomniała. Choć z drugiej strony nie musiała nam, nieznajomym w końcu ludziom, o wszystkim opowiadać. Więc w sumie nie wiedzieliśmy, co myśleć.

Aż w końcu wszystko się wyjaśniło. Tego dnia miałem jakieś kłopoty w pracy i po powrocie do domu wciąż się nimi gryzłem. I taki zamyślony, z głową gdzie indziej, poszedłem do łazienki umyć ręce. Dobiegał z niej głośny szum nalewanej wody, znak, że jest zajęta przez Ołenę, ale nie zwróciłem na to uwagi i odruchowo nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły. Do mojego roztargnienia dołożyło się roztargnienie Ołeny. Zapomniała zaciągnąć zasuwkę.

Siedziała w ubraniu na brzegu wanny i płakała. Płakała głośno, ale na korytarzu, za drzwiami łazienki nie było płaczu słychać. Zagłuszał go łoskot wody wpadającej do wanny.

Usłyszała skrzypnięcie, obróciła głowę w moją stronę, spojrzała podpuchniętymi oczami. I wtedy wszystko zrozumiałem. Nic nie powiedziałem, szybko zamknąłem drzwi.

Na korytarzu niemal zderzyłem się z Ewą. Wychodziła akurat z kuchni, skąd dochodził apetyczny zapach gotowanego obiadu.

– Cześć – zawołała wesoło – Daria zrobiła *werenyki*. Zjesz?

– Na razie nie – odparłem. I szybko przeszedłem do swojego pokoju. Nie umyłem rąk.

ADRIANA SZYMAŃSKA

Przypowieść z uśmiechem

Przełożona ptasiego zgromadzenia
w przestronnym przytułku ogrodu.
Tak myślę o sobie, sypiąc ziarno dla ptaków
przez okna od wschodu i zachodu domu
i wieszając tłuste kąski na balkonie.
W zimowe niepogody to ptaki odwiedzają mnie
od rana, bo inni towarzysze mojego życia
zajęci są bardziej chronieniem samych siebie,
niż chęcią spotkania się ze mną.
Ogród przydomowy to moje królestwo radości
z gromadkmi ptaków, jak z dworską świtą.
Świergotem, gruchaniem i krakaniem
dziękują mi za niesione im wsparcie.
Każdy dzień rozpoczynam wędrówką
ku oknom i na ścieżki ogrodu, gdzie
na gałęziach drzew wiszą gościnne karmniki.
Ile ptasich istnień uratowałam? Ile jeszcze
uratuję? A ptaki zapisane w moich wierszach
zostaną tu na zawsze żywe i piękne.
Ktoś, gdzieś, kiedyś przyzna mi może
medal czyżykowego piórka za troskę
i wysławianie pierzastych, uskrzydlonych
współbraci. Chociaż już dziś sama go sobie
przyznaję.

Przypowieść urodzinowa

Osiemdziesiąt jeden! Osiemdziesiąt jeden!
– powtarzam radośnie co rano.
Cieszy mnie trwające wciąż życie.
Dodając do ośmiu jeden, otrzymuje się dziewięć.
Już według starożytnych filozofów i twórców
opowieści mitycznych liczba dziewięć oznaczała
pełnię. A więc stan doskonały?
Pełnia życia, doświadczeń, dokonań,
zwycięstw i porażek. Mistyczne uwznioślenie duszy.
Liczę wszystko od początku i widzę,
że porażki znikają, jak za dotknięciem
czarodziejskiej różdżki. Ta wizja jest taka krzepiąca.
Cudownie jest przypominać sobie tylko to,
co wyzłacało każdy nasz dzień światłem
nieskazitelnej tęsknoty. Gdy patrzę przed siebie
wciąż widzę to światło, które wspomaga mnie
w codziennych działaniach. Sprzątając, jedząc,
modląc się, odpoczywając, wędrując po uliczkach
swego osiedla, wśród ogrodowych drzew i przyjaznych
zwierząt, nieustannie się uśmiecham.
Uśmiechać się – oto moja rada dla tych, którzy
niewiele przed sobą widzą. W uśmiechu tkwi moc,
ocalająca przed zwątpieniem, zbawienna nadzieja,
której życzę sobie i innym. Jak kania pragnie deszczu, ja
pragnę dojść do kresu. I Dalej. Bo wierzę, że Dalej
– pisane od wielkiej litery – to Uśmiech Wieczny,
którym się kiedyś przywitam z Tamtą Stroną
swego istnienia. Prędzej czy później, a może
już niebawem? Pytam, bo lubię pytać.
W pytaniach kryje się przecież niechybna odpowiedź.

Serenada z przesyłką

Dla Katarzyny i Klary

Kto mi dał skrzydła, na których śpiewem
wciąż je obie wznoszę? Wysoko, ponad
chmury, ku Światłości Świata.
Córka i wnuczka – to moja opowieść –
jasna, jak ich oczy, w które co dzień patrzę
z wiarą, że w nich miłość płonie.
Bywajcie, pląsajcie na tej wysokości, gdzie
wasz dom podniebny swym marzeniem stroję.
Urodzone, pieszczone, przedstawione Bogu,
nie lękajcie się o nic, bo Tam, u Bram Progu,
będę czekać z nadzieją na wasze przybycie
– przesyłkę upragnioną – z aniołami w świcie.

Na pamięć

Znam modlitwy krótkie i długie,
dziękczynne i błagalne.
Zanim powiem *amen* wieczorem i rano,
ćwiczę pamięć, by szybko do Boga dotarły.
Czy zna On na pamięć wszystkich,
co ślą modły do Niego? Nie pomija nawet
życia najmniejszego? Przygarnia także tych
niekochanych przez bliźnich?
Dzisiaj tę krótką modlitwę wyślę:
Jezu, w Twoim zranionym sercu
skryj mnie przed pułapkami świata.
Świat czyha na moje ręce zbolałe,
na moje poturbowane nogi.
Choć pociesza oczy i serce tym, co piękne

i dobre, kusi też głosem szatana:
„Na co ci piękno i dobro, wkrótce
opuścisz ten padół. Odrzuć wszystko,
zapomnij". Odpowiadam mu na to:
„Nie. Nie chcę się uczyć wątpić".

ANNA PIWKOWSKA

Zabiłam w locie albatrosa

W miłości zawsze wypuszczamy z klatek na wolność stada ptaków
licząc na zwrotne telegramy, obrączkujemy je i gramy
fałszywe gamy, przyzywamy, myśliwskie trąbki i z ukosa
nie wprost, mierzymy i ranimy, w locie rzadkiego albatrosa.
A potem krew i żal, i wstyd, szukamy ptaka w dzikich trawach,
ale za późno już, bo świt, bo jatka to, a nie zabawa.
Patrzymy w gwiazdy lecz nie wprost, raczej wstydliwie i z ukosa,
uważaj, przez przypadek, wiesz, możesz zestrzelić albatrosa.
I choćbyś z lęku potem drżał, rannego ptaka chcąc uleczyć,
będzie za późno już, bo noc, stopi dzień w grząskim gruncie rzeczy.
Wsiadamy razem w wielki wóz, którym powożą już umarli,
na niebie śnieg a wóz bez płóz, i znowu ciemno jak w kopalni.
Na tę miłosną szychtę pójść, pragnę wyzuta z siebie, bosa,
i nagle strzał – skąd jak nie stąd? Zabiłam w locie albatrosa?
Nie miałam strzelby tylko łuk, skąd więc ten trzask jak cięcie biczem?
Za srebrnym bukiem krył się bóg, mierząc w dantejską Beatrycze.
Nie wiedział nikt kto przy tym był, milczały skutek i przyczyna,
i nie wiem ja i nie wiesz ty: to był albatros czy dziewczyna?

Koniec świata szwoleżerów

Miałam farmę, a może miałam nawet pałac
u stóp wzgórza, a może na obrzeżach puszczy,
malowani kelnerzy, czas naskórek łuszczył
po cichu, niewidocznie, aż w końcu nastała
cisza w całym pałacu, cienie psów w ogrodzie
i niewymowna rozpacz, gdy szedł pochód śmierci:
zagrali na piszczałkach w bransoletkach z sierści
zwierząt i na grzechotkach, w deszczu i w pogodzie.
Szli tak latem i zimą, wiosną, gdy park młodniał
i wiodła ich melodia a zwłaszcza prozodia,
wystukiwali metrum trąc kośćmi o kości
przegrani szwoleżerzy i jeńcy miłości.
Poszybował szybowiec w gęstwinę szpalerów
i rozbił się na krańcu świata szwoleżerów.
Miałam farmę, a może miałam nawet pałac
lecz spalił się, już tylko kwiat południa pała.

Sobość

Kto wie jak i do kogo modlić się i prosić,
kiedy bronuje pamięć promień ziemskiej osi,
kiedy skrzypią litery, gdy rzucamy słowo
niewyraźnie wracając ku czemuś *ab ovo*.
Do kogo płacz zanosić gwałtownie o świcie,
komu powierzać żale i lęk o niebycie,
gdzie szukać pocieszenia, gdy nawet owady
są jak czołgi pancerne, a w morzu dorady
łapią się na haczyki znojnego niebycia,
które większe jest zawsze niż źródełka życia.
Oceaniczne nigdzie zasypane piachem

to małe norki krabów, piach staje się dachem,
gdzie hordy skorupiaków przed zagładą śmierci
próbują swoje życie wwiercić i dowiercić
w jakieś dno co skończone, w ciemność korytarza,
gdzie życie się namnaża, ale nie powtarza.
Do kogo mam się modlić o swoją jedyność,
gdy sobość nie jest cnotą lecz wielką przewiną,
gdzie czarne są półcienie, czarne stopy w pyle:
ciemne duchy południa, ulotne motyle.

Sonet z wykręconą żarówką

Ubieram się dla ciebie w damasceńską różę
i wykręcam żarówkę w ociemniałej kuchni.
Czy od razu wyruszysz pogórzem w podróże,
gdzie faluje krajobraz, gdzie ludzie są ufni
jak ręka zanurzona w psiej sierści lub w futrze
mchu. Pa, robię ci krzyżyk i przyjdę pojutrze.
Ale nie ma pojutrze, a dla uśmiercanych
takie samo staranie jak dla zakochanych.
I leżysz tak rozpięty pod strażą kroplówek
i księżyc znów w nów wchodzi, a zima w przednówek.
Wykręcam mokry ręcznik, drży światło świetlówek,
nie ma następstwa czasów jest chwila na grani,
wyciągasz plecak, zeszyt, swój termos, ołówek,
przymierzasz się do śmierci tak jak zakochani
do swoich ciał. Cóż warta ta chwila bez ciała.
Tylko skrzynka z popiołem tutaj pozostała.

Podwójność

Droga M. jak bardzo podwójne było Twoje życie.
Czarna aksamitna suknia „na wszelki wypadek"
nie przydała się w podróży. Męski sweter, mocne trzewiki,
rękawice i siodło, które często służyło ci za poduszkę.
Zamiast dobrych mężczyzn kochałaś olśniewające krajobrazy:
Longs Peak, ten amerykański Matternhorn o świcie,
albo falujące sawanny o zachodzie słońca.
Wszyscy jesteśmy skazani na podwójność i w tej chwili,
gdy odrzucasz oświadczyny spokojnego doktora Bishopa
wiesz już, że możesz kochać tylko czarnowłosego kryminalistę
z jednym okiem, z którym rozmawiasz o literaturze
i który mierzy do ciebie z pistoletu po miłosnej nocy.
Opuszczasz także i jego, a on pije coraz więcej
i w końcu ginie od kolejnej, przygodnej kuli.
Wracasz do Anglii i wyciągasz z kufra aksamitną suknię.
Nagle jesteś kimś innym, starą panną, misjonarką,
która wciąż pisze podróżnicze książki.
Ale zarobione pieniądze przeznaczasz na ochronkę,
a nie, jak sądziłam, na kolejną podróż w nieznane.
Znowu bolą cię plecy, serce oraz nękają migreny i depresje.
Droga M. piszę ten list po stu latach i wierz mi,
wszystkie nosimy w sobie tę podwójność:
nieokiełznaną miłość do krajobrazów i przestrzeni,
do nieprzeniknionej czerni nocy i pomruków dzikich zwierząt.
Piwonie w ogrodzie więdną, kiedy nalewamy herbatę
do porcelanowych filiżanek i przyjmujemy gości.
A mężczyźni? Oni także noszą w sobie podwójność.
W tej samej chwili strzelają do kaczek i hodują pszczoły
wybierając z ula brązowe plastry miodu, aby karmić nimi
swoje mrzonki o wojennych wyprawach i zwycięstwach.

Piotr Sobolczyk

PIOTR SOBOLCZYK

Napolitana

Polkę galopkę, przyspieszoną wersję polki, tańczy się w parach wirujących w cztery strony podług linii okręgu, wymiennie to cwałujących, to kręcących się, mężczyźni niekiedy robią szersze kroki i prysiudy, i podskok na koniec. Niektórzy uważają, że zdolności taneczne ukierunkowane specyficznie na ten tan odzywają się przy palącej potrzebie fizjologicznej – nie tylko w Polakach.

A teraz na początek programu taka wściekła neapolka galopka.

Do Café Leopold trafiłem pierwszego poranka po przyjeździe, wyszukawszy uprzednio w Internecie neapolitańskie miejsca bezglutenowe. Wiedziałem więc, że jest to popularna sieć eleganckich neapolitańskich kawiarni, ale tylko jedna jest całkowicie adresowana do ludzi, którzy jedzą tak jak ja (bądź nie jedzą, tak jak nie jem ja), naprzeciwko Muzeum Archeologicznego z jego słynnymi pornograficznymi zasobami, przy Piazza Cavour. Odtąd chodziłem tam dzień w dzień przez cały tydzień na kawę i ciastka oraz po świeży chleb lub bułki. Schodziłem z Quartieri Spagnoli i szedłem przez via Toledo. Za pierwszym razem wszedłem od strony kawiarni i wytresowany wizją znikającego w błyskawicznym tempie chleba bezglutenowego i pustych po nim półek, rzuciłem się do drugiego pomieszczenia z witryną z ciastkami oraz półkami z pieczywem i poprosiłem o duży chleb, do tego ciastka do kawy. „Ciastka u kelnera", usłyszałem i otrzymałem paragon za chleb do opłacenia przy stanowisku kasjerskim między salami (mój chleb został na ladzie). „To ja zapłacę po kawie razem za wszystko", objaśniłem i siadłem przy jednym z pięciu stolików w pierwszej sali. Zajęte były jeszcze dwa i jeden na ulicy. Dość długo obserwowałem ruch na Piazza Cavour i ludzi wchodzących do Muzeum, niekiedy tylko przerywany strusim śmignięciem kelnera przez ulicę. Pomyślałem, że musiałem coś źle zrozumieć, wstałem od stolika i poszedłem do baru, gdzie barista za kontuarem przecierał szklanki. Nim zdążyłem go zagadnąć, nagle objawił się jeden z kelnerów, ten szczupły, ten o ładnej i nieco dziewczęcej urodzie i wydat-

nych ustach, co notabene dla całej relacji nie ma żadnego znaczenia. „Sorry, is it self-service here?…", spytałem. „Nie, zaraz podejdę". I zniknął. Wróciłem na swoje miejsce. Z via Santa Maria di Constantinopoli powoli wyjeżdżał autobus miejski i skręcał w Cavour. Po chwili przy stoliku pojawił się kelner – inny, nazwijmy go przy kości i o mocnej szczęce, choć dla całej relacji nie ma to żadnego znaczenia. Poprosiłem o wegańskie cappuccino, czyli sojowe, oraz espresso – i ciastka. Żeby wybrać ciastka, musieliśmy pójść do sali obok, tej, gdzie czekał zapakowany mój chleb. Kiedy wróciłem, mój stolik był już zajęty, więc siadłem obok, gdzie zostały filiżanki i talerzyki po poprzednikach. Po kilku minutach przyszedł kelner, żeby je sprzątnąć – nazwijmy go śniady, męski i wesoły, choć dla całej relacji nie ma to żadnego znaczenia. Zabrał, ile mógł. Po chwili „ten przy kości i tak dalej" zabrał resztę. Po chwili „śniady i tak dalej" przybył ze ściereczką i przetarł stylizowany na marmur blat. W końcu „ten o dziewczęcej i tak dalej" przyniósł kawy i jedno z dwóch ciasteczek (to, że jestem i ciekawski, i łakomy, ciakowsko-łakomy, to jedno, a to, że są małe, to drugie, acz trzecie, że i tanie). To drugie przyniósł „przy kości". Już brałem do ust pierwszy kęs ciastka czekoladowego, gdy „śniady" przyniósł mi rachunek, nim odskoczył, zdołałem wybełkotać moimi czekoladowymi, więc śniadymi ustami „now?", na co on pokazał na kasę między salami, że później. Jak tylko zjadłem i wypiłem, poderwałem się od stolika, już to czując się w galopie łażenia, to jest zwiedzania, już to, bo trochę się nasiedziałem wcześniej. Kiedy podszedłem do kasy między salami i podałem oba paragony, zorientowałem się, że aktualnie za kasą jest dziewczyna, która podawała mi pieczywo, natomiast obecnie podaje pieczywo dziewczyna, która wówczas była na kasie. Wskutek tego kiedy opłaciłem swoje ciastka i kawy oraz duży chleb i podszedłem do niej, żeby mi podała mój pakunek, ona nie wiedziała, który to, ja zresztą też nie, bo na ladzie czekało ich kilka, więc krzyknęła do dziewczyny z kasy, ta odkrzyknęła jej wskazówkę i mogłem wyjść z kolacją w plecaku.

Każdego dnia wyglądało to podobnie. Klienci włoscy siadali i czekali cierpliwie, a turyści nie wytrzymywali i pytali obsługę, czy tu panuje samoobsługa. Na siedem stolików przypadało trzech kelnerów, którzy ciągle biegali wokoło tej kawiarni, na przykład wychodząc na *cavour* przez drzwi od części piekarniczej, przechodząc na zewnątrz i wchodząc od strony kawiarnianej, od Santa Maria di Constantinopoli, by wejść na zaplecze obok części piekarniczej, a wszystko to z pustymi rękami, ale

krokiem tak szybkim i miną tak wiarygodnie zaangażowaną, przejętą i zapracowaną, że niedającą się upolować natarczywym wzrokiem klientystycznym. Doszły do tego nowe odkrycia, mianowicie funkcjonowanie kolejek do piekarni i do kasy. Gdy rozumiałem, że na prawo od obsługiwanej stoi osoba oczekująca, stawałem za nią po prawej, ale ponieważ przestrzeń jest wąska, kolejna osoba nie stawała za mną, tylko od lewej, a wtedy już i następna od lewej i wówczas kolejność traciła znaczenie, albo padało w przestrzeń pytanie po włosku, chyba do wszystkich, i kto nie zrozumiał, spadał na koniec kolejki, albo osoba z kasy przybywała z odsieczą za ladę i wybierała sobie dowolną osobę do zagadnięcia. Sytuacja potem powtarzała się przy kasie, gdzie było miejsca na najwyżej dwuosobową kolejkę. Kto się opłacił, wracał ku ladzie, stawał gdzie bądź i usiłował się wtrącić między zamówienia, aby odebrać swój pakunek. Nigdy mi się zresztą nie zdarzyło, abym odebrał nie swoje zamówienie. W miarę jak odfajkowywałem miejsca, które odwiedziłem ponownie oraz nowe – zyskiwałem więcej cierpliwości; włoszałem; lokalizowałem się; kolorizowałem – czyli blakłem. W „tę ostatnią niedzielę" gwar przy ladzie był taki, że na moje, może nazbyt zdławione *arrivederci*, nikt nie odpowiedział.

*

Któregoś dnia wychodzę od Leopolda od strony piekarni, przechodzę przez jezdnię, wsiadam do metra i jadę do portu. Na Molo Beverello kupuję bilety na prom na Capri, jest chwilę po trzynastej, minąłem się z poprzednim, bo cierpliwości w kawiarni mi przybyło, spaceruję przez czterdzieści pięć minut po Corso Umberto I i Municipio, dopada mnie odblokowanie zatrzymanej w organizmie wody po zjedzeniu pizzy bezglutenowej z mozzarellą *di buffala*, na którą zwykły enzym laktaza w tabletkach nie działa, o czym natychmiast poinformowała mnie była wysypka na brzuchu. Teraz myślę, że była to Zemsta Herlinga (choć nikt wówczas nie wiedział, że kiedykolwiek o nim napiszę). Na Capri nie zauważam *funiculare* do centrum, więc funduję sobie wycieczkę górską, a po bezglutenowym spaghetti z cukinią pójdę w miejsce, które polecił mi Andrea…

*

Gdzieś w maju 1959 roku Józef Czapski zasugerował Konstantemu Jeleńskiemu, żeby poznał młodą gwiazdę polskiej liryki, Mirona Białoszewskiego, swojego rówieśnika, który akurat przebywał w Paryżu na stypendium. Białoszewski próbował jeść francuskie frykasy, na które namówił go Czapski, ale dziubał bez entuzjazmu. Wyszli

z restauracji przy Bd. Hussmann i Czapski podprowadził poetę na ulicę Mogador. Tam czekał już Jeleński, przytupując z zimna, bo maj tego roku był zwodniczy. Po prezentacji i wzajemnych kurtuazjach Czapski skierował się na dworzec Saint-Lazarre, a Jeleński zabrał Białoszewskiego do Café de l'Opéra, gdzie w miarę zbliżania się wieczoru gromadziła się elegancka klientela, głównie towarzystwo bardzo zmanierowane. Niekiedy ktoś witał się z Jeleńskim. Ten pokazał polskiemu poecie pięćdziesięcioletniego faceta w rogu kawiarni, mówiąc, że to jeden z pionierów tematyki homo we francuskiej literaturze, demaskował hipokryzję Kościoła, opisywał homoerotyzm w katolickiej szkole, a nazywa się Roger Peyrefitte. Pili armagnac. Ktoś znajomy podszedł do Jeleńskiego, który zapośredniczył i Białoszewski wyszedł z tym kimś, a że za oknami było już ciemno, Jeleński postanowił wracać na rue de la Vrillière drogą nieco okrężną, przez Tuileries, śpiewając pod nosem najnowszy przebój yé-yé „Wiecznie to samo! Ubierać się we wspaniały płaszcz, aby móc zajść do portowej knajpy". W ogrodach krążył chwilę alejkami, aż zdecydował się opuścić spodnie przy facecie, który też opuścił spodnie. Chwilę później rozchodzili się w różnych kierunkach, ale w bladym świetle latarni Jeleński rozpoznał Peyrefitte'a. Mniejsza zresztą, czy najpierw go poznał pod drzewem, a potem przeżył szok na spotkaniu autorskim, czy najpierw rozmawiał z nim w księgarni, a potem rozpoznał go w ogrodach nocą, mniejsza, czy był to maj, czy grudzień, kiedy to Peyrefitte promował najnowszą książkę, *L'exilé de Capri* w księgarni Flammarion koło Odéonu, gdzie, znów z namowy Czapskiego, Jeleńskiemu towarzyszył Jerzy Andrzejewski, ledwo co przybyły na kilkumiesięczne stypendium. Powieść się Jeleńskiemu spodobała. Blisko dekadę później namówił Stanislao Lepriego, żeby udali się na Capri odnaleźć Villę Lysis, to znaczy jej pozostałości, jak to wynikało ze słów Peyrefitte'a. Leonor Fini z jakiegoś powodu została w Paryżu. Polecieli tedy we dwóch do Neapolu, gdzie zatrzymali się w hotelu w dzielnicy hiszpańskiej, ale udali się też z wizytą do Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Pomijając inne przyjacielskie względy, zawsze dostrzegający odpowiednie okazje Książę Giedroyc dołożył Kotowi kilkanaście kilo książek i numer „Kultury" do bagażu. Herling zaprosił parę do swojego mieszkania w dzielnicy Chiaia, na via Francesco Crispi, podał kawę i limoncello, Kot przekazał pudło książek, rozmawiali po włosku, Herling radził płynąć na Capri z Sorrento, bo bliżej, więc i taniej. Następnego dnia Jeleński i Lepri opłacili jednak łódź z portu w Neapolu i popłynęli na Capri. W porcie na Capri wzięli taksówkę, która zawiozła ich na Piazzettę i tam rozpoczęli

poszukiwania noclegu. Był październik, wciąż ciepło, wciąż byli turyści, ale z noclegiem nie było problemu, zdecydowali się na niewielką willę położoną nieco wyżej w górach. Przez pierwsze dwa dni Jeleński czytał w ogrodzie, Lepri coś malował, ale nie był zadowolony, schodzili na spaghetti z cukinią i pesto, a wieczorem na negroni lub limoncello spritz. W końcu postanowili odnaleźć ową mityczną Villę Lysis, opisaną na podstawie prawdziwej historii przez Peyrefitte'a. Ale nawet rdzenni mieszkańcy nie do końca wiedzieli, jak ich pokierować. W końcu ktoś dobrze podpowiedział, że należy iść jak do Villa Jovis Tyberiusza, tylko nie skręcić. Toteż i nie skręcili. Wyspa już chciała się skończyć, gdy ujrzeli ruiny budowli, niczym nieróżniące się od ruin rzymskich, a przecie willi modernistycznej, zbudowanej w 1905 roku. W ogrodzie powitała ich niezniszczona statua nagiego chłopca ze zgrabnym tyłkiem. Lepri zastanawiał się, czy jak namaluje ruiny prawie realistycznie, to rezultat będzie surrealistyczny. Jeleński pozował nawet przez chwilę, stylizując się na Nino Cesariniego, ale nie taki musiał być powód, że obraz wyszedł nieudany. Nigdy się nie dowiemy, przyjmijmy, że obraz zatonął podczas powrotu do Neapolu, kiedy to trzeba było odciążyć łódź i Jeleński topił dzienniki Gombrowicza oraz jeden frak, a Lepri obrazy, które i tak mu się nie podobały, oraz farby, przez co morze przez chwilę wyglądało jak po spotkaniu człowieka z rekinem. Opowiadali o tym wszystkim w neapolitańskiej kawiarni Gambrinus z widokiem na operę, śmiejąc się i przeginając, i sącząc margarita blue. Herling nie znał historii młodego francuskiego symbolisty, barona Jacques'a d'Adelswärda-Fersena, który mając dwadzieścia trzy lata został skazany i umieszczony w Santé za skandal z udziałem licealistów, orgie seksualne i spektakle teatralne, *tableaux vivants*, ochrzczone przez prasę „czarnymi mszami". Po pięciu miesiącach Fersen opuścił więzienie i Francję. Bogata rodzina dała mu środki na osiedlenie się na Capri i wybudowanie tam willi, gdzie zamieszkał z kochankiem, Nino Cesarinim (to jego jędrny tyłek – i resztę – otrzymała rzeźba w ogrodzie). Razem gościli tam queerowych artystów [Jeleński nie użył tego słowa, może użył *finocchio*?], palili opium, przebierali lokalnych chłopców za greckich pasterzy i faunów, i oczywiście… Lepri zawiesił głos i zaśmiali się razem z Jeleńskim. Herling uśmiechnął się zdawkowo, acz elegancko i szczerze, prywatnie bowiem zupełnie mu te rewelacje nie przeszkadzały, zastanawiał się tylko, jak miałby je opisać z etycznego punktu widzenia, gdyby z jakiegoś powodu opisać musiał.

Lysis. Philia. Eros. *Amor et dolori sacrum*.

*

Amor et dolori sacrum, czytam na odnowionej Villi Lysis, gdzie droga mało oznaczona z samego centrum Capri, z Piazzetty, dopiero, gdy jest się całkiem blisko, pojawia się informacja, że wstęp będzie płatny. Pobieraniem półtora euro zajmują się dwie dziewczyny, można też u nich kupić powieść Peyrefitte'a, ale tylko po włosku. Robię selfie w odtworzonej marmurowej łazience, z której nie wolno korzystać, wpisuję się do księgi pamiątkowej „Say Hi to the Artist" (nie wiem, o jakiego artystę chodzi, Fersena?) jako „Artist", dzięki czemu kolejni przybyli powiedzą cześć i mnie. Pytam dziewczyn, ile się idzie piechotą do portu, myśląc o dwóch rzeczach równocześnie, o tym, czy one codziennie muszą tu przychodzić i schodzić na nogach, bo samochodem tu dojechać się nie da, a co do roweru – jest ostro pod górę, a rzecz druga, muszę zdążyć na ostatni prom do Neapolu o 19.10, bo jak nie, to chyba trzeba będzie złapać ostatni prom do Sorrento – nieco późniejszy, a potem jechać pociągiem. Zastanawiam się też, czy z fantastycznych ogrodów willi da się jakoś skrótem zejść po skałach do plaży. Ale schodzę ścieżką główną i zdążam, mimo że się zgubiłem w centrum, nogi mnie bolą, bo to kolejny dzień łażenia i to pod górę, a jeszcze w Neapolu czeka mnie wspinaczka na czwarte piętro, bo winda rusza tylko na dziesięć centymów, a te trzymam na dzień bagażowy. Święty ból, ból nóg, jak tak baron z Nino łazili na zakupy, no chyba że jeździli na osłach. „C'est la languer italienne / Dans un baiser/ Autour duquel mon âme vienne / Agoniser…"[1] „To włoskie znużone rozmarzenie / Jeden pocałunek zawiera / Wokół którego dusza ma pragnienie / Umierać…" Dziś rozumiemy to jednak tak: „Ta włoska apatia marzyciela / Podczas bzykania / Gdy wokół moja dusza się wciela / We wstrząsie umierania…". Otóż i definicja bottoma w akcie. *Amor et dolori sacrum*.

*

Dokładnie w chwili, gdy mój powrotny pociąg z Sorrento, rozklekotana Circumvesuviana, staje w połowie drogi w Pompejach, przychodzi wiadomość od Štěpána: „Czy poczułeś jakieś trzęsienia ziemi? Pisali o nich w mediach, samorządy obawiają się, że wulkan może znowu wybuchnąć". Zachwycony tym konceptem, tą synergią mnie i wulkanu, tym działaniem mej osoby na wulkany, siły podziemia i wybuchy lawy, natychmiast wysyłam do kilkorga przyjaciół wiadomość: „jestem pod Wezuwiuszem, któremu podobno chce się beknąć". W Pompejach wy-

[1] Jacques d'Adelswärd-Fersen, *Nino*.

siada kilka osób, o nieszczęśni!, na krawężniku przy peronie chłopak w przykucu pisze esemesa, ludzie robią zakupy w sklepach, samochody trąbią, muzeum już zamknięte. „Kiedy lawa zalała Pompeje, wszyscy też szli z łaźni do senatu, gotowali obiad albo byli w akcie innych wstrząsów", myślę, odjeżdżając; „a ktoś w powozie czy na koniu odjeżdżał". I myśl kolejna: „a nuż przyleciałem do kampanii po to, aby umrzeć?", łatwo bowiem wyobrażać sobie karmę jako naklejającą się na wielkie wydarzenia, później historyczne, gdy na ogół jest to projekcja wyobrażenia o własnej wielkości.

Nie, nie czułem trzęsień ziemi w Neapolu, nie licząc tych w apartamencie obok, gdy goście brali prysznic, tak jakby rury zawyły ze strachu przed nagimi ciałami. Tymczasem jednak coś tego dnia wybucha: wojna w Izraelu. I rzecz dziwna: tego wieczora na Grindrze pojawia się kilku Izraelczyków, których wcześniej nie widziałem, zagadują mnie. Zastanawiam się, czy gdybym zamienił się w obecności któregoś z nich w wulkan, powinienem powiedzieć przed ostatecznym wybuchem, że bardzo mi przykro z powodu wojny. Ale i do tej lawy nie dochodzi.

Następnego dnia po południu samolot wylatuje nad Neapol i w stronę Sorrento, przelatuje tuż nad Wezuwiuszem, zaglądam przez małe okienko w krater. Ślepe usta, nieme oko. Godzinę później słońce zachodzi pomarańczowo-krwawą poświatą mieszającą się z pianą chmur. Wygląda jak lawa. Gdyby oddać rację tym filozofom, którzy głosili, że ciągi przyczynowo-skutkowe są wytworem naszego umysłu, fikcjami uspójniającymi przepływy wydarzeń, to mógłbym powiedzieć, że w ostatniej chwili, ostatnim chrząknięciem karmy uciekłem przed katastrofą. I jeszcze zrobiłem jej zdjęcie.

SAMANTHA KITSCH

only sky
[tryptyk]

cmentarz
[Green-Wood, Brooklyn]

pozieleniała figura z nagrobka
palcem uniesionej ręki wskazuje niebo
(dziś ostry błękit z jedną wiotką chmurką)
palcem opuszczonej ręki wskazuje ziemię

no hell below us / above us only sky –
jak to ujął zwięźle jeden z Apostołów
choć wielu głosiło co innego:
prochy tu / dusza tam?
dół – potępienie / góra – zbawienie?
figura w falistej szacie zbyt zzieleniała
aby pamiętać? rozróżnić?

rozległy cmentarz zajął trawiaste pagórki –
niektóre strome
z wierzchołków widok na zatokę:
dwa miasta mosty kanały statki barki port

na kopulastych szczytach na zboczach w kotlinach
kamienne krzyże iglice anioły

Cytaty pochodzą z opowiadania *Alef* Luisa Borgesa, tłumaczenie Zofia Chądzyńska.
„Above us only sky" – John Lennon, *Imagine*.

ten dmie w trąbkę ten rozwinął skrzydła
ten przyklęka z dłonią na piersi – na sercu –
wszędzie kwiaty
pielęgnowane lub wysiane dziko
wśród pobrużdżonych pni ogromnych dębów
wiązów cedrów metasekwoi

chodzę po cmentarzu jak w raju
ludzi prawie wcale – duchów wcale – za to
wiewiórki świstaki szop jastrząb żuraw
dwa stawy z szafirową wodą
dwa inne zarosłe i muliste – raje żab

Rana catesbeiana – rycząca żaba-byk –
bullfrog –
żaby pławią się łapią muchy i ważki
a raz po raz żarliwie/leniwie ryczą/buczą:
prochy tu – dusza tam?
potępienie – zbawienie?
strzeż się żurawia?
above us only sky?
ich cmentarzyska na dnie stawów

Green-Wood

Cmentarz, położony na trawiastych pagórkach z ogromnymi drzewami, był rozległy, ale dość łatwo mógłbym obejść jego wielokąt, prawie kwadrat, zawsze wiedząc, gdzie jestem – natomiast środek cmentarza pozostawał dla mnie nieodgadniony. Tu pagórki jakby namnażały się, stale wybrzuszały się nowe, co chwilę gubiłem się i docierałem do miejsc, których nie rozpoznawałem, przekonany, że jeszcze nigdy mnie tam nie było, choć to mało prawdopodobne, skoro wędrowałem tu często, a teren był ograniczony. Wchodziłem i schodziłem z pagórków w niedowierzaniu, w zachwycie, odkrywałem różnorodne drzewa i kwiaty, witały

mnie nieznajome anioły na mogiłach – spacerowałem tak może półtorej godziny. A może dwie godziny. Po tym czasie zwykle zmęczenie brało górę nad zachwytem i nagle orientowałem się, gdzie jestem, i było dla mnie oczywiste, jak mam stąd dojść do bramy – znużony, trochę w pośpiechu opuszczałem cmentarz i szedłem do domu.

Alef II

Sam Kitsch powziął plan: przepisać opowiadanie Borgesa tak, żeby to narrator (którego Borges nazywa Borgesem – lecz Sam Kitsch nazwie narratora imć B., aby odróżnić go od pisarza, Borgesa) wyszedł na zazdrosnego bufona i idiotę, niezdolnego ogarnąć wielkości osoby i talentu znakomitego poety Daneriego. Przypomnijmy, że w opowiadaniu *Alef* narrator imć B. (którego Borges nazywa Borgesem) przedstawia Daneriego jako kompletnego bufona i beztalencie. Jednak, jak zaświadcza imć B., docenili Daneriego inni poeci i krytycy, czytelnicy zapewne też, a adorowana przez imć B. kobieta, Beatriz, zakochała się w Danerim, a nie w imć B. (którego „bezsensowne uwielbienie", co sam imć B. przyznaje, „nieraz doprowadzało ją do rozpaczy"). W co uwierzymy łatwiej: że nadzwyczajna kobieta zakochała się w bufonie-beztalenciu, czy że przyznano bufonowi-beztalenciu ważną literacką nagrodę? Czyżby jedyny imć B. widział wszystko „prawidłowo" – czy raczej przesłaniała mu prawdziwy obraz rzeczy jego własna bufonada i zawiść, kompleksy i ograniczenia? A może to pytanie zadał nam już sam Borges – ukrył w narracji ewentualne drugie dno, drugą stronę medalu?

Daneri ciągle się przechwalał? Można przyjąć, że po prostu emfatycznie i wnikliwie mówił o swojej poezji, zwłaszcza kiedy się łudził, że ma w imć B. powiernika i sprzymierzeńca. Stał się złośliwy, gdy zorientował się, że jest inaczej? To zrozumiałe, że „szczery człowiek" z entuzjazmem analizuje swoje wiersze, a z pogardą i złością zwraca się do obłudnika. A wyszydzane przez imć B. cytaty z poematu Daneriego? – wyrwane z kontekstu pewnie straciły coś ze swojej wymowy i głębi, a może to my zbyt łatwo sugerujemy się oceną imć B. – może są całkiem ładne? Co do wypowiedzi Daneriego, imć B. nie pamiętał ich przecież dosłownie, niewątpliwie coś dodał i poprzekręcał, na modłę własnych zjadliwych myśli i wypowie-

dzi (nawet ubóstwianej Beatriz imć B. przypisuje „pogardy, prawie okrucieństwa" i „patologię"). Co do kwestii istnienia Alefa lub nieznanych mocy, Sam Kitsch nie będzie tu spekulował. Na końcu historii imć B. usiłuje samemu sobie i nam wmówić, że Alef w piwnicy u Daneriego był „fałszywym Alefem" – tu wyraźnie widać jego życzeniowe myślenie i jad, co każe zapytać, czy nie jest to przypadkiem przewrotne opowiadanie o samonienawiści Borgesa?

I jeszcze nota: po napisaniu wiersza *cmentarz,* Sam Kitsch ułożył krótki szkic *Green-Wood* o tym samym cmentarzu, po którym spacerował – który to szkic ma coś z wikłających się w sobie konstrukcji Borgesa. Sam Kitsch pomyślał, że znalazł na cmentarzu Green-Wood swojego Alefa. I właśnie wtedy, gdy przypomniał sobie opowiadanie Borgesa, przyszło mu do głowy, że może ono mieć inną interpretację, „drugie dno", czego chyba nigdy przedtem (w swojej naiwności?) nie dostrzegł (a może dostrzegł? a inni?). Po spacerze przeczytał *Alefa* trzeci raz w życiu – zatrzymał go następujący fragment*:* „W Kabale litera ta oznacza En Soph – nieograniczoną, czystą boskość; mówi się także, że ma ona postać człowieka wskazującego niebo i ziemię, aby zaświadczyć, że niższy świat jest zwierciadłem i mapą wyższego". A więc figura, którą Sam Kitsch zobaczył na cmentarzu i opisał, wróciła do niego u Borgesa – gdyby ją zapamiętał z poprzedniej lektury, powiedziałby, że figurę z Borgesa (odrębnie będzie omówiona kabała) spotkał na cmentarzu. Tak czy inaczej, koło zamknęło się. Niech inni spekulują, czy Sam Kitsch bierze to za przypadek, czy za sprawę nieznanych mocy. A teraz: czy narrator imć B. i bufon-beztalencie nie byli w takim razie (w zamierzeniu Borgesa, w którejkolwiek interpretacji) swoim wzajemnym zwierciadlanym odbiciem (znów bez spekulacji, czy wyższy świat miałby być równie pełen potworności co niższy)?

ZBIGNIEW DMITROCA

Don Kichot

Chodzi sobie spieszony don Kichot
Wśród mocarzy średniaków i lichot

Niepozorny niemłody przechodzień
Jakich wielu się widzi na co dzień

A wiatraków wokół coraz więcej
Rosną jak w wyobraźni dziecięcej

I raz po raz dobiega ich chichot
To ten stary idiota don Kichot

W głosie słychać tyle satysfakcji
Że nie sposób nie przyznać im racji

Śmierć gawrona

Przed południem zakrakał smutno
na rosnącym przy płocie głogu

Co on tak sam siedzi
zapytała żona
to przecież ptaki towarzyskie

Po jakimś czasie
niezauważenie spadł

na gorący od upału
beton przed domem

On umiera
krzyknęła żona
wyszedłszy po chwili na dwór

Razem z córką
błyskawicznie zorganizowały
akcję ratunkową

Przy asyście dwóch suczek
napoiły go ze strzykawki
i położyły w cieniu
na wilgotnym ręczniku

Poruszył skrzydłem
i na moment nawet
podniósł głowę
zamkniętych oczu nie otworzył

Po powrocie z zakupów
krążyły już nad nim muchy

Nie wyprawiliśmy pogrzebu
jak dzieci z drzeworytu
Marii Hiszpańskiej-Neumann

Żona zaniosła go na kompost
który wszystkiemu
daje nowe życie

Oda

Nie buja w obłokach
Pokorna i powolna wiatrowi
Na jego niewidzialnych skrzydłach
Dokonuje bezkrwawych podbojów
Czyniąc ziemię sobie poddaną

Prażona przez słońce
Ścinana przez mróz
Palona żywym ogniem
Trawiona truciznami
Tratowana wygryzana koszona
Do samych korzeni
Niezmiennie się odradza i trwa

Nie potrzebuje
Wygody ani luksusu
Wystarczy jej odrobina
Zwilżonej rosą gleby
By cichcem zdobyć przyczółek
Miniaturowej kolonii
Swojego bezgranicznego królestwa

Nie ściga się z bluszczem łopuchem i pokrzywą
Nie zbroi w kolce jak oset tarnina i głóg
Nie mizdrzy kolorami
Jak mak chaber rumianek barwinek
Całą życiową energię
Wkłada w monotonną zieloność

Niepozorna królowa życia
Jej Wieczystość Trawa

Opoka epoki

„Kopaliśmy z Witkiem w czarnym mule tej epoki".
Stachura

Jak świat nasz długi i szeroki
Każdy się tapla w mule epoki

Każdemu inna miara jest dana
Po kostki szyję lub po kolana

Jedni ochoczo od razu włażą
Inni niemrawo albo z odrazą

Wielu próbuje przejść suchą stopą
Dla wielu namuł jest opoką

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąg (18)

Ernst von Salomon, *Les Réprouvés*, traduit de l'allemand par Andrhrée Vaillant et Jean Kuckenburg, préface de Michel Tournier, Bartillat, Paris 2007. Tytuł oryginalny: *Die Geächteten* (1930) – wyklęci, potępieńcy, poza prawem.

Całkiem niedawno w księgarni Gibert w Tuluzie trafiłem na używaną (4,50 euro) autobiografię nieznanego mi do tej pory Ernsta von Salomona (1902–1972), niemieckiego pisarza (pochodzenia francuskiego z dawnej rodziny hugenockiej – dużo takich wypędzonych rodzin schroniło się w pierwszej połowie XVIII stulecia w Prusach oraz w samym Berlinie), aktywnego zwolennika niemieckiej radykalnej prawicy. Salomon, którego ojciec był oficerem policji, jako młody jeszcze chłopak, wstąpił do szkoły wojskowej kadetów, której nie zdążył ukończyć, tak jak nie wziął udziału w kończącej się pierwszej wojnie światowej, ale zdążył – jako jeden z pierwszych ochotników – zaciągnąć się do Freikorpsu jesienią 1918 roku: walczył z komunistami w Berlinie (nieudana rewolucja Spartakusa), z bolszewikami na Łotwie, z Polakami w ostatnim powstaniu śląskim, wziął udział w puczu Kappa oraz w przygotowaniu udanego zamachu na Walthera Rathenaua, ministra spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej, której nasz, wtedy już zdemobilizowany, bohater szczerze nienawidził. Za ten czyn otrzymał wyrok pięciu lat więzienia (dokończył wtedy pisanie autobiografii); jako jeden z niewielu pisarzy (nie tylko z tak zwanych przedstawicieli konserwatywnej rewolucji) nie podpisał lojalki hitlerowskiej (co spowodowało krótkie zaaresztowanie i coś w rodzaju nadzoru). W epoce hitlerowskiej pracował jako scenarzysta dla przemysłu filmowego, był publicystą prasy konserwatywnej; w 1945 roku ponownie trafił, tym razem na kilka miesięcy, do więzienia, jako że uznany został przez zwycięskich aliantów za zadeklarowanego nacjonalistę (co się zgadzało). Odpowiedzią Salomona na to uwięzienie okazała się bestsellerowa (i najważniejsza zdaniem znawców) autobiografia *Questionnaire* (1951), w której ze zjadliwym humorem odpowiedział na kwestionariusz lojalności – tym razem przygotowany przez

zwycięską zachodnią koalicję dla (pokonanych i stanowiących zagrożenie dla demokracji) Niemców w ramach denazyfikacji.

Autobiografia napisana (przełożona) została z werwą i autentyczną „gorącą" emocją: jest to namiętna spowiedź dziecięcia XX wieku, rzuconego na scenę walk z upokorzeniem niemieckiej ojczyzny po klęsce w 1918 roku; fanatyka rewolucji prawicowo-konserwatywnej, nacjonalisty, militarysty, przeciwnika „poniżającego" traktatu wersalskiego i nędznej republiki z niego wyrastającej, wroga bolszewizmu, dekadencji, pacyfizmu. Właśnie ten portret najbardziej mnie zainteresował, portret pewnej konkretnej generacji Europejczyków (również tych nieco starszych, którzy wzięli udział w wojnie, jak Benn, Jünger, Céline, Drieu la Rochelle, Strasser, Hess), którzy opowiedzieli się za narodową prawicą czy konserwatywną rewolucją, silnymi doznaniami „męskimi" i twardymi światopoglądami. Po lewej stronie, bliżej już roku urodzenia Salomona, postawić można ich młodszych oponentów, jak Malraux, Brecht, Sartre, Orwell, Weil – zaangażowanych intelektualistów lewicowych lub wręcz komunizujących, stojących po stronie wydziedziczonych mas pracujących, w większości (przynajmniej do czasu) zwolenników kraju krat, czyli Związku Radzieckiego. Większość z nich, znanych i nieznanych, została wykorzystana przez bolszewicko-komunistyczne lub faszystowsko-hitlerowskie partie do własnych celów, ponieważ ich istotą była likwidacja indywidualnej i zbiorowej wolności myślenia i działania, autorytaryzm, monopartyjność, jednoświatopoglądowość, a nie rozwój socjalnej demokracji, swoboda intelektualna krytycznie myślących ludzi oddanych „etycznej sprawie sprawiedliwości społecznej". Piękna moralnie Simone Weil popełniła zastępcze samobójstwo w wojennej Anglii, odmawiając jedzenia, uznając się za kolejne wcielenie cierpiącego za grzeszną ludzkość Jeszuy…

Prawdziwie niepokojący i interesujący jest przypadek francuskiego i zdolnego pisarza i poety, publicysty i aktywisty, żołnierza pierwszej wojny światowej Pierre'a Drieu la Rochelle (1893–1945), który wyszedł ze zwycięskiej wojny złamany, ale niezłomny w szukaniu mocnego światopoglądu, odrzucającego skorumpowane wartości mieszczańskie i proletariackie, demokratyczne i kapitalistyczne, nurzając się w dekadencji epoki, zapadając regularnie na obsesję śmierci, w końcu znajdując nadzieję w europejsko-nazistowskim ruchu odnowy wielkiej Europy… w „rycerskiej" osobie Adolfa Hitlera, żeby skończyć rozpaczliwym samobójstwem.

Może i szkoda, że nie mamy jego najlepszych dzieł w języku polskim. Jego wewnętrzna i zewnętrzna szamotanina jest pouczającym ostrzeżeniem.

Salomon był wyznawcą wielkich Niemiec, zjednoczonych, imperialnych, prawicowych, autorytarnych, konserwatywnych, w granicach z 1914 roku. Traktat wersalski dla Niemiec i radzieckiej Rosji (ZSRR) był nie do zaakceptowania i – jak pisał historyk A.J.P. Taylor w *The Course of German History*, w klasycznej wersji z 1945 roku, kiedy wystawiał państwu niemieckiemu rachunek krzywd – nie doszłoby do zwycięstwa Hitlera, gdyby Niemcy weimarskie spłaciły reparacje (ale nie było to możliwe, tak były wygórowane!), gdyby zostały całkowicie zdemilitaryzowane, gdyby granice zostały wytyczone i uznane traktatami pokojowymi (szczególnie wschodnie), gdyby, a to najważniejsze, Niemcy zaakceptowali narody słowiańskie jako im równe (te pomniejsze, bo z Rosją radziecką szybko zaczęli współpracować, w tym na polu przygotowań militarnych). Tak czy owak, tak sądzę, wojna Niemiec z Polską by wybuchła, może jedynie nieco później i prowadzona byłaby bardziej „humanitarnie" przez konserwatywnych nacjonalistów germańskich. W każdym przypadku byśmy zostali podbici, okaleczeni o Śląsk czy Pomorze (korytarz), a nie można byłoby przecież wykluczyć agresji sowieckiej i w tym przypadku jedno byłoby pewne: wojna światowa po tym konflikcie militarnym by nie wybuchła. *Finis Poloniae*!

Salomon opłakiwał wściekle klęskę najlepszej armii świata i najdzielniejszych wojowników. Przecież wojny nie przegraliśmy, przynajmniej na wschodzie, ale ten cios w plecy, to hańba, to nie do zaakceptowania! Zmobilizowano jedenaście milionów żołnierzy, z tego sześć milionów zginęło, zostało rannych, zaginęło. Alianci zmobilizowali przeciwko II Rzeszy dwadzieścia osiem milionów ludzi, a stracili dwanaście milionów. Czyli, jak podaje Peter Watson w *The German Genius and the Twentieth Century*, pięciu alianckich żołnierzy przypadało w ataku na jednego w końcu zabitego Niemca. Niemcy w okopach lepiej się bronili, a atakujący masami Francuzi, Anglicy skazani byli na los mięsa frontowego. Wniosek z tego nasuwa się jeden: aliantów liczbowo przybywało, a wraz z wojskiem amerykańskim przybywała i wzrastała technika wojenna – bojowych Niemców zaczęło nie wystarczać. Na tyłach brakowało i jedzenia, i zrozumienia, szykowała się rewolucja, chociaż stale aktywny i mocny pozostawał wschodni front, pomimo ciężkich walk zwycięski…

Na marginesie: czy tak padnie Ukraina, a my z nią, pod niezliczonymi sforami żołdactwa i pod coraz większą przewagą uzbrojenia po stronie faszystowskiej, scementowanej nienawiścią, Rosji? W takim razie szybki w miarę pokój na warunkach zawieszenia broni i zatrzymania frontu (czyli utraty około dwudziestu procent terytorium) miałby okazać się w 2025 roku sukcesem? Pod warunkiem, że Ukraina przyjęta zostanie natychmiast do UE i NATO.

Sławny i bitny, rycerski i nacjonalistyczny Ernst Jünger (1895–1998), autor bestsellera *In Stahlgewittern* (1922, *W stalowych burzach*), głosił podobne teorie, co żarliwi oficerowie Freikorpsu (ochotniczej armii powstałej po klęsce w 1918 do obrony jedności Niemiec, szczególnie na Wschodzie i Północy), bijący się o wielką Rzeszę, wrogów widząc w liberalnej demokracji i rządach Republiki Weimarskiej. Jünger (nie znoszę jego przerafinowanej i butnej twórczości podobnej do lśniących butów zwanych oficerkami) podobnie jak Salomon nie wstąpił do NSDAP, ale aktywnie działał w kręgu rewolucyjnych konserwatystów. Zarówno na przełomie XIX i XX wieku, jak i w latach dwudziestych na ogromnym podówczas niemieckim rynku księgarskim pojawiało się mnóstwo książek, które postulowały odrodzenie rasowe i narodowe Niemiec skazanych na hegemonię w Europie (i świecie). Przykładowy tytuł to *Das dritte Reich* (1922) Moellera van den Brucka. Pierwszym filozofem niemieckim, który oficjalnie i jednoznacznie wsparł pangermanizm i narodowe przebudzenie do zjednoczenia Niemiec (w rezultacie antynapoleońskie), był Fichte. A po nim nastał wielki Hegel ze swoim Duchem objawiającym swój kres w państwie pruskim, oraz całe szeregi złotoustych i zuniformizowanych pastorów, historyków, wojskowych, nauczycieli. My w XIX stuleciu nie dysponowaliśmy niepodległym państwem, więc nie mieliśmy narodowego aparatu edukacyjnego i wojskowo-administracyjnego, aby po swojemu (cienko?) śpiewać w chórze rodzących się i rozpierających łokciami nacjonalizmów. Do czasu…

Najbardziej chyba popularną generacją powojenną stała się paryska generacja amerykańskich pisarzy, takich jak Fitzgerald, Hemingway, Cowley, którą Gertruda Stein nazwała *Lost Generation*. W Anglii pisarze i poeci, tacy jak Auden czy Spender, o lewicowych zapatrywaniach, nie myśleli o sobie w takich „dekadenckich dekoracjach". Należeli do tych, którzy dzielili aktywny czas – jak to notował Stephen Spender w *World Within World* (znów nie mamy tłumaczenia niestety!) – na robotę literacką i na działalność antyfaszystowską. Burzliwe lata

trzydzieste XX stulecia to świat podzielony, to ludzie podzieleni, to walczące ze sobą grupy społeczne i narodowe, narastanie ponowne jeszcze większego konfliktu wojennego, światopoglądowego, etnicznego. Czy ten chaos i obawy coś nam dzisiaj przypominają?

W Polsce pokolenie urodzone w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX stulecia wyrąbało ideową i organizacyjną niepodległość (wcześniej kształcąc się w szkołach i uniwersytetach austriackich, pruskich, niemieckich, rosyjskich), młodsze roczniki złożyły natomiast obfitą daninę krwi na różnych frontach w kilku obcych armiach. Pierwsze lata powojenne to lata walki o niepodległość, to szczęśliwy i upragniony powrót ojczystego śmietnika, a w literaturze, poza pacyfistyczną powieścią Józefa Wittlina, żołnierza armii austriackiej, *Sól ziemi* (1935/1936), trudno byłoby wskazać znaczące utwory o (pacyfistycznej) tematyce wojennej z bólem i przestrachem rejestrujące totalne załamanie dotychczasowego porządku moralnego i cywilizacyjnego, jak dzieła niemieckich, francuskich czy angielskich autorów (Remarque, Barbusse, Graves, Owen, Zweig). Zresztą wszystkie najwybitniejsze utwory zachodnie, sprzed (antycypacja) lub po rzezi frontowej (apokalipsa spełniona) odnosiły się (kryzys człowieczeństwa, postępu, kultury, bunt mas i rosnący totalitaryzm) do epokowego doświadczenia tej niebywałej katastrofy, jaką stała się pierwsza wojna światowa (Kafka, Musil, Broch, Gide, Aragon, Ungaretti, Unamuno, Brecht, Benn, Crnjanski, a u nas samotny Witkacy). Wydaje mi się, że znam tylko jednego wielkiego pisarza, wręcz geniusza, którego to nie dotknęło całkowicie: Jamesa Joyce'a.

Przypominam sobie kilka klasycznych nazwisk polskich autorów (nie wszyscy byli kombatantami), generacyjnie zbliżonych do Salomona: Jan Żyznowski (1889–1924) – żołnierz na froncie zachodnim i w wojnie polsko-bolszewickiej, pisarz, artysta plastyk; Eugeniusz Małaczewski (1897–1922) – żołnierz armii Hallera oraz uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, pisarz; Władysław Broniewski (1897–1962), legionista oficer w wojnie polsko-bolszewickiej, komunista; Sergiusz Piasecki (1901–1964) – kombatant wojny polsko-bolszewickiej, kryminalista, agent, pisarz; Marian Czuchnowski (1909–1991) – radykał chłopsko-robotniczy, poeta (polski Rimbaud), prozaik; Aleksander Wat (1900–1967) – futurysta i komunista; Leon Kruczkowski (1900–1962) – komunista, pisarz; Stanisław Piasecki (1900 –1941) – endecki faszysta, pisarz i redaktor „Prosto z Mostu"…

W Polsce lata trzydzieste minionego wieku to czas wzmagania się autorytarnego reżimu, rosnącego antysemityzmu, faszyzującej endecji, sowieckiego komunizmu, radykalizacji nastrojów społecznych i narodowościowych (nie do rozwiązania nacjonalistyczny problem ukraiński). A za nizinnymi granicami, łatwymi do przejścia, faszyzm hitlerowski i faszyzm stalinowski. Wrzący kocioł przygotowany przez rezultaty pierwszej wojny, w której Polska pięknie i skutecznie skorzystała, wznosząc swoją krótką acz genialną niepodległość. Polska literacka generacja lat trzydziestych, przeczuwająca nadchodzące olbrzymie konflikty, nazwana została przez świetnego znawcę poezji Jerzego Kwiatkowskiego „tragicznym pokoleniem" – od tytułu autobiograficznej i subtelnej psychologicznie powieści z 1936 roku, autorstwa Mariana Ruth Buczkowskiego (1896–1976) – żołnierz AK, brat o wiele bardziej znanego pisarza Leopolda Buczkowskiego. Do tego pokolenia doliczył prozaików, takich jak Zbigniew Uniłowski czy Stanisław Piętak, ale w pamięci pokoleń ten nurt katastroficzny utrwalił się nade wszystko w poezji tak zwanej Drugiej Awangardy z wieszczymi wierszami Józefa Czechowicza i Czesława Miłosza.

Czytając ten portret zbuntowanego i skrzywdzonego „niesłusznie" młodego ideowego wielkoniemieckiego nacjonalisty, przypomniałem sobie swoje fobie czternastolatka, kiedy płakałem rzewnie nad albumami, fotografiami, książkami z drugiej wojny światowej, w których klęska wrześniowa, zbrodnie wojenne na Polakach (ale i na polskich Żydach, bo i taki znalazłem album na strychu pozostawiony w stercie książek) domagały się ode mnie jednoznacznego wzmożenia nacjonalistycznego: oczywiście, ja nie tylko zostałem „narodowo pokrzywdzony", ale i nie miałem żadnego wpływu na rzeczywistość. Do tej traumy antygermańskiej dodałem i inną, antyradziecką, kiedy odkryłem nieco później, że moja ukochana mama urodziła się w… ZSRR (czyli na Wileńszczyźnie), i że w latach 1940–1946 wraz z rodziną wegetowała na granicy przeżycia w sowieckiej Azji. I tak świadomie wkroczyłem nastoletni w strefę tragicznej historii Zła. Która króluje wewnątrz i na zewnątrz każdego człowieka, plemienia, narodu.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2025

Poniedziałek, godzina 19.57. Prawdziwy chrześcijanin

Dzisiaj na przyjęciu w hotelu Hilton po uroczystym wieczorze wspomnień o Pawle Huelle, na którym byliśmy w gdańskim kościele Świętego Jana w pierwszą rocznicę jego śmierci, J. mówi do mnie: – Wiesz, ja myślę, że ty jednak mimo wszystko jesteś chrześcijaninem. W twoim pisaniu zawsze wyczuwa się obecność „dobrego chłopca", który z łatwością wybacza krzywdy, jakich doznał od ludzi.

Cóż, dobra J. jest już taka, że stara się przerobić wszystkich, których ma dookoła, na prawdziwych chrześcijan, więc chętnie w ludziach widzi dokładnie to, co potwierdza jej nadzieje. Po prostu nie może się powstrzymać od klonowania samej siebie w innych. Każdy znajomy jest do tego dobry, by go przerobić na swój obraz i podobieństwo.

– Moja droga – odpowiedziałem na jej słowa z uprzejmym spokojem. – To tylko skutek słabości mojej pamięci, nic więcej. Ja po prostu – może inaczej niż inni – bardzo szybko zapominam o krzywdach, jakie mi ludzie zadają. Po prostu nie pamiętam. Taka to już moja ułomność. A ty chcesz z niej zrobić jakąś wysoką, chrześcijańską zasługę.

Parę dni temu na spacerze w Gdańsku ja i K. spotkaliśmy jednego z pisarzy, który niedawno paskudnie zaatakował mnie w Internecie. Tymczasem ja na jego widok rękę wyciągam, ściskam mu dłoń i z uśmiechem zagaduję, co u niego słychać, co on przyjmuje z niedowierzaniem, bo spodziewał się czegoś zgoła innego.

Kiedy się z nim pożegnaliśmy, K. mówi do mnie: – Czyś ty zwariował? Jak możesz ściskać ręce komuś takiemu! To jest zazdrosny, podły gość, który zrobił ci coś paskudnego i to jeszcze na oczach tysięcy ludzi, publicznie, w Internecie, a ty zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało! – Na co ja odmruknąłem: – Wiesz, kiedy

go zobaczyłem, zupełnie nie skojarzyłem, że to jest ten gość, który mnie znieważył w Internecie. Po prostu myślałem o czymś zupełnie innym. Dlatego machinalnie ściskałem mu rękę z najzupełniej szczerym uśmiechem. Żadnej tam wybaczającej miłości bliźniego z mojej strony wobec niego nie było.

Wygląda więc na to, że wrodzona łatwość zapominania o rzeczach i ludziach niepięknych jest piękną zaletą duszy, która, niestety, nie jest, jak w moim przypadku, żadną tam wypracowaną mozolnie zasługą, którą powinniśmy się chlubić dla własnej chwały, lecz raczej drobną wadą charakteru, którą rozsądek nakazuje uważać za zbawienną. Dobra pamięć sprzyja woli zemsty, bo zemsta ma naturę pamiętliwą i lubi rozgrzebywać wszystko, co minęło? Zła pamięć jest łagodna, głupia, wybaczająca i przez to mimowolnie szlachetna, więc rozjaśnia dobrym światłem nasze biedne, poplątane życie?

Sobota, godzina 5.25. Pamięci Alfonsa Marii de Liguori, autora *Przygotowania do śmierci*

Nie dać się zastraszyć. Kontemplować do końca własną bezsilność. Mieć poczucie, że się gołą ręką dotyka żelaznej ściany, która z wolna napiera, nie wiedząc, co czyni. Budować w sobie pragnienie nieistnienia na przekór biologicznej sile, która spaja tkanki w obronie przed rozpadem. Uczyć się zupełnej obojętności na to, co po nas zostanie. Nie dać się zaszantażować przymusem publicznego dowodzenia własnej wartości. Rozbudzać w sobie złą radość z tego, że On dla własnej satysfakcji z niewiadomego powodu mnoży utrudnienia w umieraniu. Wierzyć w moment szybkiego odejścia, wbrew powszechności ślimaczącej się śmierci. Mieć spokojną pewność, że kiedy nadejdzie chwila ostatnia, znajdziemy się na dnie zupełnego poniżenia. Mściwie wpatrywać się w Jego rękę, która rani, zniekształca i odbiera, nie wiedzieć czemu znajdując satysfakcję w powolnym niszczeniu tego, co sama stworzyła. Uczyć się obojętnego przyjmowania zniszczeń pośmiertnych, które poczynią obcy ludzie, gdy wejdą do naszego mieszkania, kiedy nas już nie będzie. Pielęgnować wewnętrzny śmiech, którym należy przyjmować systematyczne uderzenia niszczącej choroby. Do końca mieć złudną nadzieję, że mimo pogorszenia ocaleje żywe oko wewnętrzne, które – ginąc – potrafi chłonąć mściwie własną zagładę. Być dumnym z tego, że to nie my wymyśliliśmy śmierć. Śmiać się z mocy, które powoli nas zmazują z powierzchni świata. Czuć wyższość nad tym, co nas

zabija – zawsze w okropny sposób. Bełkotać do końca niezgodę na ponury proces odchodzenia, mając nadzieję, że to, co nieuchronne, będzie trwać nie dłużej niż chwila. Wierzyć z ulgą w absolutne zniknięcie – bez najmniejszego śladu. Bezczelnie domagać się przyspieszenia ostatecznego rozwiązania.

Obrażać do końca to, co ma za nic wszelkie nasze obelgi i patrzy niewidzącymi oczami na nasz żałosny taniec w brudnej pościeli, która będzie naszą łodzią nieuchronną. Naiwnie wierzyć, że do końca ręka będzie w stanie zadawać ciosy piórem i ołówkiem, znieważając to, co nie do znieważenia. Gasić w sobie łzawy żal za życiem, które wsiąka w piasek. Bezsensownie ufać, że oczy nie uronią nawet jednej łzy, kiedy rozpacz przydusi nas młyńskim kamieniem do szpitalnego łóżka. O ile się da, myślą wyprzedzać własną śmierć, przygotowując jej miejsce w domu naszym. Hodować w sobie wysoką obojętność, która otwiera nas na dar zapomnienia. Radować się na przekór wszystkiemu, że po dwóch tygodniach zapomną o nas wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy zostaną zranieni przez naszą śmierć. Cieszyć się mściwie, że zniszczenie zjada całą Ziemię i nie zostanie nic z tego, co chce zostawić po sobie mnożące się życie. Być obojętnym na to, gdzie złożą nasze kości. Traktować własne zjawienie się na świecie jako niegroźną pomyłkę, która być może ma pewne znaczenie dla paru osób, wiedzących o naszym istnieniu. Nie wierzyć w to, że są ludzie niezastąpieni. Z wyrozumiałym uśmiechem przyjmować widok płyty nagrobnej, która wcześniej czy później rozsypie się w proch. Spokojnie mówić sobie: i cmentarze są śmiertelne. Tam, gdzie się rozciągają, żywi pobudują nowe domy. Nie liczyć na żadną wdzięczność. Nie dziękować za nic – z wyjątkiem tych, którzy na to zasługują. Do ostatniego tchu wierzyć, że się miało życie uczciwe i udane, nawet jeśli było ono nieudane. Być dumnym z tego, że było ono całkowicie niedorzeczne. Nie kajać się. Nie usprawiedliwiać. Nie tłumaczyć się. Nie prosić o przebaczenie. Wybaczać wszystko wszystkim. Spadając w błotnisty dół, wierzyć, że się wzlatuje w niebo. Spokojnie przyjmować, że żadna nadzieja się nie spełni. Do końca żyć złudzeniami. Modlić się o śmierć nagłą i niespodziewaną. Umierając, kopnąć Ziemię jak kamień leżący na drodze.

Wtorek, godzina 21.41. Niska zazdrość

Ludzie szanują tylko tych, którym inni czegoś zazdroszczą. Jeśli ktoś nie posiada przymiotów duchowych i przedmiotów materialnych wartych cudzej zazdrości,

jest przez nich lekceważony. Tylko światło zazdrości, które nas opromienia, nadaje nam wartość. Podłożem podziwu jest zazdrość zmieszana z nienawiścią, bo zwykle zazdroszcząc czegoś innym, czujemy, że sami nie jesteśmy w stanie posiadać tego, co oni posiadają i właśnie dlatego za tę własną niezdolność do posiadania karzemy nienawiścią innych zamiast samych siebie. Podziw bezinteresowny jest równie rzadki jak kwiat paproci, chociaż czasem się rzeczywiście zdarza. Kryje się w nim często wola zniszczenia, tak jakby utrata przedmiotów i przymiotów, których inni komuś zazdroszczą, sprawiała nam ulgę, bo – jak myślimy – upodabnia ona przedmiot naszego podziwu do nas samych, z wszystkimi naszymi ułomnościami. Tak właśnie nasza nienasycona dusza znajduje złudny odpoczynek, który nie jest, niestety, powodem do chwały.

Zazdrość w istocie rzadko bywa skierowana na osobę, której czegoś zazdrościmy. W rzeczywistości jest ona zawsze pretensją do niesprawiedliwego losu, że nas nie obdarował tak jak innych. W tym sensie zazdrość jest uczuciem głęboko metafizycznym, bo nie ma pojęcia bardziej metafizycznego niż pojęcie niesprawiedliwego Losu, chociaż moraliści zazdrość potępiają z całych sił, widząc w niej uczucie brudne i przyziemne, w czym mylą się zupełnie. Wśród ludzi wierzących zazdrość jest skrytym oskarżeniem Boga o to, że z niewiadomych powodów nie zechciał nas obdarować tak bogato jak innych, choć mógł nas obsypać darami równie obficie, a nawet bardziej niż ich. Pytanie, dlaczego tego nie uczynił, zbliża zazdrość do podstawowych pytań teodycei, a nawet zaostrza je.

Środa, godzina 23.41. Wolne sądy!

Sprawiedliwość jest zawsze na usługach władzy, szczególnie wtedy, kiedy temu zaprzecza. Każda władza chce mieć – i ma – swoich sędziów, którzy wydają wyroki zgodne z jej życzeniem. Opozycja zwykle oskarża władzę o wykorzystywanie sędziów do walki z opozycją. Kiedy jednak sama zdobywa władzę, chętnie nazywa sędziami niezależnymi tylko tych, którzy wydają wyroki „takie jak trzeba". „Sędzia niezależny" to bowiem taki sędzia, który potrafi zgodnie z prawem bez trudu nagiąć prawo tak, by aktualnej władzy służyło. Nie ma takiej władzy, która by w mniejszym lub większym stopniu nie wykorzystywała sędziów do walki z opozycją. Najlepiej się do tego nadaje stawianie zarzutów korupcyjnych oraz oskarżeń o przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków. Zwykle w takich

sprawach nie ma żadnych mocnych dowodów, tylko słowo przeciwko słowu, więc o wyroku decyduje ostatecznie tylko „dobra wola" niezależnego sędziego, który zwykle wie, czego oczekuje się od niego.

Nie wydaje się, aby to się kiedykolwiek zmieniło, chociaż ludzie szlachetni, co jakiś czas lubią wznosić mocny okrzyk: „Wolne sądy!", zapominając, że wolne sądy są tylko wzniosłym postulatem szlachetnych serc. Każda władza ma tysiąc sposobów, by bez nadmiernej przemocy skłonić sędziów do właściwego postępowania. Zresztą zwykle nie musi wcale tego robić, bo sporo sędziów – z pewnością nie wszyscy – doskonale wyczuwa, w którą stronę wieje wiatr. Z punktu widzenia władzy „wolne sądy" to takie sądy, które zapewniają jej zupełną swobodę w rządzeniu. To znaczy „wymierzają sprawiedliwość" jej przeciwnikom, a sprawy przeciwko „swoim" wolą raczej umarzać.

Z pewnością są sędziowie, którzy słuchają przede wszystkim głosu własnego sumienia. Są też jednak i tacy, którzy głosu własnego sumienia słuchają równie pilnie, jak twardych podszeptów ducha czasów. Wielu obawia się aktualnej albo przyszłej władzy, wydaje więc wyroki zgodne z oczkiwaniami, wmawiając sobie chętnie, że czynią to w zupełnej zgodzie z prawem, które na szczęście jest zawsze tak giętkie, że można je dostosować do aktualnych potrzeb.

Jeszcze trudniej znaleźć sędziego, który nie uginałby się pod naciskiem opinii publicznej. Niewielu jest takich, którzy sprawiedliwie osądzaliby oskarżonego, który został głośno napiętnowany przez media. W takim przypadku wyroki sądowe wydaje w rzeczywistości wpływowy dziennikarz wpływowej stacji telewizyjnej, którego sędzia boi się bardziej niż swojego własnego sumienia, dlatego wydając wyrok, potwierdza tylko medialną ocenę postawionego przed sądem człowieka, podając ją za własną, niezależną opinię.

Sprawiedliwość ma tę właściwość, że kiedy trzeba, uderza dokładnie tam, gdzie miejsce uderzenia zostaje oświetlone punktowym reflektorem przez aktualny, polityczno-medialny układ.

Czwartek, godzina 00.05. Cel życia

Wbrew religijnym fanatykom życie ludzkie nie ma żadnego ostatecznego celu. Ma jednak wiele celów cząstkowych, które zasługują na szacunek. Mądry człowiek wie, że jesteśmy wszyscy pasażerami łodzi, która tonie i wzajemna pomoc tym,

którzy toną razem z nami, jest najgłębszym sensem naszego losu, wbrew tym, którzy wmawiają sobie, że naszym celem prawdziwym jest dopłynąć na drugi brzeg. Nasza łódź na pewno zatonie, ale warto pamiętać, że zanim wszyscy pójdziemy na dno, mamy jeszcze trochę czasu, by zrobić coś dobrego dla tych, którzy toną razem z nami.

Piątek, godzina 00.05. Oko w trójkącie

Mądry człowiek żyje tak, jakby Bóg istniał, nawet kiedy ma spokojną pewność serca, że Boga nie ma. Nie przypadkiem ludzkość, pracując rozumem i wyobraźnią przez długie tysiące lat, stworzyła wielokształtną ideę Boga, której trzyma się mocno. Tworząc tę ideę, rozum naszego gatunku wiedział, co robi, więc wygląda na to, że nie mógł postąpić inaczej. Boskie oko, nawet jeśli jest tylko okiem wyobrażonym, wprowadza porządek do naszego życia, bo cudze spojrzenie zawsze nas dyscyplinuje. Patrząc okiem Boga na samego siebie, nawet jeśli jest to oko wyobrażone, budujemy układ odniesienia, który nadaje nam duchową formę. Myśl o tym, co by pomyślał o nas Bóg, pozwala lepiej oceniać nasze uczynki. To, że Bóg nas widzi, chociaż jest tylko naszym wyobrażeniem, powstrzymuje nas przed czynieniem głupstw, do których jesteśmy skłonni. W tym sensie idea Boga warta jest ochrony, bo reguluje nasze życie, nawet jeśli tylko opiera się na postulacie istnienia. Jest to idea Osoby mądrzejszej od nas, której spojrzenie ma moc zawstydzania nas, wstyd zaś przed Bogiem, że dopuszczamy się nierozumnie zła, godny jest i sprawiedliwy, nawet jeśli żadnego Boga nie ma.

Sobota, godzina 21.54. Przekleństwo bezruchu

Wojny wybuchają dlatego, że większość ludzi nienawidzi siedzącego trybu życia, który dla ludzi mądrych i twórczych jest radością i błogosławieństwem. Niewychodzenie z domu i siedzenie przy stole u jednych sprzyja rozkwitowi myśli rozumnej, u drugich jest tępą udręką, którą rozładowują poprzez włóczenie się po świecie i szukanie okazji do bójki. Dla iluż to ludzi udział w awanturze jest dużo ciekawszy od pisania i czytania. Już w przedszkolu widać, że tylko nieliczne dzieci lubią rysować i budować. Większość lubi bić się, szarpać, popychać, gonić i niszczyć, co się da, stopniowo nabierając fizycznych umiejętności, które są potrzebne do prowadzenia wojen i podbojów. Co jest – dodajmy – w pełni zgodne z porząd-

kiem natury. Wszystkie zwierzęta drapieżne, do których zalicza się człowiek, nie lubią siedzącego trybu życia. Spróbujcie zachęcić tygrysa, by przez dziesięć minut posiedział nad książką.

Niedziela, godzina 13.23. Dusza ważniejsza od ciała

Chociaż lewica jest przeciwko Kościołowi, chętnie przejmuje od niego przekonanie, że dusza jest ważniejsza od ciała. Kościół mówi: ciało powinno dostosować się do wymagań duszy, bo dusza jest ważniejsza. To samo mówią ci, którzy uważają, że samopoczucie jest ważniejsze od konstrukcji biologicznej naszego ciała, a nawet, że konstrukcja biologiczna naszego ciała powinna zostać dostosowana do samopoczucia wolnej i niepodległej duszy. Jeśli dusza mężczyzny czuje się duszą kobiecą, albo dusza kobiety czuje się duszą męską, nie wolno duszy kobiecej mężczyzny psychiatrycznie dostosowywać do ciała męskiego, a duszy męskiej kobiety do ciała kobiecego. Przeciwnie: należy ciało męskie dostosować chirurgicznie do wymagań duszy czującej się kobiecą, a ciało kobiece do duszy czującej się męską.

W ten sposób lewica trzyma się mocno bliskiego Kościołowi dogmatu o prymacie duszy nad ciałem, chociaż w innych punktach Kościół zwalcza, jak tylko może, uznając go za szerzyciela reakcyjnej ciemnoty.

Poniedziałek, godzina 22.21. Czucie i wiara

Ludzkość przez długi czas wierzyła, że drzewa posiadają świadomość, bo mieszkają w nich duchy. Wiarę tę zabiło przekonanie, że myśleć potrafią tylko byty posiadające system nerwowy, bo coś, co nie posiada systemu nerwowego, jest duchowo martwe. Powstanie komputerów podważyło tę prawdę. Martwa rzecz zrobiona z metalu i plastyku, która nic nie czuje, potrafi myśleć lepiej i szybciej niż nasz system nerwowy, a może za jakiś czas – jak zapewniają niektórzy – będzie miała uczucia nawet bardziej bogate niż my. Wiedząc to, wątpimy jednak, by drzewo patrzyło na nas ze zrozumieniem, co dla dawnych ludzi było oczywistością. Rośliny traktujemy jako całkowicie pozbawione świadomości nie dlatego, że nie mają systemu nerwowego, więc – jak sobie mówimy – nie odczuwają żadnego bólu, tylko dlatego, że są naszym podstawowym pokarmem. Spożywając je, nie chcemy wiedzieć, że może w tej samej chwili boleśnie je zabijamy. Nawet jeśli atawistycznie rozczulamy się nad śmiercią ściętego drzewa, mając w sobie

resztki uczuć naszych przodków, zaszyfrowane w ekologicznych sentymentach, mało kto rozczula się nad śmiercią sałaty, smacznie podanej na podwieczorek, chociaż podobno i ona jest żywą istotą, nawet kiedy leży na talerzu, nie mówiąc już o kompletnie bezmyślnych i nic nieczujących – jak uważamy – ostrygach, które połykamy żywcem.

Poniedziałek, godzina 22.54. Sprawa pychy

Niektórzy uważają, że z przyrodzenia oddani jesteśmy we władanie pychy. W rzeczywistości większość ludzi myśli o sobie źle i właśnie dlatego stara się mówić o sobie dobrze, pragnąc przy tym, by bliźni mówili o nich jeszcze lepiej. Być może, gdyby ludzie myśleli o sobie dobrze, sami byliby lepsi dla innych. Myśląc bowiem o sobie źle, uczymy się myśleć źle o innych, licząc, że cudza marność, wydobyta na światło, przesłoni naszą własną.

Wtorek, godzina 4.56. Kochaj bliźniego swego

Zalecenie „kochaj bliźniego swego jak siebie samego" nie jest zbyt rozsądne, ponieważ mało kto naprawdę kocha siebie samego. Większość ludzi samych siebie raczej nie lubi, a nawet odczuwa wobec siebie wyraźną niechęć. Nie ma ludzi, którzy nie chcieliby być inni niż są, co dowodzi, że zwykle nie najlepiej czujemy się we własnej skórze. Próżno szukać takich, którzy byliby w pełni zadowoleni z tego, kim są, czyli naprawdę lubili samych siebie. Zresztą lustro im w tym wcale nie pomaga.

W rzeczywistości ani nie kochamy samych siebie, ani nie kochamy bliźnich swoich, chociaż są tacy, którzy chętnie nam wytykają, że to z powodu przerostu miłości własnej rzekomo nie potrafimy kochać innych.

Dużo rozsądniejsze przykazanie brzmi: – Najpierw staraj się pokochać samego siebie, co osiągnąć się da jedynie sporym wysiłkiem duchowym, bo tylko wtedy, gdy to osiągniesz, będziesz w stanie pokochać bliźnich swoich. Tylko ten, kto lubi siebie naprawdę, potrafi naprawdę polubić innych. Niechęć do samego siebie zatruwa nam każdą chwilę życia, brudząc wszystkie nasze uczucia skierowane do innych. Tak, jakbyśmy z uśmiechem podawali spragnionemu bliźniemu swemu szklankę czystej wody z rozpuszczoną w niej, ledwie widoczną, gorzką kroplą żółci.

Wtorek, godzina 21.29. Sprawa otchłani

Byli tacy, którzy mówili o ciszy kosmicznych przestrzeni, która nas przeraża, tymczasem większość z nas, patrząc w nocne niebo, nie widzi nad sobą żadnej, nieskończonej, czarnej głębi kosmosu, tylko płaski, czarny sufit, upstrzony świecącymi punktami gwiazd. O nieskończonej przestrzeni potrafimy myśleć, ale nie jesteśmy w stanie jej doznać. Strach przed kosmiczną otchłanią jest mocno wykoncypowany i dużo mniejszy od strachu, jaki odczuwamy, gdy zaglądamy do zwyklej, wiejskiej studni, tak ciemnej, że nie widać dna.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (13)

Najpierw są słowa i zapisuję je, tak jak słyszę, w sobie. Potem poprawiam, skreślam, ale widzę, że zniekształca to zapis i osłabia go.

Zostawić wszystko, nic nie ujmować, nawet gdy wydaje się, że jest do poprawienia.

Świadomość, że nigdy nie jest się pozostawionym samemu sobie, odłączonym i opuszczonym, chyba że z własnej woli.

Rzeczy przemijające i rzeczy wieczne.

Głębia, paszcza otchłani. I ratunek.

Otwarta brama nieba.

Sidła próżnych myśli i wydostawanie się z nich.

Na pustkowiu, osobno.

Głos i głosy z góry.

Białe jak śnieg, lśniąco białe, jak blask.

Dar dla mnie i dla innych z wysokości i z niskości.

Odłączenie od nich to śmierć.

Nad głową, nad sklepieniem.

Opis daje rzecz tylko w przybliżeniu.

Trzeba działać w sobie, w swoim sercu i w duchu.

Odwrócony od ich czczych bożków.

Prowadzony po właściwych ścieżkach.

Czczący i kochający to, co oni bezczeszczą.

Z ich szumów i trzasków, na zewnątrz.

Głos, który jest najintensywniejszą ciszą, tak jak najczystsza biel jest najintensywniejszym kolorem.

Jest się przeciw albo za, nie ma innego wyboru.

Życie jest od Ducha. I słowa mogą być duchem. Ale mogą być materią i śmiercią. I to jest dane, niezależne od nas, przez pośrednictwo.

Trzeba wiedzieć, jak należy naśladować. I wiedzieć, że to, co świat nazywa mądrością, jest głupstwem.

To, co według nich nie jest, tym bardziej jest, a to, co według nich jest, marnieje i przepada.

Puste dni. I wolny wybór. Teraz. Zyskiwać wolny czas, ale nie po to, żeby stał się przestrzenią zamkniętą, lub tkwić w nim, nie robiąc nic, ale żeby wzmacniać ducha, stawać się coraz bardziej wolnym.

Czas zajęty może być tym, który wyzwala, daje radość.

Łączenie części w całość, mądrość serca.

Widzenie przyczyn i skutków, tego, co było i może nastąpić, siebie i tych, którzy są wokół, siły i słabości.

W matni powiązań, sytuacji i wydarzeń, śledzenie ich znaczeń. Tworzenie i stwarzanie. Z ducha i ze słów.

Zniekształcanie lub tkwienie w sednie. Częściowo lub całkowicie. W wirze kłamstw, oszustw, manipulacji i fałszu. Na łódeczce.

Głosy osób mówiących rzeczy, których nigdy nie powiedziały.

Wśród anonimów, w bagnie, w ich echach i pogłosach. I w swoim ciele, w rzeczywistości.

Patrząc, łącząc, współodczuwając, współczując i dzieląc się.

Wolny człowiek i media. Ich źródła, cele i dążenia.

Sieć modeli i algorytmów, przekreślenia i wykluczenia. Agresywna i brutalna redukcja rzeczywistości.

Jawne oszustwo, kłamstwo w strojnych kolorowych szatkach. Niewolenie.

Wybór, wysiłek i walka.

W ciągu wydarzeń i objawień. W drodze. Na pustyni. W świetle i ciemności. Widzenie tego, co jest, a nie podróbek i zaćmień. Słuchanie i patrzenie.

W wędrówce do ziemi mlekiem i miodem płynącej.

Nad brzegiem morza. W ferworze zmian i przekształceń, w łasce przemiany, w świecie, który wydawał się zatrzaśniętą pułapką.

Z nadzieją i nowymi marzeniami, naprzód!

W czasie nawrócenia, w walce.

Naprzeciw kłamstw, ze słowami ich bożków w sobie, zaplątani, ślepi, głusi i unieruchomieni.

Zerwać z tym i odrzucić! W jednym, drugim i trzecim błysku nowej nadziei. Nie w śmierci, ale w chwili narodzin, nie na końcu, ale na początku, przed bezkresem otwartej przestrzeni i poza czasem, którego tu doświadczamy.

Idźcie!

Karmieni i nakarmieni. Ożywieni do drogi. Wzmocnieni w ciele i w duchu.

Wyśmiewani, wyszydzani, wykreślani i spychani na margines. W świetle.

Dotykani przez Niego lub Jego dotykający.

Działający przez Słowo i słowa, które do Niego należą. Odnawiając się, obmywając i ożywiając. Jak w miłości. W miłości.

Słowa ich bożków to głos zła, także w nas.

Trzeba pragnąć widzieć rzeczywistość w jej pełni i zobaczyć ją.

I wiedzieć, że zmiana jest możliwa, tak jak była i jest nadzieja, i były i są marzenia, spełnione i do spełnienia.

Odczuwając, jak intensywny może być czas.

A gdy potrzebna jest walka, stanąć do niej, przeciw ich kłamstwom.

Nie ślepy, głuchy, niemy i unieruchomiony w kozim rogu, ale widzący, słyszący, mówiący i w drodze.

Nie w regresie, ale w rozwoju, nie na końcu, ale na początku.

Nie sam, gdy stoisz na rozdrożach, doświadczasz pokus, kręcisz się wśród sprzeczności i wciągany jesteś w zło.

Przekraczaj siebie, krąż na granicach, idź nad przepaścią, na krawędzi, otwarty, w dążeniu na szczyt.

Walka, którą toczy, uświadamia, kto jest wrogiem a kto sprzymierzeńcem.

Hebrajskie *ha-kodesz*, oddzielony, inny od reszty. I pośród nich, nierozerwalnie z nimi złączony.

Dar z góry. I dary, które płyną z dołu.

Jest tylko On. I to, co do Niego prowadzi.

Ich mądrość. I nasza mądrość.

To, co mówi On. I to, co powtarza tamten, strażnik miejsca.

Słuchanie tego, co mówi. I stawanie się strażnikiem miejsca.

Dwa światy, na zewnątrz i w nas, głowach i sercach, w duchu i sumieniu.

Los jednych i drugich. I nasz los.

Być nowym i napełniać się, duchem i materią.

Najpierw uszy, potem język i otworzenie się, bez którego nie ma nic.

Słyszą, a są głusi. Mówią, a przecież są niemi. Otwierają się, a są zamknięci.

Wierzyć, to pragnąć i tęsknić.

Nowe życie. Z Nim i w Nim.

W tym krótkim czasie, jaki jest, najmniej z niego korzystając.

Wiedząc, że największa rzeczywistość jest w sercu.

To, co jest tu i teraz, w związku z tym, co będzie.

W przenikaniu, poznawaniu i doświadczaniu.

Z wszystkimi. Dla wszystkich. Wszystko.

Jeżeli masz w sobie ufność, to masz moc.

Sieć paradoksów i w niej tajemnica.

Marzenia, plany, bez uczynków są mgłą. Żywe i martwe, martwe i żywe, w przenikaniu.

Mówi prawdę i upada. I ktoś go podnosi.

Napełnia go i kieruje.

Nie sam swoją mocą broni swojej sprawy.

Krzyżuje sam siebie, ale przecież nie sam siebie ratuje.

W zjednoczeniu i utożsamieniu.

Nie-ja i ja.

Nie tylko z tym, który jest na pierwszym planie, ale i z tym, który go prowadzi.

Nie w ukryciu, ale wychodząc na jaw, dopiero wtedy, w tym związku.

Bez tego nie dzieje się nic i w utracie tego, co się miało.

W mądrości, bez której nie ma żadnej innej mądrości.

Gaśnie, zapala się, gaśnie. I znowu zapala.

Ale i gaśnie, zapala się, gaśnie. I znowu się zapala.

W tym kołowrocie, przekazywanie innym.

W wysiłku mówienia i niemożności wyrażenia wszystkiego, co się chce.

Tak jak nie widzi się i nie słyszy wszystkiego. I w chwilach widzeń, widząc i słysząc wszystko.

W wirze tego, co było, jest i będzie, stanie się z powrotem.

W kruchości, znikomości i ulotności. I w mocy.

Licząc dni, sycąc się światłem i radując wsparciem.

W dziękczynieniu, w działaniu i znowu w dziękczynieniu.

W upływającym czasie i w tym, co się wydarza.

On i nie on. Ja i nie ja. Za kogo uważany?

I jak to, co mówi, ma się do rzeczywistości i wieczności?

Proch, ziemia, duch i Bóg.

To, co zakryte i to, co odkryte.

Wzięte i przekazane. W smutku i w uniesieniu. W rozpaczy i w nadziei.

Mając wszystko, co potrzebne.

W pułapce i poza nią.

W zasięgu.

Dar i dar z siebie. Człowiek zewnętrzny i człowiek wewnętrzny. Biorący, przyjmujący i oddający. Zakorzeniający się i gruntujący. Zjednoczony. Pod osłoną.

Już nie obcy i będący z zewnątrz, w jednym, drugim i trzecim, ale zadomowiony.

Zespalający jedno i drugie, wznoszący we wspólnym budowaniu.

W słowach, w czynach i w duchu.

Dając świadectwo.

Wybranie, błądzenie, uzdrowienie i rozwój.

Tym bardziej z sobą, tym bliżej rzeczywistości, gdy jesteś z nimi i z Nim.

Rozróżniając to, co żywe i to, co jest martwe.

W tym samym dążeniu. Zespoleni w jedno. W trosce o jedność.

W krainie słów, źródło światła, droga.

I przeciwnicy, sieją kłamstwo i fałsz.

Zyski, straty i rzeczywiste zyski.

Naśladowcy, wpatrujący się we wzór.

W dążeniach przyziemnych i podniebnych. Widząc wzór prawdziwy i wzory fałszywe.

Wspomagany o świcie. Współdziałający i uobecniający się.

Uczący się, przez podobieństwo.

Działający z nim, nim, w nim i przez niego.

Spełniając się i dokonując.

Z imieniem na ustach, żywy, nie umarły.

Ani zimny, ani gorący, tracący to i znowu gorący lub zimny.

Napełniony połykanymi książkami. Coraz świadomiej odrzucając trujące i zabójcze.

Słodycz słów i gorycz pisania.

Radość, która jest największa.

Zaglądanie do Czeluści i ruch na obłokach.

Dzieło i jego koniec, zwieńczenie.

Cel mniejszy i cel wielki. W tym dążeniu: ja-on, życie-tworzenie, ja-On.

Klucz do piekła. I klucz do życia.

Zobaczone. Usłyszane i przyjęte.

Podobieństwa nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz, w środku.

Obecność działających słów, które przemieniają.

Przyjmowanie *dabar*.

Na zewnątrz.

Przedmurza i mury. Wieże, baszty i bramy.

Otwarte. Mocno trzymające się zawory.

Zbudowane, w ściśle określonej przestrzeni.

On jest w środku, doświadczana miłość i bliskość.

Przyjęty w siebie i mogący tam działać, według swoich myśli.

Już nie odstąpi, widziany i słyszany.

Wskazuje drogę i idzie z tobą.

Gdy błądzisz, wyprowadza na prostą.

Nie wyobrażony, ale realny, jak nikt inny.

Zawsze już na pierwszym miejscu. Najwyżej i najbliżej. Nie do rozdzielenia.

Wspominany, pamiętany i obecny.

W każdej sytuacji i każdej formie.

We współdziałaniu, w dobrym i złym, w śnie i na jawie.

W trudzie, dźwigając ciężar i doświadczając odpoczynku, przerwy i umocnienia.

W sobie. I wokół. Także w czekaniu. Każdy może to odczuć i podjąć.

On pouczy i pokieruje. Będzie z tobą na twojej drodze. Nie jako widz, czy obserwator, ale uczestnik, przyjaciel, brat.

Razem, umocnieni i ogarniający całość.

Jego Słowa potwierdzają czyny. Nie ma już innej możliwości.

Wiedząc, czym jest pasja. Doświadczając jej sobą, na swoją miarę.

Wyrzekając się siebie. I będąc jak oni i on.

W drodze do celu.

Wtedy zmienia się tak wiele i zmienia się wszystko.

Gdy to jest. W środku. I na zewnątrz.

Takie są możliwości. I można z nich korzystać albo nie.

Nie ma przymusu. Wciąga, przenika do środka i działa, tak jak miłość.

Staje się pieśnią, radością i mocą.

On jest w środku.

„Widzę go, lecz jeszcze nie teraz, dostrzegam go, ale nie z bliska".

Drogi i ścieżki. Proste, kręte i zawiłe. Do celu i nie do celu. Do prawdy i nie do prawdy. Do dobra i nie do dobra. Do światła i nie do światła.

Istota tych działań i zadziwiający sposób.

Imię, które nadaje tożsamość.

Nie zwleka, idzie. I dociera.

To, co odrzucił, staje się wybawieniem.

Był niemy. I zaczął mówić.

Wie, że to nie dzięki sobie.

I pewność go nie opuszcza.

To nie jego i jego inicjatywa, nie jego i jego moc i działanie.

Z takiej bliskości. Bezpośrednio. Ze środka.

Słowa i obrazy, w toku, splecione z sobą.

Na kształt i podobieństwo, uzupełniające.

Hen / *hanan*, przyjęta, wpuszczona do środka.

Nie używana, ale uobecniona w sobie. Nie do rozdzielenia. Nie do usunięcia.

Jak życie.

Działanie Ducha. Wewnątrz. W wolności. I moje z Nim działanie.

W jednej i tej samej Osobie, w człowieczeństwie, w złączeniu, z siłą i świadomością.

Dobrany, dobrze oddany, dokładny i dopasowany; dosłowny, dostosowany, identyczny; jednogłośny, naturalny, niepodrobiony; precyzyjny, przykrojony, przystawalny; ścisły, wierny, z krwi i kości; zgodny, zgrany, zharmonizowany, zwarty.

Odblokowany. Wyzwolony. Z podniesionym rogiem. I z wiatrem w żaglach.

Z nowym, które jest kontynuacją. Z siłą i świadomością jedności.

Siedząc i patrząc na drzwi.

W swoim wnętrzu.

W ciele i w duchu.

Nie zmieszany, ale połączony.

Głos.

„Zabrzmijcie radosnym śpiewem, wszystkie ruiny Jeruzalem!"

Patrz. Widzisz?

Tak jest. Od początku. W jego środku. Promieniujące. Wśród obłoków i ciężkich chmur.

Działanie. Wspólna droga, bliskość.

To inny świat!

Bycie Nim. W powijakach. Wydobywanie się z nich. Dzięki Niemu. Tak przygotowany i wyposażony.

Wyprowadzony i prowadzony. Z Nim w środku.

Nie tylko pociesza, ale i umacnia.

Samuel, *szema-El*: Bóg usłyszał.

Przebywanie (*meno*) w sobie nawzajem.

Inspiracje i natchnienia. Doświadczane i przekazywane.

Siła powtórzeń, pewność, przełożenie na siebie, wewnątrz, i działanie.

Ofiara i ofiarnik. Bliskość, oddanie i przemiana.

W kontrze do antychrysta. Od etapu do etapu, na finiszu.

Przyjęcie, prowadzenie, poznawanie i doświadczanie. Z pomocnikami. Do mety.

Układając nową pieśń. Przez Słowo. W Duchu. Przez wiele słów, i z różnymi duchami. W jedną stronę. W mocy.

Życie i światłość. W rozwoju i miłości. Spełnianie się. W przyjęciu.

Kim jesteś? Czego szukasz?

Światło, czyste wejrzenie, przenikanie.

Stawać się jak on, naśladować go.

A On nas wesprze: z miłości, współczucia, miłosierdzia i litości.

Jeżeli nie zasługujemy na nie, to tak, żebyśmy na nie zasłużyli.

Mówiąc, jak było i jak jest.

Z ciemności, do prawdziwego światła.

Zyskując siły na pustkowiu.
W modlitwie.
Odrodzony i przygotowujący drogę.
Na równinach, w dolinach i w górach.
Wśród słów, których jest bez liku. W wietrze, nad wodą i pod chmurami.
W harmonii i w jedności.
Odblask i odbicie.
Idąc, przechodząc i idąc dalej.
W przylgnięciu.
Już w wieczności, w teraźniejszości i wieczności.
We krwi i w ciele.
W dzień, z nastaniem wieczora, w nocy i nad ranem.
Złe i dobre nowiny.
Złe i dobre duchy.
Konglomerat.
W komorze i poza nią, daleko.
Wyprowadzony.
W swojej i nie w swojej krainie.
W głębi, na powierzchni i w górze.
Uwolniony od śmiertelności, ale nie od śmierci fizycznej.
W starym i w nowym bukłaku.
Stary i nowy.
W wewnętrznym odniesieniu. W jeszcze większym zjednoczeniu.
Na pamiątkę.
Tu i teraz.
Naprzód!
Dzięki miłosierdziu i łasce, litości i miłości. Nie według Prawa, ale według mocy.
Według słowa.
W posłuszeństwie.
Pośrednik lepszego przymierza, opartego na lepszych obietnicach.
Powracający wygnaniec.
Z Nim.
Ten, który zobaczył blask i usłyszał głos, który do niego mówił.

Idący na Prostą i pytający.
W świetle słów. Nie potępiony.
Zdolny, żeby słuchać i mogący rozumieć.
Z mocną ostoją.
W ciele i w duchu.
Naśladujący.
Przez Niego.
Kształtowany.
W swojej przestrzeni.
Będący razem.
Na drodze, na gruncie skalistym, wśród cierni i na ziemi żyznej.
Starający się mierzyć innym tak, jak mierzy sobie.
Mający to, co ma.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (76)

Kocie łby

Nigdy wcześniej takiej drogi nie widziałem. Ani w Sitnie, ani w Tomaszowie, ani nawet w Zamościu. Środek jezdni lekko się wznosił, a pobocza opadały, dotykając ścieżek, ogrodzeń i przydrożnych zarośli. W pobliżu domu, w którym zamieszkaliśmy, ulicę Listopadową przecinała Polna. Zgodnie ze swą nazwą, Polna nie była utwardzona. Prowadziły przez nią dwie pyliste lub błotniste w czasie mokrych dni koleiny. Listopadowa to było co innego. Gdy kocie łby zobaczyłem pierwszy raz, zrobiły na mnie duże wrażenie. Ale nie wiedziałem, co o nich myśleć. Nie dziesiątki, nie setki, a tysiące czarnych, obłych, wyślizganych kamieni, od Lwowskiej po Hrubieszowską. Ile tysięcy? Ta obfitość mnie przerastała, budziła niepokój, ale i zaciekawienie. Mój stosunek do kocich łbów nie był obojętny; od czasu, gdy się z nimi zetknąłem, zyskały bowiem status niezwykłości.

Kto mógł wiedzieć, ile ich jest? Dziewięciolatek, już drugoklasista, byłem pewny, że nikt tego nie wie. Przeskakiwałem je, kroczyłem po nich, trącałem czubkiem buta. Czyli traktowałem je nieczule, może okrutnie; w nazwie kocie łby słyszałem ledwie skrywany walor dosłowności. Do szkoły szedłem dziesięć minut, wszystko po drodze było inne niż tomaszowskie, ciekawsze, bo nowe. Dach małej komórki naprzeciwko browaru obsiadły gołębie, chyba na nie patrzyłem najbardziej chciwie, ale gołębie chodziły po dachu i podfruwały, dlatego nie mogłem się ich doliczyć. Reprezentowały różne rasy i były różnie umaszczone. Co innego kury starszej pani, która mieszkała obok: było ich pięć. A jak starsza pani miała na nazwisko? Pamiętam jej twarz i sylwetkę, ale nazwiska nie poznałem. Gdy z Listopadowej skręciłem w lewo, w Lwowską, liczyłem betonowe płyty chodnika. Ledwie rozpocząłem liczenie, a już mi się ono znudziło. Jakie miejsce miało przypaść w rachubie płytom pękniętym? Na poddaszu wschodniej ściany browaru – patrzyłem

na nią, idąc chodnikiem, a szkoła była tuż tuż, tylko minąć Młyńską – znajdował się duży owalny otwór. W nim o każdej porze dnia pojawiały się półdzikie gołębie, bliscy krewni gołębi, które przed chwilą liczyłem na dachu komórki. Zajęły strych browaru, wolne i niczyje, wylatywały z otworu w ścianie, przysiadały na skraju i na szczycie blaszanego dachu, wracały na strych, pojedynczo i po kilka, wreszcie zrywały się całym stadem i leciały na okoliczne pola, gdzie szukały pożywienia. Te również liczyłem, ale było to trudniejsze niż liczenie gołębi na dachu komórki. Bo półdzikie gołębie ze strychu browaru miały podobne, ciemnoszare umaszczenie, co sprawiało, że łatwo się myliłem. Szacunkowa rachuba mówiła, że jest ich około czterdziestu. Mój maksymalizm, żeby wiedzieć dokładnie, przegrywał z obiektywną niemożnością.

Gołębie, kury, płyty chodnika… Ale też furmanki, które ciągnęły na rynek, oznakowane numerami linii autobusy miejskie, stopnie schodów ratusza i schodów w szkole, sztachety płotu Oberdów, koty pana Wolińskiego, liczba uczniów w klasie A i klasie B, kolorowe szkiełka witraży u Świętego Krzyża. Świat pozwalał się liczyć, może i domagał się, żeby go policzyć. Świat jako suma składających się na niego, policzalnych elementów, a wszystkie jawiły się jako ważne. Zadanie do wykonania. Sam o tym nie mówił i w jego imieniu nie zrobił tego nikt inny. Ale ja wiedziałem swoje. Rachowałem, co się da.

Zbliżał się koniec roku szkolnego, oślepiało wysoko zawieszone słońce, w liściach pulsował chlorofil, powietrze dygotało od ptasich głosów, a miasto po swojemu szumiało. Ta chwila wydawała się najlepsza. Pochyliłem się nad kocimi łbami u zbiegu Listopadowej z Lwowską, były nagrzane i pokrywał je pył uliczny. Z początku szło łatwo, ale gdy doszedłem do stu pojawiły się wątpliwości: każdy inny, a jednak jeden podobny był do drugiego. W ułożonym w głowie rejestrze wszystko musiało się zgadzać, jak, nie przymierzając, w dzienniku klasowym. Zacząłem notować na ostatniej stronie zeszytu do polskiego, ciągi cyfr układały się w rzędach i kolumnach. Napełniało mnie poczucie spełnienia, choć praca szła wolno i jeszcze nie zbliżyłem się do południowego krańca browaru. Dokąd mnie rachowanie zaprowadzi? Setki mnożyły się, wkrótce miały zamienić się w tysiące. Odrzucałem podstępną myśl, że podjąłem się zadania niewykonalnego – ten, który mi ją

podsuwał, musiał nienawidzić świata. A świat jedynie oczekiwał, żeby go nazwać najróżniejszymi imionami, policzyć mieszkańców, budowle, drzewa, przedmioty, żeby nic się nie zagubiło i żeby rachunek się zgadzał…

Usłyszałem klakson, pan Płaza, taksówkarz, garbatą warszawą skręcił z Lwowskiej. Uskoczyłem na pobocze z liczbą siedemset czterdzieści trzy. Ale czy na pewno z tą liczbą? Warszawa pojechała przed siebie, zostawiła wzniesiony pył i zapach spalin. Nie miałem innego wyjścia, trzeba było zacząć od początku.

9–10 XII 2023

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (22)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Fontes ipsi sítiunt, nawet źródłom doskwiera pragnienie, powiada Cyceron. Okazuje się to jednak w interpretacji dosyć problematyczne, nazbyt wieloznaczne, ogólne. Inaczej już się ma sprawa z inną maksymą z tego samego zbioru otwartego: *fortuna favet fátuis* – że los sprzyja głupcom, ze zrozumieniem czego absolutnie nie ma żadnych problemów, może poza jednym, że trzeba się nauczyć z tym żyć, co nie należy do zadań łatwych i przyjemnych. Ale czy Fulvia, żona Antoniusza, przekuła mistrzowi słowa język szpilką? Jakoś trudno mi to sobie przedstawić; ale kto to wie, może tak było w istocie? Dlaczego nie? By uwierzyć, że wszystko możliwe, albo że się już w jakiejś odmianie, ale jednak: zdążyło powtórzyć, wystarczy spojrzeć na solidnie udokumentowane gry, zabawy i hulanki pomniejszych pomocników Anioła Śmierci w Auschwitz, w tym bijącym głośno i miarowo sercu niewinnej Europy. Na to rozchichotane leżakowanie, wybornie strojący akordeon, te flirty, kaczuszki, westchnienia, podszczypywania, kiecki, koniaczki, ochy, olchy (*nach dem Essen das Rauchen bitte nicht vergessen*) i achy, piwa cieniste, sporządzone na bazie najczystszych wód ze źródła, które również, jakżeby inaczej!, umierało z pragnienia. Jakaż to zgodna familia! Karl Höcker, SS-Obersturmführer, właściciel albumu, który się po latach odnalazł, widnieje, czysta twarz przy czystej twarzy, na karcie tytułowej z najserdeczniejszym (*Bruderherz*) przyjacielem, ostatnim komendantem placówki, Richardem Baerem. I co? I okazuje się, że to jeden z najbardziej prawdziwych albumów fotograficznych, na jakie udało mi się natrafić! Piękna pora, od połowy maja do końca września, rok pański 1944. Jakie piękne dziewczęta, po jednej i drugiej stronie drutu! Trudno wybrać między dopiero przybyłymi kobietami z Pesztu, a koleżankami ze Służby Łączności. (Spaliło się wtedy w piecu jakieś trzysta trzydzieści tysięcy). Ciekawe, jak tam sobie radzono w tym doborowym towarzystwie ze smrodem palonych imion, kiedy nie było wiatru na

zamówienie? Inge Brigitt Höss może się spodobać i teraz, serio, całkiem niezła wyrosła z niej laska. „Hans, pójdziemy *nach der Arbeit* do lasu?" „Warum nicht?"… Jedną fotografię czuć w całej historii fotografii bardzo wyraźnie – napalmem; tę, na której mała Kim biegnie przed siebie na oślep, naga, poparzona ogniem, jaki spadł na jej ciało z nieba, w obronie najwyższych wartości. Jednak tutaj, na kartach tego prywatnego albumu z Auschwitz, daje się wyczuć równie wyraźnie jeszcze coś innego – to, niewątpliwie, przewaga, jaką mieli Niemcy w domenie technologii, gdy utrwalali na filmach, wkręcanych we wnętrza kultowych dzisiaj dalmierzy Leica, klatka po klatce, infernalnie niewinne sceny z nagiego życia wzięte. Widać, wynaleźć fotografię, która utrwali wyłącznie zapach, było mało. *Fromm sind wir Liebende, still verehren wir alle Dämonen*. Jak przełożyć tę frazę z wiecznych *Elegii rzymskich* na podludzki? „Pobożnymi jesteśmy kochankami, czcimy wszystkie demony po cichu"?

„Próba przekształcenia eutanazji w pojęcie prawno-polityczne (życie niewarte przeżycia) dotyka podstawowej kwestii. Jeśli suwerenowi – o tyle, o ile podejmuje decyzję o stanie wyjątkowym – zawsze przynależy władza decydowania o tym, jakie życie można zabić, nie popełniając zabójstwa, to w epoce biopolityki władza ta stara się wyzwolić ze stanu wyjątkowego po to, by przekształcić się we władzę decydowania o punkcie, w którym życie przestaje być politycznie znaczące. Problem wartości życia pojawia się nie tylko – jak to sugeruje Schmitt – kiedy staje się ono najwyższą wartością polityczną. Chodzi raczej o to, że decyzja ta dotyka ostatecznej natury suwerennej władzy. W nowoczesnej biopolityce suwerenem jest ten, kto decyduje o wartości i braku wartości życia jako takiego. Życie, które poprzez deklaracje praw zostało obdarzone samo w sobie zasadą suwerenności, samo staje się teraz miejscem podjęcia suwerennej decyzji. Führer reprezentuje samo życie, ponieważ decyduje o swojej biopolitycznej naturze. Z tej racji jego słowo – zgodnie z teorią, która była szczególnie bliska nazistowskim prawnikom i do której jeszcze powrócimy – jest od razu prawem. Z tej też racji problem eutanazji jest problemem wybitnie nowoczesnym, którego nazistowskie Niemcy, jako pierwsze państwo ekstremalnie biopolityczne, nie mogły nie postawić; również z tego samego powodu, pewne pozorne szaleństwa i sprzeczności *Euthanasie-Programm* tłumaczą się wyłącznie w biopolitycznym kontekście.

Lekarze Karl Brandt i Viktor Brack, którzy jako odpowiedzialni za program zostali w Norymberdze skazani na śmierć, po wyroku zadeklarowali, że nie czuli się winni, bowiem według nich problem eutanazji jeszcze powróci – precyzja tej przepowiedni była oczywista. Bardziej interesujące jest jednak pytanie, dlaczego – kiedy o programie tym biskupi poinformowali opinię publiczną – nie było protestów ze strony organizacji lekarskich? Nie tylko program eutanazji był sprzeczny z ustępem przysięgi Hipokratesa mówiącym »nikomu, nawet na żądanie, nie dam śmiercionośnej trucizny«, ale z racji, że nie został wydany żaden dekret, który by zapewniał niekaralność, lekarze uczestniczący w tym programie mogli znaleźć się w delikatnej sytuacji prawnej (ta ostatnia okoliczność wywoływała rzeczywiście proteksty prawników i adwokatów). Faktem jest, że narodowosocjalistyczna Rzesza wyznacza moment, w którym integracja medycyny i polityki – stanowiąca jedną z istotnych cech nowoczesnej biopolityki – zaczyna w pełni się realizować. Wynikiem tego jest fakt, że suwerenna decyzja o nagim życiu przesuwa się z obszaru motywacji i zagadnień ściśle politycznych na bardziej niejasny teren, na którym lekarz i władca zdają się wymieniać rolami".

Giorgio Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, tłumaczenie Mateusz Salwa

„Obietnice, których spełnienie przez tysiąclecia się odsuwa, pozostają obietnicami niedotrzymanymi, niezrealizowanymi. Pozostałyby takie, nawet gdyby nagle spełniły się w jednej chwili. Niosą bowiem w sobie, bez względu na to, czy chcemy o tym pamiętać, ogromny ciężar rozczarowania i zmęczenia. Jak powiedział Kafka, Mesjasz nadejdzie »dzień po swoim przyjściu«, gdy nikt nie będzie na niego czekał. Po nieskończenie długich bólach porodowych, jak mówi o tym hebrajski tekst Izajasza, »porodziliśmy wiatr« (Iz 26, 18). Jest to oczywiście przegrana wierzących, przegrana wiary, ale nade wszystko jest to przegrana Boga, który na stronach Biblii objawia się jako Ten, który daje życie i zbawia. Porażka zbawienia jest porażką samego Boga.

Historia Boga, od pierwszych stron Biblii, jest historią klęsk. Kabalista Icchak Luria (XVI wiek) uważał, że stworzenie świata nastąpiło na skutek *cimcum*, »wycofania« się Boga. Bóg, będąc nieskończoną i doskonałą całością, nie pozostawiał miejsca na nic innego i jeżeliby się nie wycofał, nie byłoby miejsca na cokolwiek innego

poza Nim samym. Kabalistyczne pojęcie wycofania czy skurczenia się Boga nie mówi o skoncentrowaniu się Jego mocy w jednym miejscu, na przykład w jerozolimskiej świątyni, lecz o jego »wycofaniu« się z jakiejś przestrzeni: dane miejsce istnieje, ponieważ Bóg się wycofał. Scholem mówi, że *cimcum* to nie tylko uczynienie przestrzeni dla rzeczy stworzonych, utworzenie punktu, w którym nie ma Boga, aby mogła zaistnieć tam rzeczywistość świata, lecz dosłownie samoograniczenie się Boga, które, według odważnej myśli kabalistów, było modelem wygnańczej sytuacji narodu żydowskiego. Jeżeli nieskończony Bóg nie skurczyłby się w sobie, nie mogłaby zaistnieć poza nim jakaś inna rzeczywistość i jedynie taka sytuacja pozwala, by rzeczy skończone nie zatraciły ponownie swej tożsamości, zatracając się w Bogu.

Nawet bez uciekania się do mrocznej kabalistycznej koncepcji *cimcum*, akt stworzenia od początku zakłada istnienie czegoś lub kogoś, co odróżniając się od Boga, nie posiada tej samej co On pełni i sprawiedliwości. Pismo mówi o prarodzicach przebywających w raju jako o wolnych w posłuszeństwie Bożemu przykazaniu. Ponieważ stworzenie różni się od Boga, zakłada to możliwość sprzeciwienia się Jego woli, możliwość winy i śmierci. Zaraz po buncie Adama i Ewy Biblia opowiada o zabiciu Abla przez jego brata Kaina. Tą drogą na świat weszła śmierć, której Bóg »nie uczynił« (Mdr 1, 13), ale którą, stwarzając świat, umożliwił. Reakcją, którą Pismo przypisuje Bogu w obliczu nieposłuszeństwa prarodziców, jest strach (Rdz 3, 22), ten sam, który pojawił się u Niego w obliczu budowniczych wieży Babel (Rdz 11, 6)".

Sergio Quinzio, *Przegrana Boga*, tłumaczenie Maciej Bielawski

A jeśli, wracając do Auschwitz, Maria Mandel nie uniknie przebaczenia?

ANDRZEJ ZAWADA

Dziennik lektur (4)

wrzesień–grudzień 2022, fragmenty

22 września

W zakończeniu znakomitej opowieści Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej *Jane Austin i jej racjonalne romanse* (2014), jest scena, w której autorkę klęczącą przed płytą nagrobną pisarki w katedrze w Winchester ktoś niespodziewanie uderza silnie w plecy. I szybko się oddala, wołając gromko: „Lady, never do it again!".

Ja też zostałem uderzony symboliczną wymową tego opisu, esencjonalną metaforą fundamentalnej różnicy pomiędzy katolicyzmem a protestantyzmem: my na kolanach w poczuciu winy, oni rozmawiają ze Stwórcą, stojąc jak żołnierze składający meldunek. Ta różnica chyba nie zniknie – definiuje dwie różne cywilizacje i przesądza o odmiennej przyszłości.

Wcześniej, w rozdziale omawiającym *Emmę*, Anna Przedpełska-Trzeciakowska pisze o prawdziwie patriotycznym przesłaniu literatury:

„Jane Austin na pewno kochała swój kraj, lepiej nawet powiedzieć: była do niego bardzo przywiązana, ale ten kraj nie był organizacją polityczną, nie był własnością regenta […], ten kraj to krajobraz wokół miasteczek takich jak Basingstoke czy Alton, farmy i łąki gromadzkie, liczne dwory i dworki ziemiańskich rodzin, wrzosowiska wokół Lyme, a nawet tłoczne ulice Bath. To była jej sercem i piórem obejmowana ojczyzna. Tej ojczyzny była patriotką i ją pragnęła z całego serca zachować – więc ją opisywała. Ale robiła to niejako »przy okazji« […] opisywała na marginesie kolejnej wspaniałej bajki, jaką chciała, jaką musiała nam opowiedzieć, bo tego wymagała jej pisarska powinność".

Znakomita tłumaczka, z pewnością jedna z najlepszych, opisując biografię i twórczość Jane Austin, dyskretnie przypomniała, w czym rzeczywiście przejawia się patriotyzm literatury – jeżeli ktoś upierałby się przy łatwo widocznej obecno-

ści „wątku patriotycznego". A takie uwagi zgłaszano również, choć nie za często, wobec książek Jane Austen, wszak na przykład *Duma i uprzedzenie* dzieje się w latach, gdy Anglicy walczą z Francuzami na lądzie i na morzu.

W tłumaczeniach angielskiej klasyki powieściowej, wspaniale spolszczonych przez Annę Przedpełską-Trzeciakowską, patriotyczny wątek współczesnej pracy u podstaw też można zobaczyć. Podobnie jak w biografii tłumaczki i eseistki.

26 września

Zdarza mi się napisać tu o innych dziełach niż literackie oraz o ich autorach. W szerszym sensie wszystko jest „lekturą", wszystko można „czytać" jako wyraz egzystencji, jako jednorazowe realizacje sensów i wartości kultury. Jako symptomy określonej cywilizacji, informację o rzeczywistości i jako komunikaty o charakterze emocjonalnym. Może to optyka zanadto „kulturoznawcza", można ją nawet posądzić o antropologizm. Jednak to tylko kwestia języka, jakiego tu używam. Na co dzień każdy w ten sposób „czyta" wszystko, co widzi i słyszy, czego doświadcza. To, co tu usiłuję nazwać w wielkim skrócie, jest naszą powszechną i nieustającą praktyką – tak właśnie dokonuje się proces poznania.

3 października

Czterdzieści jeden lat temu, w czerwcu 1981 roku na sesji poetów i krytyków w Łomży, prezes Polskiego PEN Clubu Artur Międzyrzecki powiedział: „są chwile, kiedy całym sobą chciałoby się pocieszyć jakoś swoich współczesnych. Okazać im podziw albo współczucie – i zaświadczyć w ten sposób swoją poetycką obecność. Bo Rimbaud – Rimbaudem, Rilke – Rilkem, orfizm – orfizmem, trzeba to wszystko, owszem, znać, bo z ignorancji nic jeszcze dobrego nie wynikło – ale przecież nasza dzisiejszość jest naszą dzisiejszością, ludzie w ogonkach są naszą dotykalną realnością, spięcia, o których piszą – albo i nie – codzienne gazety, należą do naszego losu. Uczestniczymy w nim, na miarę swoich sił, jako ludzie" („Twórczość" 1981, nr 9).

Słuchał tego wyznania między innymi Czesław Miłosz, wówczas laureat Nagrody Nobla sprzed pół roku, odwiedzający kraj po przeszło trzydziestu latach emigracji.

Myślę o Arturze Międzyrzeckim jako o dobrym człowieku, wyrozumiałym i pomocnym, który zajmował się między innymi pisaniem wierszy. Wracam do nich,

jeszcze raz czytam *Rzekę czarownic*, a w niej *Inferno Track*, najstarszy umieszczony w tym przekrojowym zbiorze wiersz zanotowany przez walczącego pod Monte Cassino dwudziestoletniego żołnierza Drugiego Korpusu. Ten konsekwentnie we wszystkich wcześniejszych tego wyborach poetyckich przedrukowywany wiersz nabrał uniwersalnego znaczenia: w Inferno Track, drodze do klasztoru broniącego się na szczycie, można widzieć ironiczną metonimię egzystencji.

Po tym wierszu nastąpiła trzynastoletnia wyrwa. Kolejny tekst ma datę 1957. Poeta po wojnie zatrzymał się na Zachodzie, studiował na uniwersytetach Bolonii i Paryża. Nie znamy wierszy z tamtych lat. Do Polski wrócił Artur Międzyrzecki po studiach, w roku 1950, w najgorszym po temu czasie. Przywiózł znajomość języka włoskiego, francuskiego, angielskiego, znajomość europejskich literatur i kultury śródziemnomorskiej, cały bagaż wiedzy wtedy uznawanej oficjalnie na zbędną i szkodliwą. Będzie ją wykorzystywał i upowszechniał przez wiele lat późniejszych, jako tłumacz przyswajający naszemu językowi nowoczesną lirykę amerykańską i angielską, francuską, włoską, hiszpańską, rosyjską i węgierską. W Polsce zaczynał się właśnie socrealizm, mogło się zdawać, że Majakowski będzie przez długie i straszne lata wyznaczać obowiązujący rytm wiersza. Artur Międzyrzecki za swój pierwszy tom poetycki uważał *Noc darowaną* z 1960 roku.

4 października

Sumaryczna *Rzeka czarownic* wyszła trzydzieści pięć lat później, na rok przed odejściem autora. Zbiór otrzymał tytuł wiersza napisanego w roku 1969. Wiersz ów, ironicznie wystylizowany na relację dawnego kronikarza, opisującego proces i kaźń kilku polskich kobiet pomówionych o czary, zaczyna się od spostrzeżenia:

Słońce każdego dnia jest nowe
Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki
Ale rzeka czarownic nie odpływa
Pławi się je w tej samej wodzie

Artur Międzyrzecki urodził się sto lat temu, 6 listopada 1922 roku. Rzekę, w której pławiono czarownice, widział z bliska. W roku 1968 przestał współredagować znakomity wtedy miesięcznik „Poezja" i utracił prowadzony od roku 1956 w ty-

godniku „Świat" felieton literacki *Ludzie i książki*. W tymże roku 1968 uznał za konieczne złożyć rezygnację z funkcji wiceprezesa Związku Literatów Polskich. Rzeka czarownic „stoi w miejscu, jej nurt jest martwy".

Rok 1968, istotna cezura w biografii poety, stał się też wyrazistą datą w jego twórczości. Dwie charakterystyczne i stałe cechy tej poezji, spojrzenie historiozoficzne i realistyczny zapis, osiągnęły w tym czasie wysoki stopień klarowności.

Wiersze pisane w ostatnich latach życia notują wycofywanie się historii z pojedynczej egzystencji. Właściwy Arturowi Międzyrzeckiemu dystans do świata i do siebie jednak nie zmalał. Nadal tworzyła go ironia z autoironią, choć ironia złagodniała i wyrozumiała akceptacja wyznaczyła główną tonację tych wierszy: elegijną.

Odcieleśnia się co było ciałem
Rozmyślają się myśli
Przejrzyścieją widma i miłośnie
Nawołują się głosem białym
(*Ze snu*)

Jednak ulubiony bohater literacki Międzyrzeckiego, Teofrast Sofa, D.W. pamiętał, że poezja choćby najbardziej osobista i przejrzysta, nie uwolni się od rzeczywistości:

– Poezja chce być czysta.
Ale wiersze nie chcą.

Zaś Artur Międzyrzecki upominał wprost: „Byłoby jednak roztropnie nie oddawać płaszcza Konrada do szatni publicznej ani też nie zostawiać go na ulicy […]. Już nazajutrz mógłby się bowiem pokazać w tym płaszczu – i to w telewizji – któryś z ministrów. I obwieścić wprowadzenie cenzury […]" („Gazeta Wyborcza" 1995, nr 89).

Tą samą wiedzą kierował się poeta jako długoletni prezes Polskiego PEN Clubu, dbając, by pisarze strzegli intelektualnej wolności, o czym świadczyły, obok twórczości, zbiorowe listy solidarności, oświadczenia, protesty. Niejednokrotnie skuteczne.

6 października

Wracam do powtórnej lektury czterech książek finałowych nagrody Angelus. To powieści, które napisali Kapka Kassabova, Jaroslav Rudiš, Zoltan M. Nagy i Edward Pasewicz. Spodziewam się, że końcowy pojedynek odbędzie się między powieścią Rudiša *Ostatnia podróż Wintenberga*, a esejem Kassabovej pod tytułem *W stronę Ochrydy*. Również powieść Edwarda Pasewicza *Pulverkopf* ma czwórkę gorących i wpływowych zwolenników; istotnie koncept jest ciekawy, rzecz z pewnością była pracochłonna. Jednak to postmodernistyczna „książka do pisania", czy bardziej „do czytania"? Z kolei Zoltan Mihaly Nagy (*Szatański pomiot*) podjął poważny temat, lecz poetyka nieco zawodzi.

W półfinale opowieść bałkańska, osobiste historie z grecko-macedońsko-albańskiego pogranicza historycznego i kulturowego, otrzymała siedem głosów, sto procent. Ciekawe, czy zwycięży. Powieść Rudiša poparło sześcioro jurorów. Jest metaforyczna i ironiczna, z pewnością bardziej literacka. Zadecyduje dyskusja. Ciekawostką jest to, że Kassabova napisała swą książkę po angielsku, a Rudiš zdecydował się pisać po niemiecku. Może coś nam to mówi o aktualnej tożsamości kulturowej? *Signum temporis*?

Powieść Jaroslava Rudiša zyskuje przy bliższym poznaniu, podobnie jak pan Darcy. Obawiam się jednak, że nie wszyscy docenią hrabalowską finezję, żart oraz historiozoficzną wymowę utworu czeskiego pisarza i statystycznie może zwyciężyć osobista i niezbyt literacka opowieść o splątanych losach bałkańskich, albo nowatorska powieść Pasewicza. *Ostatnia podróż Wintenberga* z pewnością nie reprezentuje Europy Środkowo-Wschodniej na poziomie dosłownej aktualności. To książka środkowoeuropejska, dzisiejsza opowieść o odchodzeniu idei Mitteleuropy.

16 października

Wczorajsze posiedzenie jury, pierwsze po serii covidowych, czyli zdalnych – wywróciło dotychczasową hierarchię. Książka Edwarda Pasewicza wyszła na prowadzenie. Osobista opowieść Kassabovej okazała się mniej fascynująca, Rudiša komplementowano za biegłość w sztuce, lecz uznano *Ostatnią podróż* za umiarkowanie oryginalną. Zaś robota Pasewicza, niewątpliwie czasochłonna i przemyślana, zachwyciła większość jurorów. Uznaję ten werdykt, jak każdy wynik rywalizacji. Poczytność to odrębna rzeczywistość.

Jaroslav Rudiš zwyciężył w plebiscycie czytelników. Wrocław obdarował go trzymiesięcznym pobytem i grafiką Przemysława Tyszkiewicza. Taka jest gratyfikacja nagrody publiczności.

14 listopada

Wiadomość o śmierci Jerzego Kronholda. Rocznik 1946, jak Stanisław Barańczak. Nowa Fala nie jest szczególnie długowieczna – Barańczak zmarł przedwcześnie, Zagajewski też nie zdążył się zestarzeć. Jerzego poznałem dopiero przed kilku laty, zapraszając go we wrześniu 2017 roku na spotkanie autorskie w cyklu „Salon Silesiusa". Był pełen wigoru, miał dobry czas intensywnego pisania. Podobały mi się jego nowe wiersze, zwłaszcza ze zbioru *Skok w dal*. Jerzy sprawiał wrażenie wciąż młodego, więc sądziłem, że się jeszcze spotkamy.

21 września 2017 roku notowałem między innymi: „Wieczór poetycki Kronholda udał się bardzo, rozmowa z publicznością rozwinęła się naturalnie; było sympatycznie. Jednak czułem dotyk jakiejś żałobnej podszewki. Prawie wszyscy 60+. I jeżeli nawet nie przegrani politycznie, to wykluczeni, spotkanie umarłej klasy".

Finowie nazywają listopad miesiącem umarłych, *marraskuu*.

22 grudnia

Słucham Arcangelo Corellego. Koncert numer osiem *Boże Narodzenie* z opus szóstego, cieszy mnie od dawna. Pierwszy raz usłyszałem tę muzykę w kinie bodaj w 1968 roku, oglądając znakomity film Witolda Leszczyńskiego *Żywot Mateusza*.

Obraz filmowy, jego poetycki nastrój, niewątpliwie nie tylko wzmocniony, ale współtworzony przez tę muzykę, zrobił na mnie wrażenie, wciąż je pamiętam, a było to w moich latach studenckich.

Dwukrotnie przeczytałem potem powieść Tarjei Vesaasa *Ptaki* (*Fuglane*), na podstawie której powstał *Żywot Mateusza*, a także inne przetłumaczone na polski książki tego pisarza, wśród nich *Nocne czuwanie*. To książka bardzo „skandynawska", zbudowana na silnych, wyrazistych emocjach, z odrobiną naturalizmu zrośniętego z melancholią i lirycznym niedopowiedzeniem, z oszczędną narracją. Pesymistyczna, lecz tym charakterystycznym dla Północy rodzajem pesymizmu, który dodaje sił i determinacji. Może ten film obudził we mnie tęsknotę do Skandynawii?

Ptaki przełożyła Beata Hłasko (1908–1975), tłumaczka z norweskiego, która, podobnie jak Anna Przedpełska-Trzeciakowska, była żołnierzem AK i walczyła w powstaniu warszawskim. Przełożyła kilkanaście powieści, między innymi Sigrid Undset, Very Henriksen, Petera Christena Asbjørnsena. Była drugą żoną Macieja Hłaski, ojca Marka…

W muzyce Arcangelo Corellego utrwalona jest ta sama wiedza, jaką ma w *Ptakach* głupi Mattis, wspaniale zagrany przez Franciszka Pieczkę, mądrość polegająca na pogodzeniu z życiem. Mądrość Corellego i Mattisa przejawia się w tym, że świadomość śmiertelności nie martwi człowieka, lecz przeciwnie – ożywia go. Uczy żyć taką pełnią, jaka jest możliwa w klatce biologicznych i społecznych ograniczeń.

Ile kosztuje was poezja?

Ani to hulanki, ani swawole, niech nas nie zwiedzie podchwytliwy tytuł. Wiersz o tej sygnaturze odnajdziemy na tylnej stronie okładki – to zapowiedź tonu tych liryków i ich złowieszczej tematyki. W istocie chodzi bowiem o wojnę, o konkretny czas, który wciąż trwa – od momentu inwazji Rosji na Ukrainę, 24 lutego 2022 roku (a wcześniej, jak pamiętamy, była aneksja Krymu przez Federację Rosyjską 20 lutego–26 marca 2014 roku). Jest to zatem zbiór na wskroś aktualny, zatrzymujący w tkance utworu poetyckiego grozę dni i nocy naszych sąsiadów, zaatakowanych przez obłąkańczy reżim zbrodniarza Putina. Opolski twórca żyje tym straszliwym wydarzeniem, problem wojny przenika tę książkę na wskroś. „Zwieść cię może ciągnący ulicami tłum" – śpiewa Turnau, a my za nim możemy tę frazę powtórzyć, charakteryzując tom Tomasza Różyckiego: „zwieść nas może urokliwy powab zdań autora *Kapitana X*", lekkość jego wersów i pociągający język.

Takich zbiorów się nie zapomina, takie książki czyta się zachłannie, takie tomy chce się opowiadać i ogłaszać światu, i wracać do tych niezapomnianych i niezwykłych wierszy, czekając na kolejne publikacje. Celne frazy, pomysłowe metafory, zadziwiające pointy, ale także charakterystyczne formy wierszy Różyckiego zapadają w pamięć i zostają.

Znajdziemy w tym tomie wielkie tematy: miłość, przyjaźń, ofiarność, poszukiwanie nadziei, przemijanie, śmierć, nienawiść, ból, smutek, żal i poczucie straty. Runął bowiem nasz świat, runęła nie tylko Ukraina, nie tylko Europa, ale zapadł się cały ziemski glob. Putin zmiażdżył jednym swoim rozkazem nasz świat, mozolnie budowany z ruin drugiej wojny światowej, a potem po paskudnym okresie PRL-u. Po roku 1989 witaliśmy z radością i ogniem w sercach nowy porządek śródziemnomorskiego zakątka tej planety, wspólnie rysowaliśmy pejzaż nowej Polski, cieszyliśmy się jak dzieci, witając rozświetlone sklepy i domy kultury, a nade wszystko – wzrastającą wolność. Oddychaliśmy nią, poznając jej smak i urok, tańczyliśmy swobodnie w piękniejącym krajobrazie, wyjmowaliśmy karty bankomatowe i ruszaliśmy w podróż po drogach tej serdecznej – i wreszcie naszej! – krainy. Aż do pamiętnego dnia katastrofy, po trzydziestu trzech latach arkadyjskiego wędrowania. W lutym 2022 roku wszystko się zmieniło, odezwała się zła krew. Europa, duchowa przystań, przylądek dobrej nadziei, nasz *orbis exterior*, została zaatakowana. I Tomasz Różycki daje teraz świadectwo – z pietyzmem notuje „protokół zniszczenia" (*Już czas*).

Tytułowe Hulanki i Swawole pojawiają się w wierszach jako nazwa restauracji, pubu czy baru (?), w każdym razie miejsca, gdzie spotykają się przyjaciele, znajomi, by rozmawiać i spędzić ze sobą czas. Nie wiem,

czy w Opolu lub gdzie indziej jest rzeczywiście takie lokum. Bywałem w tym mieście od 2009 roku, czasem dwa razy w roku, ale albo za słabo słuchałem, albo za mało się rozglądałem, bo Hulanek nie znalazłem. To świetna metafora naszego ziemskiego życia, codzienności i spotkań – jest złośliwa, ironiczna, zabawna i gorzka. Nie trzeba również pytać o znajomość aluzji do znanego wiersza Adama Mickiewicza.

Ale w liryku tytułowym pojawia się też autotematyczna nuta, doskonale nam znana z poezji Różyckiego. Tu przybiera taką postać:

> […] Lecz to były
> zwyczajne objawy obłędu, spowodo-
> wanego
> czytaniem cudzych wierszy. Ile kosz-
> tuje was
> poezja, jakie ponosisz koszty własne?
> (*Hulanki & Swawole*)

A w innym miejscu:

> Z powodu poezji dzieje się tyle co nic,
> (*Obrona poezji*)

I wreszcie:

> Nie potrafiłem wciąż napisać wiersza,
> o który prosili mnie przyjaciele,
> (*Pęka owoc*)

> Niech mnie nie proszą o wiersz przy-
> jaciele,
> musiałbym znaleźć atrament tak czarny,
> żeby w noktowizorze widział snajper
> jedynie noc. Żeby noc była celem.
> (*Cel*)

To przeciwstawienie: rzeczywistość a poezja, świat namacalny i bolesny a wiersz, realność a literatura – wciąż jest obecne na kartach tego tomu. Daje się z niego wyczytać zwątpienie w jakiekolwiek znaczenie poezji we współczesnym świecie, w jej sens w zderzeniu z medialną logoreą obrazów i słów, niewiarę w użyteczność literatury, a nawet jej bezsens i absurdalność:

> Nic sprawia poezja, więc niech pochłonie
> Nic ciebie i mnie, lato i ten moment.
> (*Posyłam symbole*)

> […] Poezja jest głodem,
> ma przydatności do spożycia nieczy-
> telny
> termin, przecenionym towarem, niepi-
> śmiennym
> robalem jest, jest pleśnią, co rośnie na
> chlebie.
> (*Po jednym*)

Mimo wszystko jednak Tomasz Różycki pisze i nie przestaje zapisywać:

> Mam w pokoju wszystko, co jest po-
> trzebne
> do poezji: […]
> (*List*)

> Piszę, bo trudno sobie wyobrazić,
> że to już wszystko, jak kiedyś powiedział

Pan Nikt – literatura jest dlatego,
że świat to za mało. Przecież umarli

muszą gdzieś mieszkać, musi się obozem
rozłożyć gdzieś tam ich wędrowny tabor,
[…]

Piszę to dla tych, którym nie wystarcza
życia, mało im szlochu, śmiechu, kaszlu,

w zmiętej chusteczce będą je upychać
tuż przed odlotem do kieszeni płaszcza.
(*Za mało*)

To aluzja do wiersza Tadeusza Różewicza, także element autotematyzmu, o którym wcześniej wspomniałem i polemika z arcydzielnym wierszem wrocławskiego mistrza.

Poezja w czasie marnym, gdy „Wojna odrasta mi co dzień od nowa / jak czarna pleśń na odkrojonym chlebie" (*Szeregowy „Skif"*), ale to przecież czas, kiedy w radiowej Dwójce dzień w dzień, każdego dnia, czytane są przekłady wierszy poetek i poetów ukraińskich, przejmujące i dające świadectwo.

Powtórzę zdania, które zanotowałem po lekturze poprzedniego zbioru liryków Tomasza Różyckiego pod tytułem *Kapitan X*, z roku 2020: jest tu wszystko, co lubię w jego pisarstwie: koncept tomu, wyraziści i ciekawi bohaterowie w tym „świecie przedstawionym", gorzka ironia, gra rytmami i rymami, precyzyjna i znakomita konstrukcja całości, a nade wszystko język poetycki – oryginalny, pomysłowy, rozpoznawalny, oscylujący między melancholią a szyderstwem, smutkiem a zabawą, rozpaczą a drwiną.

Na zbiór składa się sześćdziesiąt dziewięć wierszy, czyli o jeden mniej niż w poprzedniej książce, bo wówczas było ich siedemdziesiąt. Najkrótszy, *Pomarańczowa piłka plażowa*, liczy pięć wersów, najdłuższy, *Szóste* – dwadzieścia. Piszę o tym dlatego, że zdecydowana większość utworów z tego tomu (dokładnie – pięćdziesiąt pięć) zbudowanych jest identycznie – składa się z trzech strofoid czterowersowych i jednego dystychu, mają ten sam rytm – jedenastozgłoskowca, to może sprawiać wrażenie monotonii, ale na szczęście są one „porozrzucane", na przykład pierwsze trzy są właśnie takie, potem dwa inne, znów dwa podobne, ponownie – inny, dalej – dwa identyczne, znowu – inny, i tak dalej. Różycki jest więc wierny formie „nowoczesnego sonetu", by posłużyć się sformułowaniem Piotra Michałowskiego, czyli wiersza zamkniętego w czternastu linijkach. Jest również konsekwentny w stosowaniu przerzutni – by zachować swój ulubiony rytm wersu: jedenaście sylab, czasem trzynaście.

„Lecz pamiętaj: naprawdę nie dzieje się nic / i nie stanie się nic – aż do końca" – śpiewa Turnau słowami Michała Zabłockiego, to też utwór autotematyczny, pytający o sens pisania: „Czy zdanie okrągłe wypowiesz, / Czy księgę mądrą napiszesz, / Będziesz zawsze mieć w głowie / Tę samą pustkę i ciszę. // Słowo to zimny powiew / Nagłego wiatru w przestworze, / Może orzeźwi cię, ale / Donikąd dojść nie pomoże". Dokąd dotarł Tomasz Różycki ze swoimi słowami? Do czasu wojny dzielnych Ukrainek i Ukraińców z bestialskimi Rosjanami. Opór trwa już trzy lata i dalej:

Wojna trwa. Dostaliśmy saperki, żeby
kopać
doły, ale kiedy nadleciał większy kaliber,
porwało mnie w górę – mówi szere-
gowy.
(*Szeregowy „Enej”*)

Poeta zapisuje – wierzy, że czytelnik, tak jak on, łaknie „sprawiedliwości, miłości i prawdy” (*List*) i czeka, „aż cofnie się zima, wojna, ciemność rozjaśni, / odnajdą się zaginieni, […]” (*Jesteś światłem*) – „tyle może poezja: zapamiętać / […]” (*Już listopad*). Pamiętajmy.

Paweł Tański

Tomasz Różycki, *Hulanki & Swawole*, Wydawnictwo a5, Kraków 2024

Śladami trzydziestu sześciu ukrytych cadyków

Oto leży przede mną długo wyczekiwany tom wydany przez Ossolineum, *Trzydzieści sześć opowiadań* Isaaca Bashevisa Singera (w transkrypcji polskiej Icchok Baszewis Singer lub Zynger). Książka ukazała się – co należy szczególnie podkreślić – w przekładzie z jidysz, nie z angielskiego.

Autorami przekładów są: Monika Adamczyk-Garbowska, Mariusz Lubyk oraz Michał Friedman. Nie są to pierwsze przekłady utworów Singera z jidysz – ukazywały się one między innymi w czasopiśmie „Midrasz” czy w lubelskim „Akcencie”, a w 2023 roku opublikowano w Lublinie nowe tłumaczenie *Sztukmistrza z Lublina*. Przekładu z angielskiego, który ukazał się w 1983 roku, dokonała Krystyna Szerer. Przekład *Sztukmistrza* z jidysz jest dziełem Moniki Adamczyk-Garbowskiej z UMCS z Lublinie, znanej literaturoznawczyni, amerykanistki, jidyszystki, cenionej tłumaczki z języka angielskiego i jidysz. Stworzyła Zakład Kultury i Historii Żydów, którym kierowała w latach 2000–2011, a jej zainteresowanie i prawdziwe oddanie dla literatury jidysz rozpoczęło się właśnie od Baszewisa.

Obecnie wydany tom Adamczyk-Garbowska poprzedziła wnikliwym wstępem, który wprowadza nie tylko w przedstawione w tomie opowiadania, lecz w całą twórczość Singera, koleje życia pisarza, polemiki wokół jego dzieła, adaptacje i przekłady. We wstępie znalazło się miejsce również na krótkie informacje o rodzinie, a przede wszystkim o rodzeństwie Baszewisa. Pisarzem, jak wiadomo, był jego starszy brat Izrael Jehoszua Singer, który zmarł w stosunkowo młodym wieku, pisarką była też siostra – Hinde Ester Kreitman. Oboje są znani polskim czytelnikom zarówno z przekładów bezpośrednio z jidysz, jak i z języka angielskiego.

Cenną informację stanowi lokalizacja miejsca i data pierwszego wydania, z podaniem tytułu w oryginale, zamieszczona u dołu kolumny pierwszej strony każdego opowiadania. Wszystkie zresztą przypisy znajdują się u dołu strony, a gwiazdki przy poszczególnych terminach judaistycznych sygnalizują odwołanie do słowniczka zamieszczonego na końcu.

Icchok Baszewis Singer (takiego zapisu będę używała w niniejszej recenzji) napisał

kilkaset opowiadań. Można więc zadać sobie pytanie, dlaczego tłumacze wybrali nie mniej i nie więcej, tylko trzydzieści sześć. Odpowiedź znajdujemy we wstępie. Wedle legendy żydowskiej świat podtrzymują w trwaniu Sprawiedliwi. W każdym pokoleniu jest ich trzydziestu sześciu. Zwani są również *nistarim* (hebrajski: ukryci), bo nie są rozpoznawalni dla zwykłych śmiertelników, zazwyczaj są to prości ludzie. Inna ich nazwa to *lamed wow cadikim* – trzydziestu sześciu cadyków, czyli świętych bądź sprawiedliwych. Każda litera języka hebrajskiego ma wartość liczbową – *lamed* to trzydzieści, *waw* – sześć. Legenda opiera się na wersecie 10, 25 z Księgi Przysłów, mówiącym o tym, że Sprawiedliwy jest podporą świata.

To ważne odniesienie dla tej edycji – opowiadania Singera są nasycone legendami, folklorem żydowskim, świętymi księgami judaizmu i trudno sobie je wyobrazić bez tego mocnego podłoża.

Ja osobiście zawarłam znajomość z twórczością Singera poprzez opowiadania w przekładzie na język francuski. Tom ten, zatytułowany *Le Blasphemateur* (Bluźnierca), otrzymałam bodaj w 1974 roku od znajomego z Francji. Opatrzył on swój prezent komentarzem: „Przekonasz się, on dostanie w najbliższym czasie Nagrodę Nobla". Powątpiewałam w jego słowa, po zapoznaniu się z treścią. Szczerze mówiąc, uznałam, że to trochę żydowska „cepelia", zapełniona dybukami, demonami, złymi duchami, upadłymi aniołami, znachorami i seksem. Przypomniałam sobie, jak twórczość Singera była krytykowana przez wychowanych na klasykach żydowskiej prozy czytelników, których w moim otoczeniu nie brakowało. Znali oni jego utwory przedwojenne w oryginale. Trzeba pamiętać o tym, że literatura jidysz była – podobnie jak literatura rosyjska – dość pruderyjna i otwartość, z jaką Singer poruszał tematykę erotyczną, bulwersowała czytelników. Jeśli wierzyć anegdocie, jeden z zecerów amerykańskiej gazety „Forwerts" wydawanej w jidysz, odchodząc z pracy, zniszczył jedno z opowiadań Baszewisa, które szczególnie go zgorszyło – po prostu wyrzucił je do kosza.

W swojej publicystyce pisarz przekonująco bronił prawa do tworzenia w taki właśnie, a nie inny sposób. Odpowiadał w ten sposób między innymi wielkiemu poecie modernistycznemu Jankewowi Glatsztejnowi, który potępiał go, również w publicystyce. Zarzucał mu nadmierne posługiwanie się obscenami, wulgarnymi zwrotami, tak zwaną *grobe rejd* (jidysz, dosłownie: gruba mowa).

Mnie, rzecz jasna, opowiadania Singera nie gorszyły, natomiast byłam zdania, że autor po prostu epatuje tym, co może wywołać zainteresowanie szerszego audytorium. Innego Singera dostrzegłam dopiero w jego błyskotliwej i głębokiej zarazem eseistyce pisanej w jidysz i w mowie, którą wygłosił również w tym języku, odbierając Nagrodę Nobla (wciąż jeszcze można jej wysłuchać na YouTube), a także w bajkach dla dzieci. Niewielu miał sobie równych pod względem bogactwa językowego.

Monika Adamczyk-Garbowska dzieli polską recepcję twórczości Baszewisa na cztery etapy:

1. Do roku 1978 był właściwie pisarzem szerzej nieznanym i niepublikowanym, głównie z powodu cenzury – nie obyczajowej bynajmniej, lecz tej, której podlegała większość dzieł o tematyce żydowskiej.
2. Lata 1978–1989 – kiedy to częściowo uchylono cenzurę, ponieważ pisarz otrzymał Nagrodę Nobla, a pochodził z Polski. Jest to również okres zwiększonego zainteresowania tematyką żydowską. Ukazują się przekłady z języka angielskiego, pojawiają się adaptacje sceniczne.
3. Od 1989 roku do początku XXI wieku – ukazuje się coraz więcej przekładów w formie książkowej, niemal wszystkiego, co jest dostępne w języku angielskim. Pojawiają się też pierwsze przekłady z jidysz.
4. Od 2004 roku – roku pierwszej edycji Festiwalu Warszawa Singera, dzieło noblisty jest popularyzowane, ukazują się opracowania jego utworów.

Autorka wstępu skromnie pomija fakt, że to ona była promotorką twórczości Baszewisa Singera w Polsce, a tłumacząc – najpierw z angielskiego, a potem dopiero z jidysz – jego utwory, przełożyła również biografię Janet Haddy *Isaac Bashevis Singer. Historia życia* oraz opublikowała książkę *Polska Isaaca Bashevisa Singera – rozstanie i powrót*, pod jej i Bogusława Wróblewskiego redakcją ukazał się też *Biłgoraj, czyli raj. Rodzina Singerów i świat, którego już nie ma*.

Zatem początkowo poznawaliśmy twórczość Singera poprzez przekłady z języka angielskiego. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy pojawiła się już grupka nowych tłumaczy z jidysz, polemizowałam z koleżankami i kolegami, którzy zabierali się do kolejnych przekładów Singera z języka angielskiego. Byłam zdania, że należy korzystać z oryginałów jidyszowych, skoro już, po przerwie spowodowanej dramatem Marca '68, mamy tłumaczy z tego języka. Odpowiadali mi, że przecież Baszewis nadzorował i autoryzował te przekłady, zatem wszystko jest w porządku. Gdy jednak pojawili się tłumacze znający jidysz i zaczęli przekładać z tej właśnie wersji, okazało się, że niekiedy tekst jidyszowy różni się znacząco od angielskiego, a ponadto wersja angielska jest uboższa o szczegóły zrozumiałe dla czytelnika polskiego, a dla amerykańskiego nie. Zupełnie zniekształcone bywają nazwy miejsc, topografia miejscowości staje się nieczytelna, o czym pisał Paweł Dunin-Wąsowicz w erudycyjnym tekście *Czyste i guldeny. Isaac Baszewis Singer okiem varsavianisty* („Literatura na Świecie" 2024, nr 7–8).

W nowelce *Envy* (Zazdrość) Cynthia Ozick odmalowała psychologiczne portrety dwóch autorów tworzących w jidysz. Krytycy literaccy doszukiwali się w nich poety Jankewa Glatsztejna i właśnie Baszewisa. Zgorzkniały poeta umniejsza twórczość prozaika, przypisując sławę, jaką się cieszył, pospolitością jego utworów, schlebiających tandetnym gustom. Niezależnie od tego, jakie stosunki łączyły obu twórców (Ozick tłumaczyła potem obrażonemu Glatsztejnowi, że nie o niego chodziło), jest tam zawarta słuszna myśl, mianowicie,

że angielski jest językiem, którym porozumiewa się i który rozumie znacznie więcej ludzi niż język jidysz. Przekłady były i są koniecznością, jeśli się chce upowszechniać dzieła, zwiększyć krąg odbiorców.

I oto możemy się cieszyć przekładami Singera (i innych rzecz jasna pisarzy) z języka oryginału. A niewielu jest takich stylistów i mistrzów języka jidysz jak on. Opowiadania są tą formą, w której Baszewis Singer osiągnął szczególne mistrzostwo. W tomie *Trzydzieści sześć opowiadań* mamy zarówno utwory młodzieńcze, wyraźnie niedojrzałe, napisane jeszcze przed emigracją do Stanów Zjednoczonych (*Na starość*, *Wiejski grabarz*), jak i późniejsze, które wyszły już spod ręki wytrawnego pisarza. Obok opowiadań nieznanych, są te, które czytelnik polski poznał poprzez przekład angielski, jak *Spinoza z ulicy Krochmalnej* (w dawnym wydaniu *Spinoza z ulicy Rynkowej*), *Jentl, chłopiec z jesziwy* – opowiadanie dobrze znane za sprawą filmu/musicalu w reżyserii Barbry Streisand (*nota bene*, Singerowi nie przypadła do gustu ta adaptacja), *Opowieść tyszowiecka* (w dawnym przekładzie *Ostatni demon*). *O tym jak Szlemiel wybrał się do Warszawy* to historia z tomu opowiadań dla dzieci, osnuta na podstawie jednej z opowieści o „mędrcach" z Chełma. *Gimpel głupek* znany jest z licznych adaptacji, wystawień i przeróbek, podobnie jak *Tajbełe i demon Hurmiza*, dla mnie pamiętne przede wszystkim dzięki spektaklowi Teatru NN z Lublina.

Akcja poszczególnych opowiadań toczy się w Warszawie, ale też w Biłgoraju czy mniej lub bardziej anonimowym miasteczku. Inne są zlokalizowane w Nowym Jorku, choć bohaterami są imigranci z Polski. Mamy w nich całą galerię postaci: nieudaczników, szaleńców, opętanych przez demona, poczciwców i domorosłych filozofów. Spotykamy ocalałych z Zagłady, ale w scenerii nowojorskiej, jak w opowiadaniu *Kafeteria*.

Są nierządnice i hermafrodyci. Obie te kategorie nie są często spotykane w literaturze pięknej, lecz raczej w talmudycznej. Obok hermafrodyty występuje w tekście *tumtum* – osobnik androgyniczny, jednak różniący się od hermafrodyty. Warto skądinąd podkreślić, że pisma rabiniczne wyodrębniają sześć odmiennych płci. Dokładna charakterystyka oraz zalecenia wynikają z tego, że należy określić, jakie rytuały religijne musi spełnić dana osoba – czy przypisane są do niej obowiązki kobiety, czy mężczyzny.

Tom zaopatrzony jest w obszerny słowniczek, wyjaśniający poszczególne terminy związane z judaizmem, o czym była już mowa powyżej. Zapewne jest to wymóg serii, choć słowniczki judaistyczne wywodzą się z czasów, gdy nie było Internetu, rozmaitości wydanych książek o tej tematyce i niewielu czytelników wiedziało, co to *mezuza*, *minian* czy *kadisz*. Zdarzało się też, że powojenni tłumacze (*nomina sunt odiosa*) „polonizowali" czy „chrystianizowali" te terminy, nazywając bar micwę komunią, a obrzezanie – chrztem. Nie oznacza to, że nie można po prostu dać przyjętego powszechnie polskiego odpowiednika po to, żeby nie „zagęszczać" obcymi terminami

zdania, co się tu niekiedy zdarza. Jestem oswojona od dziecka z tym nazewnictwem, a jednak nagromadzenie obco brzmiących terminów sprawiało, że przez niektóre zdania brnęłam. Wolno czasami nazwać goja chrześcijaninem (zwłaszcza że przez niektórych czytelników słowo to uważane jest, niesłusznie, za obraźliwe), chupę – ślubnym baldachimem, macewę – nagrobkiem, mykwę – łaźnią, sidur – modlitewnikiem, a już na pewno bałagułę – woźnicą. Słowa te mają swoją specyfikę, ale ponieważ kontekst jest w sposób oczywisty żydowski, można je zastąpić polskimi, ukutymi już od dawna terminami.

Co się tyczy terminu Chewra kadisza, niemal zawsze występuje on z dodatkiem „bractwo pogrzebowe". Można było, i moim zdaniem należało, zrezygnować z jednego lub drugiego określenia, bez uszczerbku dla treści.

Nie zawsze, rzecz jasna, zastąpienie jednego terminu innym jest udane – na przykład *tefilin*, czyli pudełeczka modlitewne, przywiązywane do czoła i lewego ramienia przed poranną modlitwą w dni powszednie, są tu często zastępowane słowem „filakterie". Jest to słowo greckie, którym określa się amulety, talizmany. Być może w oczach człowieka niebędącego religijnym Żydem nie budzi to kontrowersji – dla niego jest to właśnie amulet czy fetysz. Jednak, co podkreślał już Alan Unterman w swojej niebywale przydatnej *Encyklopedii tradycji i legend żydowskich*, dla wierzącego Żyda może to być określenie obraźliwe, bo *tefilin* są przedmiotami zawierającymi fragmenty z Pisma Świętego, a zatem są świętością, nie fetyszami chroniącymi przed złym okiem. Oczywiście i takie amulety były czy są używane przez niektórych Żydów, ale to folklor, który wszak wypada od religii odróżnić.

Na ogół jednak powiodło się deklarowane przez Autorkę wstępu dążenie do zachowania równowagi między „udomowieniem a egzotyzacją", co jest trudnym zadaniem w przypadku Singera.

Kolejną deklaracją wydawców jest podawanie terminów związanych z judaizmem i kulturą żydowską najczęściej w wersji aszkenazyjskiej, czyli używanej przez Żydów z Europy Środkowo-Wschodniej, nie sefardyjskiej, utożsamianej ze współczesną wymową hebrajską, izraelską. W istocie *bejt ha-midrasz* występuje tu jako *besmedresz*, ale już *szabat* raz jest szabatem, innym razem pojawia się jako *szabes*, jest *micwa*, nie *micwe*. Nazwy świąt są już podawane w wersji współczesnej, czyli izraelskiej, choć chasydzi z Mea Szearim czy z Brooklynu nadal mówią *Szwues*, a nie *Szawuot*, mówią *Sukes* (a nawet *Sykes*), nie *Sukot*. Osobiście wszystkie terminy podaję we współczesnym brzmieniu, ale sztywnych reguł nie ma, a też nikomu nie udaje się utrzymać żelaznej konsekwencji, co należy z całą mocą podkreślić. W każdym razie ja takiej książki przełożonej z jidysz nie znam. Dotyczy to przede wszystkim nazw miejscowości oraz imion. Tu tłumacze dążą do zachowania oryginalnego brzmienia imienia, nie spolszczonego, zwłaszcza w zdrobnieniach. Może to się wydawać nieistotną różnicą, czy piszemy Dinele, czy Dinełe, Jentl czy Jentł. Bywa też Gecel i Gimpel, nie Gecl czy Gimpl,

ale w tym samym wierszyku Berele i Dawidełe. Tutaj było chyba zbyt trudno utrzymać konsekwencję. Moim zdaniem lepiej jednak było pozostać przy „l", jako że dźwięcznego „ł" już nikt nie wymawia, a gdy zostawi się „ł", czytelnik zamiast Dinele wymówi Dineue czy Awrejmeue.

Słusznie zostawiono imiona biblijne w formie utrwalonej w polszczyźnie. Ale i tu trudno byłoby zachować konsekwencję, skoro cytaty biblijne zaczerpnięte są, i słusznie, z przekładu Izaaka Cylkowa, a tam imiona biblijne brzmią zgoła inaczej. Zresztą i tu zdarzył się wyjątek od reguły – jest Noech, zamiast Noego.

Książka zaopatrzona jest również w rozbudowane przypisy, w większości z pożytkiem dla czytelnika. Nie wiadomo jednak, dlaczego *Etyka* Spinozy została zacytowana według wydania z 1914 roku, skoro jest nowszy przekład, wydany w Bibliotece Klasyków Filozofii w 1954 roku. Nie wiem też, czy w dobie Internetu należało podawać notki dotyczące poszczególnych miejscowości, zwłaszcza tych większych. Podobnie nie sądzę, by czytelnikom Singera trzeba było wyjaśniać, co to jest „franca", kim był Freud, na czym polega kompleks Edypa, a na czym kompleks Elektry. Jest też przypis do Karola Marksa czy Lukrecjusza, Isaaca Newtona czy Aleksandra Macedońskiego i tym podobne. Prawdopodobnie taka zasada obowiązuje w serii Biblioteka Narodowa, ale może dałoby się zachować w tej materii zdrowy rozsądek. Zwłaszcza że czytelnicy tej serii zapewne należą do grona ludzi wykształconych. Uderzają natomiast fachowością przypisy dotyczące kwestii judaistycznych wyższego rzędu, choć i tu zdarzają się drobne nieścisłości.

Na przykład przypis wyjaśniający rytuał porannego obmycia rąk. Czytamy, że należy go dokonać po obudzeniu się i wstaniu. Tymczasem należy to uczynić jeszcze leżąc w łóżku, a po odmówieniu modlitwy *Mode ani*. Religijni Żydzi trzymają w tym celu specjalne naczynie w pobliżu łóżka lub pod nim. Natomiast co się tyczy kobiecego rytuału udania się do mykwy po menstruacji, nie chodzi o obmycie się, lecz całkowite zanurzenie się w wodzie.

Wyjaśniając, co oznaczają słowa hymnu szabatowego *Lecha dodi*, podaje się tłumaczenie z hebrajskiego „Przyjdź, umiłowana". Skoro wydawcy zadeklarowali, że cytują Biblię w przekładzie Izaaka Cylkowa, należało podać fragment wersetu z *Pieśni nad Pieśniami* we właściwym brzmieniu – „Pójdź, luby mój". Jest to zresztą logiczne, bo w hymnie chodzi o to, by wspólnie udać się na powitanie Królowej Szabat.

W wyjaśnieniu sensu pytania „Kiedy mam rozedrzeć ubranie?" na wiadomość o śmierci – powiada się, że odnosi się to do biblijnej sceny rozdzierania szat na wieść o śmierci Józefa, syna Jakuba. Tak jest w istocie, tyle że może warto byłoby dodać, że jest to obowiązujący i dziś rytuał, nie jednorazowe odniesienie.

W dwóch miejscach pojawia się wadliwa transkrypcja z hebrajskiego – Elijachu zamiast Elijahu i – co znacznie ważniejsze – słowa „zamęt i bezład" z Księgi Rodzaju powinny być zapisane *tohu wawohu*, nie *tochu wabochu*.

Przydałby się przypis do Jozuego – imię to brzmi w oryginale Jehoszua czy Jeszua, a odnosi się na ogół do Jezusa, zwłaszcza gdy tak jak tu, pisze się o „bękarcie z Nazaretu". Większości czytelników Jozue kojarzy się raczej z tym, kto zatrzymał słońce.

Z kwestii technicznych wymienię jedną w ramach mojej prywatnej i osobistej, a dlatego skazanej na niepowodzenie walki o prawidłowy zapis urzędowej nazwy Izraela – również tutaj pojawia się ten powszechny błąd – Państwo Izrael. Powinno zaś być – Państwo Izraela (Medinat Israel), państwo plemienia biblijnego Jakuba, który stał się w pamiętnej scenie z Księgi Rodzaju Izraelem. Odpowiednio i konsekwentnie angielska nazwa brzmi The State of Israel, a po francusku L'Etat d'Israel.

Wszystkie te drobne uwagi nie ujmują wartości tomu, są zwykłymi potknięciami, jakie się przydarzają i jakie po prostu odnotowałam, czytając całość.

Moja uwaga zatrzymywała się nie tylko na usterkach. Gdybym miała wybrać opowiadanie, które przemówiło do mnie szczególnie mocno, byłby to *Krótki piątek*. Jest to historia opowiedziana łagodnie i ciepło. Nie jest to częste u Singera i równie nieczęsty jest u niego obraz kobiety pięknej, mądrej i dobrej, która poślubiła niezbyt atrakcyjnego niezbyt uczonego mężczyznę, który „tak naprawdę nigdy nie wyuczył się żadnego fachu", był „niski i niezgrabny" i „chodził, szurając podeszwami butów". A wyszła za niego, ponieważ był dobrym i pobożnym człowiekiem. I pewnie Szmuel Lejbele umarłby z głodu, gdyby jego żona Szosza nie była obrotna. Wzajemna troska, miłość, która nie potrzebuje słów, wspólne przygotowania do szabatu składają się na obraz pełni szczęścia małżeńskiego. I nie mogło się to skończyć inaczej – kochający się małżonkowie umierają, śniąc ten sam sen po miłosnym spełnieniu. „Piękni i dobrzy za życia, po śmierci wciąż będą razem" – wedle modlitwy *Aw ha-Rachamim* (Ojcze miłosierny) i podobnie w opowiadaniu Lameda Szapiry *Rebe i rebecn*.

Bohaterką opowiadania *Praczka* nie jest Żydówka, lecz Polka z ulicy Krochmalnej – to także nietypowa postać u Singera, wzbudzająca szacunek, ale i litość chlebodawców. Przychodziła po pranie i po dwóch tygodniach je odnosiła, czyste „jak srebro". Była ubogą, starą kobietą, ale „miała w sobie dumę i zamiłowanie do pracy", a przecież mogła „żebrać pod kościołem albo pójść do przytułku". Nie skarżyła się, choć miała zamożnego syna, który mógłby ją wesprzeć. Dźwigała na plecach toboły z praniem, które wydawało się ciążyć jej coraz bardziej, chorowała, coraz dłużej trzeba było czekać na upraną bieliznę, ale przychodziła w końcu. Chciała wywiązać się z podjętego zobowiązania. Aż odeszła – „upadło ciało, które już długo było popękaną skorupą i trzymało się tylko siłą uczciwości i odpowiedzialności". Nie może istnieć taki raj – mówi nam Icchok Baszewis Singer – w którym taka święta dusza, bez względu „na język czy wiarę", by się nie znalazła.

Z pewnością Szosza, Szmuel Lejbele i praczka mogliby zostać zaliczeni do gro-

na Sprawiedliwych, na których opiera się świat, choć nie wiem, czy wedle tradycji mogłyby należeć do nich kobieta i chrześcijanka.

Trzydzieści sześć opowiadań Singera to ważna edycja. Również z tego powodu, że po raz pierwszy od ponad sześćdziesięciu lat dzieło pisarza tworzącego w jidysz zostało wydane w serii Biblioteka Narodowa.

Bella Szwarcman-Czarnota

Isaac Bashevis Singer, *Trzydzieści sześć opowiadań*, przekład Mariusz Lubyk, Michał Friedman, Monika Adamczyk-Garbowska, seria: Biblioteka Narodowa, Wydawnictwo Ossollineum, Wrocław 2024

O Międzymorzu

Niedawno zmarły w pełni sił twórczych poeta, prozaik, nauczyciel akademicki, tłumacz, publicysta, historyk idei Leszek Szaruga (właściwie Aleksander Wirpsza) nie doczekał publikacji swojego historyczno-politologiczno-literackiego *opus magnum Tożsamość Międzymorza*. W skład tego liczącego ponad sześćset stron tomu weszły wcześniej wydane dwie pozycje książkowe (nie potrafię rozsądzić, na ile zmienione, na pewno wzbogacony został aneks lekturowy): *Palimpsest Międzymorza* (2013) i *Przetwarzanie Międzymorza* (2016). Monografia dzieli się na trzy części: syntetyczny wykład uniwersytecki ujmujący problematykę Międzymorza w historycznym kontekście dziejów antycznej, średniowiecznej, nowożytnej Europy (między innymi rola Rzymu, Konstantynopola, Kijowa, Stambułu, Moskwy, Wiednia w kształtowaniu megaregionu, religijno-cywilizacyjne pęknięcie Europy na część wschodnią i zachodnią, rywalizacja mocarstw w Europie Środkowej, wzlot i upadek pomniejszych lub osłabionych państw); drugą część z rozbudowanymi esejami o dwudziestowiecznych koncepcjach i wybitnych myślicielach, politykach i ideologach związanych z Międzymorzem (aneks I), i trzecią – *Glosy Międzymorza*, czyli krótkie, liczne i atrakcyjnie podane recenzje oraz felietony o wybranych dziełach literackich i historycznych (wcześniej publikowane w czasopismach w zasadzie do 2022 roku, czasu inwazji Rosji na Ukrainę, co diametralnie zmieniło w oczach czytelnika ocenę układu politycznego w regionie i ostateczną wymowę recenzowanej książki: definitywny koniec tak zwanego Międzymorza).

Międzymorze historyczne kojarzy się ogólnie z jagiellońską ideą federacyjną, (legendarną) polską doktryną polityki zagranicznej, która nawiązywała do (wieloetnicznej) I Rzeczpospolitej, usiłując wymyślić i (nieskutecznie) narzucić przywództwo Polski mniejszym państwom Europy Środkowo-Wschodniej na linii północ-południe od Bałtyku po Morze Czarne, a nawet, w przypływie pozytywnego szaleństwa, do Adriatyku. W tej koncepcji mieści się projekt Józefa Piłsudskiego, ale i po latach zmodyfikowane gruntownie koncepcje paryskiej „Kultury" Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego przy absolutnym założeniu, że suwerenne państwo polskie akceptuje i szanuje niepodległe państwa

„kresowe", jak Ukraina, Białoruś, Litwa, co wnikliwie i ciekawie Szaruga opisuje i do czego nieustannie powraca.

Wyjątkowe znaczenie tej pracy nie polega jednak na tym syntetycznym wykładzie, opartym na wielu cytatach znakomitych historyków i politologów, czym było Międzymorze w europejsko-wschodnioeuropejskiej oraz (wszech)polskiej myśli politycznej, lecz na oryginalnym, wyczerpującym oraz osobistym sposobie pisania o ludziach uczestniczących w wielkim, na początku wątpliwym, jeśli chodzi o możliwość realizacji, projekcie zmiany paradygmatu współistnienia i współpracy pomiędzy sobą licznych (podbijanych przez mocarstwa, skłóconych, małych i większych) narodów tej „mniejszej" peryferyjnej Europy. Ponadto do tych energicznie kreślonych portretów żywej myśli, trudnej działalności, żywych ludzi dorzucam wnikliwe i rozumiejące lektury utworów literackich autorów z kręgu Międzymorza (od państw bałtyckich przez państwa wschodniosłowiańskie do południowosłowiańskich). Pojawiają się tu wielkie nazwiska, ale i te pomniejsze, a każdy przywołany autor prezentuje konkretne i właściwe umiłowanie swojej sprawy narodowej w kontekście wyłaniania się niepodległości i demokracji. Inna rzecz, że przyłączenie do Unii Europejskiej kilku państw dawnej Europy Wschodniej oraz ostatnio wojna w Ukrainie zmieniły mocno optykę klasyfikacji celów w systemie kulturowo-politycznym (byłego już) Międzymorza oraz ocenę (utraconych) polskich kresów, roli Niemiec (utrata kresów wschodnich) oraz szczególnie imperialnej Rosji (autor optuje za poszukiwaniem tej „innej, lepszej" Rosji, co obecnie jest niesprawdzalne).

W demokratycznej Polsce w niektórych kręgach (tych bardziej narodowych) termin Międzymorza – rozumiany szeroko jako polityczny klucz do bezpieczeństwa Polski i wzmocnienia jej regionalnej roli – wrócił do łask. Nie brakuje urozmaiconych pozycji naukowych i literackich o tej tematyce. Wystarczy wymienić historyczną monografię Leszka Moczulskiego *Narodziny Międzymorza*. *Ukształtowanie ojczyzn*, *powstanie państw oraz układy geopolityczne wschodniej części Europy w późnej starożytności i we wczesnym średniowieczu* (2019); Marka Jana Chodakiewicza *Międzymorze* (2016), zachwalane jako „odważna wizja historiograficzna… o naszych korzeniach"; Przemysława Waingertnera szkic *Międzymorze – wizja*, *iluzja czy racja stanu* (2022), przynoszący zwięzły opis myśli i praktyki politycznej (raczej jako racja stanu dla wzmocnienia bezpieczeństwa Polski); powieść historyczną Marcina Wolskiego *Międzymorze* (2022), czy wreszcie rozrachunkowy (zresztą o wymowie pesymistycznej) reportaż Ziemowita Szczerka *Międzymorze*. *Podróże przez prawdziwą i wyobrażoną Europę Środkową* (2017) z tych skonfliktowanych ziem leżących między Petersburgiem a Moskwą, Kijowem, Berlinem, Stambułem, Budapesztem a Belgradem, na których szalał faszyzm, komunizm, antysemityzm i nacjonalizm!

Relacjonując krytyczny, a mnie przekonujący, reportaż Szczerka, Szaruga słusznie zanotował: „Z mojego punktu widzenia

Międzymorze jest realnością, ale o statusie historycznym – dotyczy czasu, w którym kraje tego obszaru pozbawione były bytu politycznego. Rekonstrukcja tej przestrzeni w chwili, gdy mamy do czynienia z państwami suwerennymi, na ówczesnej wspólnocie losów bazować nie może, natomiast kwestia odnajdywania wspólnoty interesów jest już zadaniem niełatwym i, oczywiście, trudniejszym do realizacji wówczas, gdy dominują nastroje nakazujące kurczową obronę narodowych tożsamości". Ja podobnie uważam, że polityczny (ale chyba nie kulturowy) projekt Międzymorza należy wrzucić do mrocznego worka historii i zapomnieć: jedynym rozwiązaniem naszych „przeklętych problemów" wschodnioeuropejskich jest wspólna obecność tych poszatkowanych etnicznie i granicznie państw w silnej, demokratycznej, zjednoczonej Unii Europejskiej.

Jak można usytuować na tle tych wymienionych pozycji bogatą w wątki i osobiste świadectwo poważną propozycję Leszka Szarugi? Myślę, że jako rzecz inteligentnie przeprowadzoną w warstwie znaczeń historyczno-politologiczno-literackich oraz doskonale celną i wręcz błyskotliwą w sferze bardzo osobistego i zarazem udokumentowanego doświadczenia personalnego, które świetnie zostało przełożone na klarowny język wywodu.

Co, rzecz historycznie ujmując, bywało synonimem Międzymorza albo nawet częściej występowało w europejskiej (wschodnioeuropejskiej) historiografii? Oczywiście Europa Środka, niemiecka *Mitteleuropa* (długo obowiązujący koncept Friedricha Naumanna z 1915 roku), równie słynna Europa Środkowa Kundery z lat osiemdziesiątych XX wieku (wymyślona w opozycji do złowrogiego nacisku totalitarnego imperium Związku Radzieckiego, zresztą ograniczona zaledwie do kilku kulturowo prozachodnich państw Europy bloku sowieckiego), a w naszych latach idee Trójmorza (2016), Grupy Wyszechradzkiej, Rady Bałtyckiej i tym podobne, które pojawiły się w euforii odkrycia więzi regionalnych i praktycznie zniknęły w huku rakiet rosyjskich i rosnącego węgierskiego nacjonalizmu. Z literacko-kulturowych wizji warto wspomnieć kompletnie oderwaną od realiów Sarmację (od Wisły po… Moskwę) poety i prozaika niemieckiego Johannesa Bobrowskiego, Europę Rodzinną Czesława Miłosza (skoncentrowaną raczej na Bałtach). W tym kontekście za Andrzejem Bobkowskim autor przypomina koncept egzystencjalno-tożsamościowy Kosmopolaka: więcej Człowieka w Polaku niż odwrotnie, co stało się moją dewizą wiele lat temu…

Mnie nigdy, a jestem patriotą polskim i zachodnioeuropejskim w równym stopniu, nie przekonywały poronione mocarstwowe ambicje i ułudy mojego państwa, które tak jak pozostałe (a większości los był gorszy, na przykład pięćset lat pod panowaniem Osmanów!) szamotało się między wielkością a małością dziejową. Rosji bałem się jak diabeł święconej wody i uważałem, że na słowiańskim wschodzie nie leżą żadne nasze (romantyczne) interesy geopolityczne – a jedynie malowniczy „z lotu orła" rozkład cywilizacyjny

i moralny. Cóż, teraz mamy do czynienia z ponowieniem imperializmu wielkorosyjskiego, a Ukraina, która staje się w tej wojnie wreszcie państwem politycznym suwerennych Ukraińców, płaci wysoki trybut za postawienie się faszystowskiej Rosji, a co się stanie za kilka tygodni, to nikt nie wie…

I tak to obiecane Międzymorze stawało się fikcją, iluzją, chociaż w pewnym momencie (wyobrażoną) racją stanu Polski narażonej na przemoc ze strony Berlina i Moskwy. Tak to jest, gdy jest się za małym, aby być dużym, a za dużym, żeby pozostać małym. A poza tym te haniebne dzieje krain Międzymorza: wewnętrzne konflikty, zbrodnie, animozje, nieufności pomiędzy przykładowo Litwą a Polską, Ukrainą a Polską, Węgrami a Rumunią, Serbami a Chorwatami, które tak łatwo rozgrywać! Każde z tych państw projektowało swoją przeszłość na miarę ambicji i kłamstw historycznych, tworząc zręby pod Wielką Litwę, Wielką Bułgarię, Wielkie Węgry, Wielką Rumunię, Wielką Ukrainę czy Serbię i Chorwację. Łaknienie odrodzenia państwowości było autentyczne, podobnie jak nieustanne falowanie kompleksów niższości i wyższości, co jest mieszanką osobliwie zabójczą i trującą. Przez lata fascynowało mnie to falowanie emocji tożsamościowych (na przykład Bałkany zawsze miały przegrane u Rumunów i Węgrów) aż w końcu się zmęczyłem, chociaż jak tylko miałem okazję, to tłumaczyłem znajomym literatom z Francji skomplikowaną historię narodów Europy Środkowo-Wschodniej, ale raczej bez większego skutku…

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że najcelniejsze strony *Międzymorza*, a jest ich wiele (jak i inne wątki i rozpoznania powracające w różnym kontekście lekturowym), poświęcone są niezwykłemu kręgowi paryskiej „Kultury" Jerzego Giedroycia (i jej recepcji), z którą sam Szaruga przez lata współpracował. Ten krąg prometejski, w którego skład wchodzili, poza naczelnym, tacy wielcy ludzie otwartej myśli i przekonującego pióra, jak Vincenz, Stempowski, Miłosz, Czapski, Herling-Grudziński, Łobodowski, Mieroszewski, Osadczuk, wykonał heroiczną i oryginalną pracę na rzecz niekonfliktowej tożsamości ludów Europy Środkowo-Wschodniej, do czego też się przyznawały i kontynuowały w kraju takie osobistości, jak Pomianowski, Michnik, Przybylski, a wreszcie Szaruga, Pomorski, Czyżewski oraz powstałe po 1989 roku demokratyczne, zajmujące się kulturowo-oświatową współpracą regionalno-międzynarodową stowarzyszenia, jak WK „Borussia", „Karta", „Pogranicze". Z każdym z nich współpracował również Leszek Szaruga, nieodżałowany orędownik literatury ludzi wolnych.

PS Niestety muszę zarejestrować kilka poważnych literówek (szczególnie w części pierwszej), jeśli chodzi o chronologię oraz błędną zamianę dwóch nazwisk: zamiast (antysemity) Chamberlaina mamy (niewinnego) Chateaubrianda, a poeta Tadeusz Żukowski pojawia się raz jako Tadeusz, a drugi raz jako Tomasz (chodzi na pewno o tego pierwszego).

Kazimierz Brakoniecki

Leszek Szaruga, *Tożsamość Międzymorza*, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2024

Słów nie ma

Książka Krzysztofa Siwczyka jest czymś innym niż dziennik żałoby, to książka o życiu w obliczu śmierci, witalna, sprężysta, chciałoby się powiedzieć żargonem recenzenckim – piekielnie dobra. Są w niej nawiązania do jego poprzednich książek, szczególnie do *Krematoriów I / Krematoriów II,* opublikowanych w 2021 roku, ale jest też i wiele nowych wątków, które czynią *Na przecięciu arterii* opowieścią o detalach, jakich we wcześniejszych publikacjach poety nie ma. Możliwe, że właśnie ta detaliczność, niczym odbicie człowieka w lustrze, tym ciekawsza i bardziej zwodnicza, im dłużej się ją obserwuje, to główny temat nowej książki. Siwczyk zbiera, ale i porównuje detale, a interesują go dwa miejsca ich pochodzenia, dwa kluczowe konteksty – biografia ojca i syna. Powiedzielibyśmy – nieprzypadkowe, może nawet mające swoje pierwowzory, konkretne, dokładnie umiejscowione. Niewątpliwie, taka detaliczna lokalność ma tu swoje znaczenie, czytelnikowi nie jest przecież obojętne, po jakiej przestrzeni się porusza, a nawet więcej, wielu czytelników woli konkretną przestrzeń od niekonkretnej.

Zakładam więc, że przestrzeń w najnowszej książce odgrywa kluczową rolę i niczym szkiełka w kalejdoskopie wymaga, by nią odpowiednio potrząsnąć, i by ją mądrze poukładać. Zakładam także, że miejsca, do których odsyła ta literacka przestrzeń, to w większości Gliwice, miasto powojennych powrotów i migracji, poskładane niczym wspomniany kalejdoskop czy rozbita porcelana. Niektóre punkty, jak cmentarz czy huta – prawdopodobnie Huta Gliwice – możliwe także, że i kopalnia (brak dokładnej lokalizacji nie pozwala jednoznacznie napisać, że to KWK „Gliwice", a nie KWK „Knurów" czy KWK „Sośnica"), powracają regularnie jako toponimy oficjalne, związane z życiorysem bohaterów. Inne – jak akademik Politechniki Śląskiej „Karolinka" – tworzą idiolekt półoficjalny, związany z większą częścią książki. Dotyczy ona życia rodziny – dziadków, rodziców, syna, jego partnerki i córki – krąży więc po orbitach nieoczekiwanych lub mniej oczekiwanych: szpitali, mieszkań, pokoi, kanap, foteli, czasem leśnych przystani. Tu już trzeba iść wyłącznie za głosem przewodnika, którym jest w tej książce ktoś w rodzaju narratora, przewodnika po losach rodziny, który bywa wybiórczy i stronniczy.

Na przecięciu arterii przypomina dwa skrzydła lustra. Mamy tu dwie części, każdą ułożoną z niedużych, poetyckich obrazów formalnie będących prozą. W jednej części znajduje się historia ojca, w drugiej – syna, obie one wpadają na siebie niczym skrzydła lustra, ustawione równiutko, by się nie zderzyć, ale w pewnej chwili rozchybotane czyimś przypadkowym ruchem czy gwałtownym spotkaniem z rzeczą. Ojciec to powojenne pokolenie, człowiek z epoki, która literaturę przeciwstawiała życiu. Konkretny, małomówny, uparty, gotowy się wycofywać, jeśli tak mu wygodniej. Widzimy jego zmagania z oczekiwaniem na dziecko, a później długo oczekiwane ojcostwo, zgryzotę związaną z jego własnym ojcem, człowiekiem trud-

nym, twardym, niewykształconym (najprawdopodobniej); pracę w hucie na stanowisku architekta bądź kreślarza, milczącą obecność w domu. Siwczyk nie pisze o tym obrazami, ale wyobrażeniami, wmyśla się jako narrator w postać ojca, wkłada mu w usta swoje słowa. Zwięźle oddaje to narracja drugoosobowa, bezpośrednio dialogująca z ojcem, która przyjmuje postać listów kierowanych do osoby, której już nie ma lub która jest, ale i tak na nie nie odpowie. Taka pozycja, tyleż wygodna, co i męcząca, zabezpieczona na atak drugiej strony, ale i górująca nad nią wszechwiedzą, która nie runie i nie zostanie zaatakowana, służy Siwczykowi do opowiedzenia nie swojej perspektywy. Czasem jest to narracja pełna słuszności, czasem – podejrzeń, silnie modelująca tego, o kim opowiada, pracująca na napięciach i skrótach, jakie zapewnia jej poetycka metafora. Czytelnik ma często wrażenie spadania z kamieni bądź spacerowania dość wyboistą drogą, co nie jest wynikiem trudnego języka, ale celowo ustawionej metafory, która działając na skrótach, czyni zdarzenia wyraźniejszymi, niż nimi byłyby w opowieści realistycznej.

Druga część książki jest nieco inna, ponieważ opowiada historię ustami tego, który i wcześniej opowiadał. Syn musi być w niej zaprzeczeniem ojca, ale też i jego odbiciem, odbijający kroki narratora dukt opowieści co i rusz zatem przestawia czytelnika z miejsca na miejsce, z wrażenia bycia bliżej jednej bądź drugiej strony. Taka maszyneria opowieści ma zadanie zasadniczo uprościć kulturowy konstrukt relacji syn – ojciec, opisywany w formie różnic bądź paradoksów. W książce o życiu w cieniu śmierci Siwczyk poszukuje nieustannie relacji z ojcem w poetyckich dialogach, pisze jego biografię, pochłania go ojca milczenie, z dna którego sam usiłuje przemówić.

To z pewnością dobry sposób, by wciąż przebywać w relacji ze śmiercią – tym boleśniejszą, im dłużej ona trwała i im trudniejsze do odparcia wywołuje wspomnienia. Siwczyk tworzy ją językiem, buduje diatrybę, zwalcza milczenie, nie boi się zgrzytów; obok osobistej mitologii umieszcza budzące dystans zwroty dotyczące fizjologii, próbuje wyminąć ojcowski porządek, czyniąc jednocześnie narrację syna narracją najściślej uporządkowaną i zrygoryzowaną. Ta metoda kryje paradoksy i słabości – podkreślam jednak – piekielnie dobre, tnące językiem jak brzytwą, choć zawłaszczające. Takie jest prawo tego, który pisze, każdy ma taki język, jakim włada. *Na przecięciu arterii* to nie jest książka o poszukiwaniu sprawiedliwej opowieści, to w ogóle nie jest książka sprawiedliwa, nie przynosi komukolwiek ulgi. Czuję, że taka książka musiała powstać i w radykalnie zawłaszczający język sposób uporać się z wydarzeniem, na które słów nie ma.

Marta Tomczok

Krzysztof Siwczyk, *Na przecięciu arterii*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2024

„Pani od obrazków"

Do lektury tej książki od razu zachęca umieszczone na okładce zdjęcie

uśmiechniętych noblistów. Tytuł brzmi: *Pod dyskretną opieką Wielkich Mocy. Listy i nie tylko*. Z dopiskiem: *Wisława Szymborska, Czesław Miłosz*. Na całość składa się wymiana listów i kartek pocztowych, podobizny dedykacji oraz zdjęcia. Rzecz wydana przez Wydawnictwo Znak, plastycznie wyszukana, została przygotowana, opatrzona starannymi komentarzami i *Posłowiem* Emila Pasierskiego oraz uzupełniona *Wstępem* Marcina Wichy.

Korespondencję otwiera odpowiedź Czesława Miłosza na oficjalną prośbę Wisławy Szymborskiej, wówczas redaktorki działu poezji w „Życiu Literackim", o przekłady wierszy poetów amerykańskich do przygotowywanej przez tygodnik kolumny. Miłosz w uprzejmym tonie wyjaśnia: „Nie zajmuję się systematycznie tłumaczeniem poezji amerykańskiej, robiłem dotychczas przekłady głównie wtedy, kiedy potrzeba mi było ilustracji do artykułów o sprawach poezji współczesnej". Proponuje natomiast druk przekładu wiersza *Modlitwa mojej matki* „Nuchima Bonze, poety z Galicji Wschodniej, który umarł parę lat temu w New Yorku". Dodając: „Sądzę, że przypominanie o dorobku literackim i artystycznym Żydów polskich może być skutecznym środkiem walki przeciwko antysemityzmowi". W *Postscriptum* prosi, by koniecznie podano, że jego przekład ukazał się wcześniej na łamach „Kultury".

Ważne są daty: niezachowany niestety list Szymborskiej, „który szedł jakoś długo", został wysłany 31 stycznia 1957 roku, odpowiedź Miłosza nosi datę 19 lutego 1957. „Życie Literackie" zamieściło wspomniany wiersz w 10 numerze w tym roku z informacją, kto jest jego autorem oraz autorem jego przekładu, a także z adnotacją, że pierwodruk ukazał się w „Kulturze". Jeszcze dwa lata, a może nawet rok wcześniej byłoby to nie do pomyślenia! Bo nie tylko po raz pierwszy od 1950 roku ukazuje się w Polsce Ludowej utwór inkryminowanego poety „zdrajcy", ale na dobitek nazwa „wrażego" zagranicznego wydawnictwa. Trwają zatem resztki odwilży, ale już wkrótce chwilowo uchylona żelazna kurtyna zatrzaśnie się na głucho i nazwisko Miłosza na dziesiątki lat zniknie z łamów polskiej prasy, zaś w encyklopediach będzie opatrywane określeniami: „Wróg Polski Ludowej" lub: „W swoich publikacjach występuje przeciwko Polsce Ludowej".

Trudno się dziwić, że pragnąc podtrzymać znajomość z poetą, Wisława Szymborska dopiero w 1986 roku, korzystając z krótkiego pobytu w Darmsztadzie, wysłała swój tomik *Ludzie na moście* z dedykacją: „Czesławowi Miłoszowi z pięknym pokłonem i najlepszymi myślami". Następny kontakt został nawiązany dopiero w wolnej Polsce. Jest to wyklejanka wysłana z Krakowa 5 listopada 1990 roku z dopiskiem:

Piękny Panie Czesławie!

To jest pierwsza karteczka, którą do Pana wysyłam. Po niej nastąpią inne, i tak już będzie

aż do końca świata!

Istotnie, może nie „do końca świata", ale do chwili odejścia Miłosza Szymborska solennie dotrzyma swojego słowa. W samych

nagłówkach korespondencji rozwinie przy tym cały wachlarz wartościujących epitetów wyrażających tyleż jej stosunek do noblisty, co rosnący stopień zażyłości, która z czasem przerodzi się w serdeczną przyjaźń. Pisze zatem o Miłoszu nie tylko, że jest „Piękny", ale też: „Wspaniały", „Najważniejszy", „Bezprzykładny", „Zadziwiający", „Fenomenalny", „Wyjątkowy", „Najświetniejszy" lub wprost: „Kochany". Ów stosunek pełen niekłamanego podziwu i szacunku, jest również wyrazem charakterystycznego dla poetki onieśmielenia oraz chyba nadmiernej skromności. Wielokrotnie Szymborska będzie się nazywać jedynie „wielbicielką".

Dopiero po przejściu z noblistą na ty, w jedynym obszernym liście datowanym na 16 lipca 1996 roku, wyznaje, jak wielkie wrażenie zrobiła na niej pierwsza lektura *Ocalenia*: „No tak, powiedziałam sobie, to jest Ta poezja, Te wiersze, Ten poeta… Po prawdzie powinnam z tego wrażenia wyciągnąć dla siebie jedyny logiczny wniosek: zapłakać nad swoimi wierszykami i przestać pisać". I dodaje: „Potem oczywiście czytałam już wszystko, co wyszło spod Twojej ręki […] I tutaj nastąpiło drugie »mocne uderzenie« Twoją poezją – tym różne od pierwszego, że było trochę bardziej rozłożone w czasie". Na czym owo „mocne uderzenie" polegało? Odmienność Miłosza uwidoczniła się dla Szymborskiej również na tle poezji emigracyjnej, którą określa mianem „skansenu, w którym poeci rozpamiętywali swój los", niewrażliwi na otaczający ich świat. Jak dalej powiada:

„Ta tradycja nad Tobą nie zaciążyła – nie byłeś ślepy na miejsca, w których przebywałeś, na poezję, która gdzie indziej powstawała, na problemy i doświadczenia cudze. Umiałeś zdobyć się na dystans, który dał więcej literaturze polskiej niż jej tradycyjna, monotematyczna pępkowatość. Z Twoich wierszy powiało wielkim światem.

I jeszcze jedno, co się z tym trochę wiąże. Jeszcze dziś w powszechnym przekonaniu mieć dwie ojczyzny to jakiś wstydliwy mankament. Koniecznie należy wybierać. Jesteś znakomitym przykładem, że dwie ojczyzny to podwójna siła i podwójne bogactwo".

Dodając: „Byłoby mi przykro, gdybyś pomyślał, że staram się tu pisać jakieś komplementy. Jest dla mnie oczywiste, że urodziłeś się pod dyskretną opieką Wielkich Mocy. Czym one są, tego nie wiem, ale widzę wyraźnie, że znają się na poezji".

A Miłosz? Niewątpliwie bardzo cenił poezję Wisławy Szymborskiej, choć nie wyraził tego wprost w korespondencji. Ale już w wydanej w 1965 roku antologii *Postwar Polish Poetry*, w nocie poprzedzającej przekłady wierszy przyszłej noblistki wyznał: „Bardzo lubię jej gorzkie, sceptyczne i błyskotliwe wiersze oraz szczerość w wyrażaniu dosyć rozpaczliwej wizji świata". Poświęcił jej także między innymi obszerny esej *Poezja jako świadomość,* po przeczytaniu którego Szymborska na przesłanej Miłoszowi wyklejance z 8 listopada 1991 roku napisała: „Że też znalazł Pan czas i ochotę, żeby napisać o mnie w »Tekstach«… To dużo więcej, niż się kiedykolwiek od życia spodziewałam. DZIĘKUJĘ". W odpowiedzi

na tę kartkę Miłosz przesłał 7 grudnia „Najlepsze życzenia świąteczne poetce znakomitej". A w jednym z listów załączył pierwszą wersję wiersza, który pod tytułem *Ten świat* wszedł w skład tomu *Na brzegu rzeki*.

Wymiana listów i kartek następowała podczas wyjazdów Carol i Czesława Miłoszów z Polski do Stanów Zjednoczonych, w których zwykle spędzali zimę. W okresie wiosennym i letnim Miłoszowie wracali do Krakowa, gdzie w końcu na stałe zamieszkali. Wówczas spotykali się z Szymborską często, zwłaszcza na jej słynnych, odnotowanych w korespondencji i utrwalonych na zdjęciach „loteryjkach". Obydwoje noblistów uczestniczyło również we wspólnych spotkaniach autorskich oraz w wyprawie do Wilna w 2000 roku. Ponieważ Miłoszowie zaproszeni na uroczystości noblowskie nie mogli w nich wziąć udziału, Szymborska 13 grudnia 1996 roku nadała telefax o wymownej treści: „Kochany Czesławie! Ściskam resztką sił". Miłosz wysłał w odpowiedzi kartkę z zabawną sentencją: „Życie to nic więcej niż pretekst do picia kawy". Dodając cytat, który, jak wyjaśnia Pasierski, pochodzi z wierszyka Bartłomieja Bredy wygłaszanego w Piwnicy pod Baranami:

Zbrodnia do niesłychana
– Szymborska pobiła Dylana!
Pobiwszy, wkłada w teczkę
I chowa w biblioteczce.

Powyższa kartka skłania do bliższego przyjrzenia się wymianie widokówek i kolaży pomiędzy noblistami. Miłosz na wyklejanki Szymborskiej w liście 17 stycznia 1991 roku zareagował powściągliwie słowami: „nie zasługuję na takie względy. Te kartki bardzo mnie poruszyły. Dziękuję". Ale dosyć szybko dał się wciągnąć w zabawę zaproponowaną przez poetkę, obdarowując ją starannie wybranymi humorystycznymi i nierzadko trącącymi kiczem amerykańskimi kartkami pocztowymi. Nie przypadkiem swój tom *Na brzegu rzeki* noblista zadedykował żartobliwie: „Wisławie od obrazków". Na pierwszej z kartek z 14 maja 1992 roku widniała podobizna pucułowatego chłopczyka o niezbyt rozgarniętym obliczu, ubranego w obowiązkowy czarny garnitur i białą koszulę z krawatem, przy czym portret otaczały worki z dolarami. Towarzyszące wizerunkowi hasło, przełożone z angielskiego przez Miłosza, brzmiało: „Zamień swoje dziecko w biznesmana! Nigdy nie jest za wcześnie, aby zdusić idealizm".

Ale na zwykłej zabawie wcale się nie kończyło. Jak miałem okazję napisać w publikowanej na tych łamach recenzji książki *Wisława Szymborska. Kryniccy, to przecież dla Was! Listy, karteczki i dedykacje 1966–2011* (numer 121) wyklejanki Szymborskiej wolno uznać za swego rodzaju szyfrogramy, które nabierają właściwego znaczenia zależnie od ich kontekstu. Tymi kontekstami, nieraz zresztą na siebie zachodzącymi, są: znane korespondentom okoliczności zewnętrzne, polityczne lub społeczne, poetycka twórczość Szymborskiej oraz historia sztuki.

Podobnie tutaj. Przykładem szyfrogramu pierwszego rodzaju jest wyklejanka z datą 27 listopada 1990 roku, na której damskiej dłoni ubranej w rękawiczkę to-

warzyszy doklejony tekst: „Kim wobec tego jest Szatan? Do czego naprawdę zmierza? I jak my, zwykli ludzie, możemy mu się przeciwstawić?". Autokomentarz poetki brzmi zaś następująco: „Na tej karteczce są pierwsze wrażenia z wyborów na prezydenta. Dalszy ciąg niewątpliwie nastąpi". Jak w przypisie przypomina Emil Pasierski: „Mowa o pierwszej turze wyborów prezydenckich przeprowadzonej 25 listopada 1990 roku. Do drugiej tury (9 grudnia) przeszli wówczas Lech Wałęsa i Stanisław Tymiński". Odpadł, przypomnę, Tadeusz Mazowiecki. Wymowa wyklejanki nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Z kolei szyfrogram trzeciego rodzaju może ilustrować wyklejanka z 7 listopada 2001 roku, na której, niczym na surrealistycznych kolażach, monstrualne oko przyklejone zostało do pejzażu przedstawiającego mroczne mokradła. Na odwrotnej stronie tej wyklejanki Szymborska pisze: „Siedzę cicho, ale to wcale nie znaczy, że o Tobie nie myślę i Ciebie nie czytam. Kiedy ukaże się *Traktat teologiczny*?".

Trudno powiedzieć, czy wspomniany kolaż był formą aluzyjnego odwołania do *Traktatu*, ale w każdym razie skłania on do refleksji nad związkami tego, co plastyczne, z tym, co tekstowe. Innymi słowy, wypada uważniej przyjrzeć się drugiej z wymienionych wyżej form szyfrogramów. W omawianej korespondencji przyjmuje ona postać wyjątkową – by właściwie zrozumieć utajone znaczenia tej korespondencji, nie wystarczy jedynie przywołać jako kontekst wyjaśniający wyklejanek Szymborskiej jej twórczość. Co więcej – należy także przypomnieć wiersze Miłosza. Bowiem nobliści, mając w pamięci zarówno własne utwory, jak i utwory swojego partnera, z rozmysłem posługują się znakami wizualnymi i tekstowymi, by podjąć ze sobą ukryty dialog.

Obszarem, na którym się najwyraźniej spotykają, jest natura. Kiedy Miłosz wysyła Szymborskiej kartkę z podobizną dziwacznej jaszczurki z dopiskiem „Ilustracja do Księgi Rodzaju", czy gdy do podobizny kolorowej ryby dodaje dopisek: „Nazywam się: (podobno) *Acanthurus leucosternon*" – ma być może na myśli nie tylko swoje, tylekroć wyrażane zdumienie wielorakością i osobliwością tworów przyrody, ale również wiersze Szymborskiej. Takie choćby jak *Urodziny*, gdzie padają słowa: „Tyle naraz świata z wszystkich stron świata: […] Motyle, goryle, beryle i trele – / dziękuję, to chyba o wiele za wiele". Natura budzi podziw poetów, ale również poraża ich swoją, niedającą się poznać i objąć, liczbą czasem komicznie monstrualnych form. Zarówno Miłosza, jak i Szymborską intryguje oraz zmusza do nieustępliwego namysłu świat pozaludzki, obecność istot nam bliskich, a niezrozumiałych, pozornie dających się opisać, a przecież zagadkowych w swoim byciu. Skłaniających do upartego przenoszenia niedostępnego w sferze natury do bardziej zrozumiałego w domenie kultury. Jak tutaj: dosyć w istocie bezradnych zabiegów nazywania i porządkowania naszych „braci mniejszych" czy to w formie rymowanej wyliczanki, czy przyszpilenia ich uczoną łacińską nazwą.

Najbardziej wymowny staje się plastyczno-tekstowy dialog noblistów na te-

mat małp. Kiedy Szymborska uroczy profil szympansa uzupełnia przyklejoną do jego czaszki karteczką z napisem „drgnęło", nie jest to jedynie żart, skoro nasze pokrewieństwo z małpami jest dla niej kwestią pierwszorzędną. Nie przypadkiem małpa to „uboga krewna, / chociaż się sobie nie kłaniamy" (*Małpa*). Znakomicie ilustruje to zabawny kolaż przedstawiający łańcuch ewolucji gatunkowej opatrzony dopiskami naśladującymi – od *australopithecusa africanusa* – wpierw rozmaite nieartykułowane pomruki, by dopiero *homo erectus* „zadał pytanie": „Hę?", *homo neanderthalensis* „stwierdził": „Tak, to ja!", a *homo sapiens* „konkludował": „No to koniec!". Bowiem dla poetki najważniejszy jest język, zdolność wypowiadania myśli i uczuć, wyraz świadomości i samoświadomości. Wyklejanki z małpami, zresztą nie tylko w tej korespondencji, stanowią ważne plastyczne *pendant* do wierszy, które Szymborska poświęciła tym stworzeniom. Przy czym, przeciwnie niż w poezji mówiącej o cierpieniu, które zadają im ludzie – jak choćby w *Zwierzętach cyrkowych* czy w *Dwóch małpach Bruegla* – wyklejanki utrzymane są zazwyczaj w tonie żartobliwym.

Trafia w ten ton Miłosz, pisząc na odwrocie kartki z podobizną zamyślonego gibbona: „Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że smutek kosmiczny małpy Pani najlepiej może ocenić" (kartka z 15 grudnia 1993 roku). Podobnie kiedy własną wyklejankę z parą małych orangutanów, przebranych w dziecięce ubranka oraz intensywnie wpatrzonych w obiektyw, opatruje komentarzem: „Wrodzony sceptycyzm człekokształtnych". Dobrze rozumie tak dotkliwą również dla Szymborskiej, opisywaną w wielu jej wierszach pograniczność ludzkiej natury zawieszonej pomiędzy zwierzęcym i człowieczym, świadomym i nieświadomym, cielesnym i duchowym. Wystarczy przypomnieć *Świadomość*.

Jeśli podążać tym tropem, łatwo zauważyć, że poza wspólnym dla obydwojga poetów obszarem porozumienia w poglądzie na naturę rozciąga się sfera, w której się zasadniczo różnią. Obrazek łańcucha ewolucji gatunkowej skłania do przywołania postaci Karola Darwina. Znamienne, jak odmiennie poeci go portretują. Szymborska w wierszu *Pociecha* przypomina pewien szczegół biografii uczonego:

> Podobno dla wytchnienia czytywał powieści.
> […]
> naoglądał się tylu wymarłych gatunków,
> takich tryumfów silnych nad słabszymi,
> tak wiele prób przetrwania,
> prędzej czy później daremnych,
> że przynajmniej od fikcji
> i jej mikroskali
> miał prawo oczekiwać happy endu.

Miłosz inaczej:

> Karol Darwin, niedoszły duchowny, z żalem ogłosił
> swoją teorię doboru naturalnego, przewidując,
> że będzie służyć teologii diabelskiej.
> (*Traktat teologiczny*)

Szymborska odmiennie niż Miłosz pojmuje sens śmierci i cierpienia ludzi oraz innych zwierząt. Jeśli wszystkie stworzenia pożerają się nawzajem, to sprawia to głód, który jest warunkiem przetrwania: „Zjadamy cudze życie, żeby żyć" (*Przymus*). Jeśli „lwica zziajana i głodna" dopada uciekającej antylopy, to uwagę poetki przykuwa korzeń, o który antylopa się niechcący potyka (*Zdarzenie*). Innymi słowy, całym istnieniem według Szymborskiej rządzą z jednej strony niewzruszone prawa natury, z drugiej – wszechwładny i wszechobecny przypadek, który można inaczej nazwać koniecznością. Taki stan rzeczy budzi w poetce sprzeciw w imię współczucia dla ofiar, a zarazem melancholijną w tonie akceptację.

Miłosz natomiast będzie gwałtownie oponował nie tylko z tego powodu. Pisze: „To nieprawda, że jesteśmy mięso, / Które przez chwilę gada, rusza się, pożąda. […] Na mojej własnej potrzebie uwielbienia / Opieram przekonanie o co dzień odnawianej hierarchii" (*O nierówności ludzi*). Odkryta przez Darwina zasada istnienia służy „teologii diabelskiej", bowiem nie tylko afirmuje „tryumf silnych nad słabszymi", ale ponadto – skoro jednostka może stać się wymienną cyfrą, zostać pochłonięta przez masę – przekreśla uprzywilejowaną zgodnie z Biblią pozycję człowieka. Staje się źródłem rasizmu, dyskryminacji i ludobójstwa. Wszystko to nie godzi się z wyobrażeniem miłosiernego Stwórcy, któremu poeta rzuca w twarz oskarżycielskie pytanie: *unde malum*? Tym bardziej, że świat pozaludzki został wykluczony z planu Zbawienia. Szymborską dziwiłoby zadane w poemacie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* pytanie: „– Czy ułaskawimy kondora? / Nie ułaskawimy kondora. / Ginie, bo nigdy nie jadł z drzewa wiadomości", ponieważ perspektywa metafizyczna czy religijna jest w jej poezji nieobecna. Owo drzewo to dla poetki jedynie fragment zbioru kulturowych symboli, zaś pojęcie grzechu pierworodnego należy do sfery mitu.

Krótko mówiąc, jest to książka, która poza swoimi niewątpliwymi walorami poznawczymi i ludycznymi, skłania również do ponownej lektury wierszy obydwojga noblistów, kreślenia nieoczywistych paralel, uwalniania w pamięci i w wyobraźni zaskakujących skojarzeń.

Aleksander Fiut

Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, *Pod dyskretną opieką Wielkich Mocy. Listy i nie tylko*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024

„Mistykę trzeba robić"

Dwoje ludzi, zmuszonych stale przezwyciężać duże fizyczne ograniczenia, rozmawia z sobą listownie w głębokim porozumieniu. Korespondencję inicjuje Joanna Pollakówna, ceniona poetka, historyk sztuki, autorka prac krytycznych i esejów o malarstwie oraz książek dla dzieci. Adresatem jest Józef Czapski, znany z esejów, publicystyki, reportaży, dzienników; artysta, którego życiową pasją było malarstwo, autor głośnych nie tylko na emigracji świadectw najgorszych przejawów okrucieństwa historii XX wieku.

Listy te, od 1980 roku różnymi drogami krążące między Warszawą a siedzibą „Kultury", zostały niedawno opublikowane nakładem Znaku (2024), w opracowaniu Agaty Bielak, ze wstępem w formie dialogu autorki opracowania z Janem Zielińskim.

Przedstawiając oboje korespondentów, Jan Zieliński kreśli sylwetkę Czapskiego, zaczynając od zdania: „malarz i pisarz, świadek wieku XX; urodzony w roku 1896 w czeskiej Pradze w kosmopolitycznej rodzinie arystokratycznej, syn Józefy hr. Thun-Hohenstein i Jerzego Hutten-Czapskiego, wychowany w Pałacu pod Mińskiem […]".

O Joannie Pollakównie: „urodzona w roku 1938 w Warszawie, w rodzinie literatów (matka Wanda Grodzieńska, ojciec Seweryn Pollak), którzy w czasie wojny musieli się ukrywać ze względu na żydowskie pochodzenie; zaraz po wojnie mieszkająca z rodzicami w łódzkim Domu Literatów […]".

Współtwórca i lokator niezwykłego ośrodka „Kultury" w Maissons-Laffitte Józef Czapski zmarł w roku 1993, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Ten pisarz, malarz, żołnierz i więzień sowieckich obozów był intelektualnym przyjacielem niejednego artysty i literata. Na jego „liście adresowej" byli Jerzy Giedroyć, Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz, Aleksander Wat, Jerzy Stempowski, Konstanty Jeleński, Zygmunt Mycielski, Ludwig Hering, Jarosław Iwaszkiewicz, Leszek Kołakowski, Andrzej Wajda, Adam Zagajewski…

Michał Paweł Markowski w przedmowie do korespondencji Czapskiego ze Sławomirem Mrożkiem tak przedstawiał Józefa Czapskiego: „arystokrata, spokrewniony z najlepszymi familiami świata […], członek jednego z najważniejszych rodów późnego średniowiecza, odnajdujący co rusz koligacje w Almanachu Gotajskim".

Przypomniawszy możliwie krótko podstawowe szczegóły biograficzne, autorzy wstępu zwracają uwagę czytelnika na istotę tej korespondencji. „Różnice są może nie pozorne, ale tylko zewnętrzne – pisze Agnieszka Bielak. – Nawet ponad cztery dekady historii, jaka działa się między datami ich narodzin, nie usuwa tego, co najistotniejsze – wspólnoty ducha". Zwraca naszą uwagę na ważne, choć – jak mówi – także „zewnętrzne" podobieństwa: „fizyczna kruchość ciała kryjąca duchowe potęgi; […] bardzo wysokie wymagania wobec siebie – wewnętrzny imperatyw jak najpełniejszego wykorzystania, wbrew wszelkim przeciwnościom, »tu i teraz« […], głębokie zakorzenienie w historii […]".

Główny temat listów wymienianych przez jedenaście lat przez malarza i poetkę stanowi malarstwo, czyli twórczość; w istocie to, co najważniejsze.

Korespondencję zainicjowała Joanna Pollakówna na początku 1980 roku. Jej pierwszy list nie zachował się, lecz z obszernej odpowiedzi Józefa Czapskiego (maj 1980) wiemy, że poetka posłała mu swój opublikowany w 1977 roku w „Miesięczniku Literackim" artykuł *Głód nowoczesności*, opisujący całościowo twórczość polskich kapistów, czyli Komitetu Paryskiego, do którego Czapski należał. Malarz odpowiedział długim, serdecznym

i pełnym rzeczowych uwag oraz dopowiedzeń listem, za którym podążył ten poważny i szczególny dialog.

W kolejnym liście Joanna Pollakówna podzieliła się z malarzem niepewnością, czy nawet obawą o to, że „lubowanie się materią koloru" to może być „zwycięstwo materii nad duchem". Czapski wyznał w odpowiedzi: „Pani uwagi o delektacji w malarstwie są właśnie w ostatnich miesiącach punktem newralgicznym i mojego o malarstwie myślenia i dużo o tem pisałem w dzienniku" (wszystkie podkreślenia autora listu). I rozwijając ten wątek, ilustrując go przykładami (Bonnard, Cezanne), wyjaśniał i przekonywał, „że Kapiści jako Polacy odkryli stosunek malarski, więc zmysłowy, do koloru jako takiego, to był nie koniec ale to był punkt wyjścia reakcji na złe malarstwo […]".

Zanim jednak odniósł się do kwestii estetycznych, na początku listu umieścił między innymi te zdania: „Pierwsze jednak, proszę mi powiedzieć, napisać o Pani chorobie […]. Dla mnie jest [to] ważniejsze niż Pani i moje poglądy o malarstwie. […] pisząc do Pani i czytając Pani list czy wiersze nie mogę obcować z Panią jako abstrakcją. A choroba daje inne spojrzenie i inną głębię spojrzenia […]. Kropka. Czekam na odpowiedź".

I odpowiedź przychodzi, powściągliwa, wyjaśniająca. A w ślad za listami idą też bezpośrednie spotkania i rozmowy, kiedy poetka z mężem podróżują do Francji. I pojawia się bliskość, więc nie zaskakuje wyznanie Józefa Czapskiego zamykające list z 27 kwietnia 1981 roku: „Pani wybaczy […], ale naprawdę parę Pani listów i ten odczyt o moim pisaniu był dla mnie przeżyciem, po którym chciałem powiedzieć: »mam wrażenie, że mi się córka narodziła«!!".

Dalsze listy zawierają sporo niejednokrotnie szczegółowych informacji o aktualnych pracach, lekturach, przemyśleniach. Mimo poważnej, znacznie utrudniającej pracę choroby Joanna Pollakówna jest w dekadzie lat osiemdziesiątych niezmiernie aktywna. Informuje korespondencyjnego przyjaciela o aktualnym pisaniu, udziale w konferencjach, o swym uczestnictwie w przygotowywanych wystawach, dzieli się opiniami. Podejmuje niełatwe i wymagające wytrwałości starania o publikację, o krajowe edycje literackich szkiców Czapskiego, które w jej opracowaniu i z posłowiem ukazują się w Znaku w 1983 roku pod tytułem *Patrząc*. W 1986 roku w Oficynie Literackiej (przypomnijmy – to drugi obieg) wydaje *Dzienniki, wspomnienia, relacje*; tom będący rezultatem własnego wyboru poetki.

Patrząc, eseje przede wszystkim o malarstwie, ukazujące się w ponurym roku stanu wojennego, teksty autorstwa emigracyjnego malarza i pisarza, którego nazwisko i twórczość przez kilkadziesiąt lat cenzura konsekwentnie usuwała z wszelkich mediów i wydawnictw, wzbudziły znaczne zainteresowanie. W liście datowanym 15 kwietnia 1983 roku Józef Czapski pisał:

„Miła droga Pani Joanno

właściwie musiałbym co dzień Pani pisać, jak wzrusza mnie ta moja prawie

przez Panią napisana książka. Nie widziałem nigdy książki tak serdecznie i mądrze »ubranej«. Te przypisy!! […] ta uwaga serca i inteligencji aż po nakład, gdzie mi piszą, że książki już dostać nie można i gdzie kosztuje jak pół kilo kawy!!" (Tu wypada dać przypis: Prawdziwe książki i prawdziwa kawa były w latach osiemdziesiątych dobrem pożądanym i równie trudnym do zdobycia).

Pollakówna posyła Czapskiemu ukazujące się tomiki swoich wierszy, najpierw *Powolny pożar* (1980), następnie *Rodzaj głodu* (1986). Malarz jest niezmiennie zainteresowany jej twórczością poetycką, to także stały wątek korespondencji, podobnie jak problematyka historii malarstwa, nie tylko współczesnego. Oboje korespondenci fascynują się również malarstwem barokowym, w kilku listach obszernie rozmawiają o martwych naturach między innymi Juana Sáncheza Cotána, którego Czapski odkrył dla siebie w 1952 roku i o którym pisał w „Kulturze" w roku następnym. Joanna Pollakówna, również będąca pod silnym wrażeniem tych niezwykłych obrazów, analizowała martwe natury Cotána w „Znaku" w 1986 roku, widząc w tych obrazach zbiór pytań bez odpowiedzi. Jest wśród nich dość zasadnicza kwestia „nowoczesności".

Przyglądając się tym i innym dziełom, poetka i malarz rozmawiają o umowności podziałów na epoki i style, o kryteriach klasyfikacji estetycznych, są skłonni wątpić w poznawczą wartość chronologii w historii nie tylko sztuki. „Ja już historykiem jestem coraz mniej…" wyznaje Joanna Pollakówna w 1982 roku, w którym ukazuje się monograficzne studium *Malarstwo polskie między wojnami 1918–1939*. O względności klasyfikacji niejednokrotnie pisze Józef Czapski, choćby w 1986 roku, stwierdzając: „różne epoki zlewają się ze sobą, […] przed hałasem kapistów była wielka malarka Boznańska…". W innym miejscu kontynuuje: „Zupełnie byliśmy ślepi na zalety malarzy symbolistów i innych tamtej epoki".

Czytam listy, które wysyłali do siebie malarz i znawczyni sztuki, oboje bardzo wrażliwi, nieschematycznie myślący, niepasujący do stereotypów, delikatni, uważni i odważni intelektualiści. Rozmawiają o sztuce, o twórczości, zatem nic co ludzkie nie jest im obce. Zwłaszcza cierpienie, które oboje znają w nadmiarze; choć każde z nich doświadczało cierpień innego rodzaju, oboje wiedzieli, że ból i sens jest wspólny. Kiedy malarz pyta Joannę Pollakównę o znajomość pism Simone Weil, poetka odpowiada: „Znam. Są dla mnie ważne. […] Podejrzewam, że zapytał mnie Pan o Simone Weil – jakby jakoś na marginesie lektury moich wierszy, bo jest wśród nich kilka może małodusznie zbuntowanych przeciw nieszczęściu – tak bardzo wbrew właśnie Simone Weil".

Kiedy – nieco później – Józef Czapski wyzna, że „Mistykę trzeba ROBIĆ" – to zaraz doda – „a nie ją podglądać i o niej pisać, jak ja robię. […] pocieszam się słowami Montaigne'a: »Wiara to jest dobra rzecz, ale wątpienie także jest dobre«".

Zaledwie fragmentarycznie próbuję tu anonsować „istotną rozmowę" dwu

osób niezwykle dzielnych i w cierpieniu heroicznych, prowadzoną ponad determinizmami fizycznymi i granicami politycznymi. Prawie pomijam dyskretnie obecny w listach ślad chrześcijańskiej konfesji obojga artystów, jakby zatrzymany na progu, może cofający się przed choćby potencjalnym niebezpieczeństwem wyznaniowej identyfikacji? Do indywidualnej lektury pozostawmy też stały i poruszający wątek serdecznej przyjaźni.

Oboje korespondenci są zarazem literatami, nie tylko w esejach, wierszach, relacjach i właśnie w listach. Wszak korespondencja to też literatura. Faktu i fikcji zarazem. Zwłaszcza listy pisane w wiekach XIX i XX mogą w każdym, również estetycznym wymiarze konkurować z prozą fabularną.

Obecną edycję listów Józefa Czapskiego i Joanny Pollakówny poprzedziła publikacja *Najwyższy człowiek świata* Adama Zagajewskiego, który przed swym niespodziewanym odejściem przygotowywał o starym mistrzu eseistyczną książkę, zawierającą także listy ich obu, których daty urodzenia dzieliło pół wieku. Czytając ową publikację, kolejny raz przekonywałem się, że im więcej ukazuje się nieznanych wcześniej tekstów, tym bardziej rośnie postać autora; w przypadku Czapskiego już z natury wysoka. „Największy malarz (198 cm) Paryża" – tak podpisał Adamowi Zagajewskiemu w dedykacji swój rysowany autoportret.

Teraz dodajmy do tej galerii wzbogacony literacki portret Joanny Pollakówny, poetki, pisarki, znawczyni nie tylko malarstwa.

Andrzej Zawada

„Mistykę trzeba robić". Listy Józefa Czapskiego i Joanny Pollakówny, opracowanie Agnieszka Bielak, wstęp Agnieszka Bielak i Jan Zieliński, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024

Gabinet lektury

Ocalenie Czesława Miłosza to mój początek, inicjacja w świat wierszy: tomik Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" z 1945 roku, z pieczątką ojca, z domowej biblioteki, pierwszy, jaki przeczytałem. Miałem dziesięć lat i niewiele zrozumiałem, ale nastrój i ton tej książki przeniknęły mnie i powrotnie wypełniły, jak się okazało w rozstrzygający sposób.

Największe wrażenie zrobił *Świat (poema naiwne)*, z którego wiersz *Miłość* nauczyłem się na pamięć i był to pierwszy nauczony przeze mnie na pamięć wiersz. Nie wiedziałem, kim jest autor, ale szybko usłyszałem, że z Wilna. Po ponad dziesięciu latach zetknąłem się z jego książkami, które dostawałem od Jerzego Andrzejewskiego: tomami Instytutu Literackiego, amerykańskim wyborem *Selected Poems* z 1973 roku, potem wydaniami bezdebitowymi i po Noblu opublikowanymi w „Czytelniku" *Poezjami*, z proroczą dedykacją. Nie mogłem marzyć, że kiedyś poznam ich autora, będę z nim spotykał się, rozmawiał, współpracował, ogłaszał wiersze, prozę i wypowiedzi, pisał o każdej książce i zostanę jego przyjacielem.

„Wierzę mocno w bierność poety, który wiersz otrzymuje w darze od sił jemu nieznanych i ma zawsze pamiętać, że dzieło, które stworzył, nie jest jego zasługą" – wyznał w *Przypisie po latach* do *Wierszy tom 1* w 2001 roku.

Ocalenie otwiera *Przedmowa*, w której mówi: „Ty, którego nie mogłem ocalić, / Wysłuchaj mnie. / Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej. / Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów. / Mówię do ciebie milcząc, jak obłok czy drzewo". […] To, że chciałem dobrej poezji, nie umiejąc, / To, że późno pojąłem jej wybawczy cel, / To jest i tylko to jest ocalenie".

Bliskie, niektóre jakby od razu wewnętrzne linie, fragmenty i wiersze, chociaż ich nie rozumiałem: *W mojej ojczyźnie*, gdzie „Śpi w niebie moim to jezioro cierni", *Siena*, do której pojechałem zainspirowany tym jej obrazem, *Spotkanie* z: „Miłości moja, gdzież są, dokąd idą / Błysk ręki, linia biegu, szelest grud – / Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia", *W malignie 1939* ze słowami: „Ja nic. Ja muszę – iść. / I tylko dalej i dalej, i dalej", *Rzeka* – o rzece mojego dzieciństwa, *Kraina poezji*, czyli ścieżki tonów, granica dźwięków jeszcze niespełnionych, „Lot, lot", baj, cienie, żegnanie i witanie, opłakiwanie i radość, budowanie na zgasłych tonach, *Piosenka pasterska* z „czystą, wiecznie żywą wodą" i „wiosną zatopioną w lecie", *Walc*, a w nim ruch ciał, świateł i marzeń, *Campo di Fiori* i okrutna obojętność świata, zapowiedź tego, na co dziś patrzymy w trwodze, *Głosy biednych ludzi*, a wśród nich *Piosenka o końcu świata* i *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, o którym pamiętnie napisał Jan Błoński, *Los* i w nim wiersze chodzące jaką kto chce drogą, *Pożegnanie* o trudzie męskiego wieku i *W Warszawie* z gruzami katedry, Wisłą, wiatrem, pyłem rumowiska, brzemieniem nie na moje siły, chwilami radości, ocalonymi wyrazami.

I przede wszystkim *Świat*, czytany wtedy i widziany oczami dziecka – arkadyjska sielanka, ale i zło, groźne, zagrażające życiu. Realno-naturalistyczny opis przeszyty metafizyką. Znałem to z chłopięcych doświadczeń: gwiazdy, ścieżka, światło, świt, matka, cienie, ojciec, księżyc, ciemność. I droga ze szkoły, drzewa, furtka, wnętrze domu, schody, książki, okno, obłoki, czyste i głębokie niebo, wieże miasta, mapa Europy, tak jak: ptaki, trwoga, zgubienie, przepaść, odnalezienie, słońce, barwy, płomienie.

W wierszu *Wiara* mówi: „Co nie ma cienia, istnieć nie ma siły". W *Nadziei*: „Wejść tam nie można. Ale jest na pewno". A w *Miłości*: „Nie ten najlepiej służy, kto rozumie".

I słowo, które to określa – ocalenie i łączące się z nim: ocaleć i ocalały, ocalić i ocalony, które kilkaset razy występują w Biblii, od początku do końca.

Ta książka do mnie wracała, w różnych wydaniach i odsłonach, jak na przykład przygotowane przez Wydawnictwo Literackie bibliofilskie wydanie – fotokopia oryginału, tysiąc numerowanych egzemplarzy, mój ma 0001: dwadzieścia napisanych ręcznie kart spiętych w całość. I w osiemdziesiątą rocznicę powstania edycja faksymile rękopisu opracowana w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską: jak kaligraficzne ćwi-

czenie dokonane ręką dziecka i napisany zieloną farbką tytuł. Także reprint oryginalnego wydania Wierszy Jana Syrucia ogłoszonych w 1940 roku w Warszawie w nakładzie czterdziestu sześciu egzemplarzy, przygotowanych na powielaczu przez autora, jego żonę Janinę i Jerzego Andrzejewskiego, pierwsza pod okupacją polska książka.

Dawne słowa: „poema" i „naiwne", a więc dziecięce lub przeznaczone dla dziecka. Prosty styl, łatwy rytm, naturalne rymy, i tak jak w *Spotkaniu*: obserwacja i konkret.

Bohaterem jest chłopiec i mamy do czynienia z jego patrzeniem i widzeniem, także stylizacją na mowę dziecka, chociaż raz po raz przełamywaną, jakby dwa głosy w nim mówiły: on i dawny on, a może on lub dawny on i *daimonion*.

Odkrywana i badana tajemnica: kierunek i ruch, wprowadzanie. Labirynt, który staje się jasną i prostą drogą tuż za progiem domu, ale i daleką, jakby bez końca, kosmiczną, międzyplanetarną. Dom i słońce to dwa centra. I ojciec – jego ogród i biblioteka, a w niej Księga. Opowiadana przez niego przypowieść otwiera wymiar metafizyczny, czy może lepiej powiedzieć: religijny. Matka jest jakby głosem Natury. *Wiara*, *Nadzieja*, *Miłość* to synteza ich głosów i jego, głos poety. Zatwierdza swoją tożsamość, w szczytowej *Miłości*, która jest rezygnacją z ja i przyobleczeniem się w Ja wyższe, to nic, że może niezrozumiałe, ale przecież bliższe od innych, najbliższe z tych wszystkich, które się zna, jak Ja Jezusa.

To właściwie traktat metafizyczny, a może wyznanie wiary. Trzy fundamentalne cnoty chrześcijańskie, z których Miłość, tak jak w Biblii, jest najważniejsza. W kontekście obecny jest Święty Tomasz i całość istnieje właśnie na tym przecięciu: chłopiec / wielki filozof. Dzieci, nie widząc, wiedzą. A mędrcy, ci najwięksi, widzący, głoszą, że nic nie wiedzą.

Ciemny las, jak na początku *Boskiej komedii* – i głos ojca. Do Boga dociera się przez dane przez Niego zmysły: wzrok, węch, smak, słuch i dotyk. To wielkie bogactwo, dar i czynione dziękczynienie, w pokorze i miłości. Wierność temu, co się widzi: rzeczywistości i swojemu widzeniu. Pełnia harmonii i światło.

A więc bajka lub powiastka dla dzieci podszyta traktatem teologicznym. Napisana wśród ruin i gruzów w kwietniu 1943 roku w Warszawie i czytana na początku lat sześćdziesiątych w Toruniu i potem w wielu powrotach.

Raj, idylla i zło – zniszczenie i zagłada: rozbicie i śmierć, i promienie i blask.

Czesław Miłosz, *Ocalenie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024. Złożone krojem Milosz.

*

Jan Kochanowski to do początku dziewiętnastego wieku, jak stwierdza Miłosz w *Historii literatury polskiej*, najwybitniejszy słowiański poeta, człowiek „o głębokiej postawie religijnej" i „głębokiej pobożności" – coś, co jest nie do pojęcia dla wielu dzisiejszych autorów wierszy, nagradzanych chyba właśnie za to.

W trzynastym tomie „Dzieł wszystkich" ukazały się *Poematy* w obszernym krytycznym i filologicznym opracowaniu. Blok

ośmiu utworów otwiera *Zuzanna*, w pierwszej wersji napisana w języku łacińskim, poetycka parafraza starotestamentowej opowieści z Księgi Daniela. Pan wzbudza ducha (hebr. *ruah*) w młodziutkim proroku; *ruah* oznacza także ludzką świadomość i obecność w człowieku transcendentnej siły, zarówno tej złej, jak i dobrej, wtedy jest duchem świętym. Daniel ratuje cnotliwą Zuzannę, a dwaj okrutni i podstępni starcy zostają ukarani. Struktura klamrowa utworu jest innowacją Kochanowskiego, dodaje tej historii nowe cechy poematu dydaktycznego: niech źli nie postępują źle, bo nie unikną Bożej kary.

Szachy to pierwsza w literaturze polskiej próba poematu heroikomicznego, konwencja romansowa operująca prostym stylem: na dworze duńskim dwóch młodzieńców rywalizuje o rękę pięknej królewny. Prawie połowa tekstu to przekład lub parafraza łacińskiego pierwowzoru Vidy – „hybryda literacka", imitacja modelu naśladującego „w sposób piękny, lecz niewierny".

Muza rozpoczynająca się inwokacją, sławnym zwrotem-motywem: „Sobie śpiewam a Muzom –" i nadzieją, „że przedsię za laty / Nie będą moje czułe noce bez zapłaty, / A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy, / To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy" – jest poematem programowym, rodzajem traktatu o godności pracy twórczej, patchworkiem, zlepkiem literackim, do tego erudycyjnie wieloimitacyjnym, co zaciera ślady: „O śpiewaniu sobie samemu mówi się, gdy ktoś robi coś nie z woli kogoś innego, lecz podążając za swym sercem". Jaka korzyść może być z rymów prócz „próżnego dźwięku"? Jednak Muzy, boginie święte, dziewięć córek Mnemozyne, mają wielką moc i nawet „niemym rybom" mogą dać cudowny „głos łabęci", a mężnym i zasłużonym wieczną pamięć ludzką dzięki poetyckim strofom, tak jak czyni to Kochanowski, przywołując wzór poetów kanonicznych renesansu: Homera, Pindara, Wergiliusza i Horacego, i chcąc odwdzięczyć się arcybiskupowi Piotrowi Myszkowskiemu, najbliższemu współpracownikowi króla Zygmunta Augusta, adresatowi sławnej dedykacji w *Psałterzu Dawidów*, za jego hojność i łaskę, a przy okazji samemu zasłużyć na żywot wieczny: „Kiedy ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki, / Ogniu rowien prędkiemu przeniknę obłoki"; nawiązuje tu do stoickiego obrazu ognia jako logosu lub opatrzności. Pieśni zostaną ocenione w przyszłości, a podstawą ich wartości będzie to, że przetrwały – nadzieja na przyszłą sławę wzgardzonego za życia poety odwołuje się do wspaniałej tradycji horacjańskiej, złączając z nim swój głos i harmonijnie współbrzmiąc.

Monachomachia to pierwszy polski przekład z języka greckiego III księgi *Iliady*, zakładający według renesansowej maniery możliwość chrystianizacji treści oraz naśladowanie (*imitatio*) pokazujące indywidualność tłumacza. W objaśnieniach i we wstępie językowym obserwujemy gry słów, wersje i różnice pokazywane w odwołaniach do greckiego oryginału. Widzimy inspiracje, modyfikacje i pomysły Kochanowskiego, wierność i odstępstwa od oryginału, także innych przekładów czy parafraz łacińskich: coś opuszcza,

coś dodaje, zmienia, kształtuje składnię, wprowadza synonimy, skróty, innowacje, konsekwentne użycia i zaniechania, chrystianizuje wymowę, pokazuje piękno staropolszczyzny, jej ścisłość, dyscyplinę, możliwości stylistyczne i rytmiczne.

Z kolei *Dziewosłąb* to poemat dydaktyczny o funkcji perswazyjnej, pochwała cnoty i dążenie do niej.

Epitalamium, czyli swat stanowi parafrazę pieśni weselnej wziętej z Katullusa; forma dialogiczna, jakby ćwiczenie przed *Pieśnią świętojańską o Sobótce*. Wstyd (*pudor*) i cnota (*virtus*) to wartości najwyższe, stoickie i chrześcijańskie. Wyznaje, że jego wolą jest rozróżnienie dwóch warstw: „poglądów siostry poety, opierających się na ideach zaczerpniętych wprawdzie z różnorodnych źródeł, ale tworzących spójną całość (*sensus*)" i „uformowanej z nich literackiej wypowiedzi (*oratio*). Można z tym oświadczeniem zestawić zdanie, rozpoczynające pierwszy z paradoksów Cycerona, w którym broni on prawa do tytułu autora, przysługującego osobie, która z dobranych przez siebie różnych genetycznie składników (będących fragmentami jej lektur), wytworzyła nowy zwarty tekst"; jak dodaje: „Obawiam się, aby komuś z was mowa ta nie wydała się wziętą z dysput sokratyków, nie zaś z moich własnych poglądów".

Broda to erudycyjny żart towarzyski, w którym od początku dominuje ton żartobliwy (apostrofa do Apollina), rodzaj panegiryku, z odwołaniami do platońskiego idealizmu lub aluzyjny utwór erotyczny.

Marszałek – list poetycki, tak zwana obmowa (w znaczeniu: usprawiedliwienie, wymówka) z nieobecności u boku marszałka, niestawienia się na jego wezwanie.

Powrót do Jana Kochanowskiego to powrót do źródła, co ważne i bezcenne w zalewie językowej brei, bełkotu i barbarzyństwa.

Jan Kochanowski, *Poematy*, „Dzieła wszystkie", Wydanie Sejmowe, tom VIII, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2024

*

Stanley E. Gontarski omawia pięć według niego najważniejszych oraz dwadzieścia dziewięć krótszych utworów Samuela Becketta. Druga połowa XX wieku to dla Irlandczyka czas pisania opowiadań i powieści, najbardziej twórczy okres, w którym powstają między innymi *Watt*, *Mercier i Camier*, *Wypędzony*, *Pierwsza miłość, Środek uspokajający*, *Molloy*, *Malone umiera, Nienazywalne* i w 1948, żeby odetchnąć od męczącej prozy, która wpędza go w depresję, pisze „dla rozrywki" *Czekając na Godota* oraz w 1951 kończy *Teksty na nic*. A przecież tłumaczy to, co napisał w zależności na język angielski lub francuski, a jak wyjaśnia Gontarski, są to nie tłumaczenia, ale nowe dzieła.

Przytacza jego zdaniem jeden z najbardziej emblematycznych wierszy Becketta, odnaleziony pośród addendów do *Watta*: niezatytułowane, ośmiowersowe pytanie, które stanowi fundamentalne wyzwanie dla każdego, kto chce mówić o jego twórczości, którą krytyk nazywa „zamkniętą w słowach nicością", dodajmy, że z błyskami i przebłyskami światła, jakiego nie zobaczymy u innych pisarzy,

w której dzieje się (wydarza) nic, niedające spokoju i w efekcie dominujące, jak niezwykły aforyzm Demokryta z Abdery: „Nic nie jest bardziej rzeczywiste niż nic". Frazy i utwory pełne ciszy, choć niekiedy wydaje się, że są przegadane, ta dialektyka: nic i coś, obecność i nieobecność, próżnia i pełnia, bycie i niebycie (niebyt), naszpikowane aluzjami, cytatami, parafrazami, odniesieniami także jakże często do Ksiąg Starego i Nowego Testamentu, bez których nie byłoby Becketta i jego bohaterów, będących uosobieniem chrześcijaństwa, dlatego wielu może z nimi tak bardzo się utożsamiać, ale też wielu – nie. Na przykład nawiązania do fragmentów o dwóch złoczyńcach ukrzyżowanych wraz z Chrystusem, z których jeden został zbawiony, co stanowi „przyzwoity procent". I tak jest naprawdę! – reszta to mniej lub bardziej żałosne przypuszczenia, w jedną lub w drugą stronę tak jak równie bezsensowne: czy to tragedia czy komedia?

Kolejna „pseudopara" – dwa aspekty jednego „ja", z uwagą skierowaną na osobowość jednostki i to, kim jest. Problematyka tożsamości i problematyka zbawienia to dwie strony tego samego medalu. Z jednej jest rzeczywistość, czyli jawa, a z drugiej wynikające z niej marzenia, wizje, widzenia, rojenia, wyobrażenia, sny. Ci dwaj, którzy pod drzewem czekają na Godota, są wierni – czekają na Boga, a więc wierzą w Niego i mają nadzieję na Jego przyjście. Za mało, za słabo, nie tak, jak w miłości, to już dla każdego inna sprawa i niech konfrontuje ją ze swoim życiowym doświadczeniem – gdyby były jakieś dowody, wiara byłaby niepotrzebna. „Nie traćmy czasu na próżne gadanie" – mówi Vladimir. Nadzieja jest jakby poza nim, w dziele sztuki, w którym gra napisaną dla niego rolę, na którą nie ma właściwie żadnego wpływu. Tkwi w pułapce? Jednak warto do niej zajrzeć.

Egzegezę *Końcówki*, ulubionej sztuki Becketta, Gontarski zaczyna od cytatu z *Dziejów Apostolskich* i stwierdzenia, że nosił on w sobie „kilka osobowości i tożsamości, które niejednokrotnie były w opozycji wobec siebie". Wszystko, co trzeba wiedzieć o tym utworze, jak i o innych, znajduje się w tekście, o czym nie raz wypowiada się sam autor. Tak jak na przykład w Biblii: jest to, co powinno być, i tyle, ile powinno. Reszta to sprawa twojej głowy, serca i ducha, czyli rozwoju, przemiany (*metanoia*), a właściwie całej serii przemian. Jak stwierdził Beckett, każdy człowiek ma swoje własne światło – chyba, że zgasło lub zrobiło się czarne. Węzłowy dla bohaterów i całej sztuki cytat umieszczony jest przez Gontarskiego na początku jego omówienia. Zwraca uwagę na ważność schematów, ech i symetrii, także na zasadę analogii, która ma tu fundamentalne znaczenie: on i ja, ja i on, ten węzeł. Utwór to partytura, w której równorzędną rolę grają cytaty słów, fraz i sytuacji, powtórzenia, dwoistość, echa, odbicia, przetworzenia, paralele, pogłosy, uwięzienia i uwolnienia, niechby tylko pozorne lub na krótko. Na przykład Clov nie ma własnego języka, więc imituje Hamma i przez tę imitację, w niej i poza nią, wypowiada siebie i swój niewypowiedziany świat. Gra

czy nie gra? Tym i kim jeszcze jest? Żyje jak w klatce. Do pewnego miejsca jest to tylko literatura, z akcentem na: tylko.

„Nic nie jest tak śmieszne jak nieszczęście" – mówi zamknięta w kuble Nell, a dla Becketta to najważniejsze zdanie w utworze. Te napięcia: szczęście – nieszczęście, wolność – niewola, życie – śmierć, światło – ciemność, białe – czarne, komedia – tragedia i im podobne. Ale dla spektaklu potrzebny jest widz lub słuchacz, więc go lub ich się stwarza – w sobie czy na zewnątrz, w utworze lub w rojeniach o utworze, który powstaje w natchnieniu, w bólach i w męce. „Wycofanie się ze świata fizycznego do schronienia jest echem solipsystycznej ucieczki (być może artysty) w zakamarki umysłu, tylko po to, by odkryć, że nie jest to ucieczka w zacisze, ponieważ sama świadomość jest skonfliktowanym, walczącym bytem, a nie spokojną, spójną jednią, a więc schronieniem, azylem – to ulubiony paradoks Becketta, ponieważ słowo to kojarzy się zarówno z bezpiecznym schronieniem, jak i uwięzieniem, zamknięciem" – stwierdza Gontarski. Lęka się rzeczywistego końca, ale czy nie większy jest strach, że to, co „wydaje się końcem, może oznaczać jedynie nowy początek". Pojawia się pytanie: czy jestem religijny? Czy rzeczywi*ście jestem* chrześcijaninem? Zbawienie mnie czeka czy potępienie? – tak jak tych dwóch łotrów po obu stronach Chrystusa.

Ostatnia taśma. Na scenie ogólna sytuacja: Krapp, stół, krzesło, lampa, magnetofon, taśmy, księga i strefa ciemności za kulisami. Jak zwykle: mieszanka komizmu i tragedii. To, co odrzucone i to, co jednak nie zostało dokonane: jego *opus… magnum*. Za pomocą taśm z przeszłości pokazuje warstwy osobowości bohatera, jego ogólnie mówiąc dwie natury i niezmierną głupotę, jak to ocenia z perspektywy kończącego się życia. Napięcia kartezjańskiego dualizmu: z nich jest zbudowana jego sytuacja i on sam, dodając do poprzednich: przeszłość – teraźniejszość, erotyzm – wstrzemięźliwość, pisanie – niepisanie, spełnienie – niespełnienie, rozum – emocje, mądrość – pragnienia, złudzenia – prawda, chaos – porządek, ironia – tragedia, świat zewnętrzny – świat wewnętrzny, ciało – duch, głos – cisza, ruch – bezruch, rzeczywistość – nierzeczywistość, pustka – pełnia.

Szczęśliwe dni. Tu znowu ważna rola języka: długi monolog Winnie. Gontarski mówi: „Beckett uważa język za martwy nawyk. […] Zdania kończą się zaprzeczeniem twierdzeniom, od których się rozpoczęły. Odpowiedzią na pytanie jest pytanie. Pełno tu językowych nieporozumień, sprzeczności, powtórzeń i tautologii. Składnia jest często składnią nonsensu, zgodna z gramatyką absurdu. A cisza, dosłowna cisza, wdziera się w komunikację między ludźmi". Dwie natury w człowieku (tak zwana druga natura) i ich działanie lub niedziałanie, poprzestawanie na fasadzie. Winnie, wypowiadając w kółko swoje banały, frazesy, cytaty i parafrazy, oswaja dotkliwą rzeczywistość, ale też nieznane i nienazwane: pustkę kosmosu, równie dotkliwą jak otaczająca ją tu, na ziemi, rzeczywistość.

Napięcia: cierpienia i nuda przyzwyczajenia, rytuały i nicość. Unika (jak większość?) konfrontacji z rdzeniem własnego „ja" lub z jego podwójnością, dualizmem: zajmuje się swoimi małymi sprawami i jakby pozbawioną sensu codzienną paplaniną. Ale tragedia i tak postępuje: w drugim akcie znika Willie, a ona tkwi zakopana w ziemi już po szyję. Jest w śmiertelnym zagrożeniu, ale ma słowa i nadzieję, a może wiarę, bo codziennie się modli. Jakby pytała: czym jest spełnienie? Odpowiedź znajduje się w młodzieńczym eseju o Prouście. „W swojej biografii Winnie wycofuje się w słowa, mówi Gontarski, lub ukrywa się za nimi". Ale czy to Bóg zawodzi i słowa, czy jednak człowiek, jego małość i słabość? Tak, nic nie jest tak tragiczne jak szczęście, ukazane z innej perspektywy.

Ciekawe są opisy wersji tych utworów z *Notatników* Becketta obszernie przytaczane przez Gontarskiego. Widzimy, jak autor oczyszcza, eliminuje, co niepotrzebne i zmierza do sedna, o ile jest to możliwe – dla niego i dla nas. Pokazuje okoliczności i postawy wobec nich. Sama ironia tu na pewno nie wystarcza. Ale jakie ma się możliwości? Przekroczyć ją? Jak? I w jakim kierunku iść? Dokąd i do kogo? On jednak pod to podprowadza. Jest to kierunek wiary – nie ma żadnego innego sensownego (patrz: uwagi do poprzednich sztuk). Widać to w kolejnych wersjach i redukcjach. Jest się w Piekle lub w Raju albo tkwi się w Czyśćcu – nie ma innej możliwości. To się miesza i zmazuje, ucieka się od tego i ciągle za tym się tęskni, nawet nieświadomie czy podświadomie. Drogi prowadzą do Dantego i Biblii – do chrześcijaństwa. Winnie codziennie się modli, tak jak Vladimir i Estragon codziennie czekają na przyjście Godota (rodzaj Paruzji), a Hamm chce wydobyć się z czyśćca, który już mu przeszkadza, ma go dosyć. W *Szczęśliwych dniach* słyszymy echo Koheleta: „Pieśń musi płynąć z serca", mówi Winnie. Paradoksy zastoju i entropii, stwierdza Gontarski, zostają wzmocnione. A więc potrzebny, wręcz konieczny jest ruch naprzód – rozwój – przemiana. Widzimy aluzje do Shakespeare'a, Yeatsa, Virginii Woolf, Miltona, Browninga, Keatsa, Wolfe'a i innych, istny rój, a nad nimi, jak korona czy sklepienie, odwołania do Starego i Nowego Przymierza. Zbliżamy się tu do siebie. Mozaika (stop) i istniejący w niej duch: miłość; łaska; litość; zmiłowanie się; przebaczenie; dobrodziejstwo; odwdzięczenie się; podziękowanie stają się jakby głównym słowem tego dzieła, jednego z największych w tej dziwnej i pokiereszowanej literaturze XX wieku.

I jeszcze krótkie utwory dramatyczne, wystawiane po kilka razem lub osobno, co może dawać ciekawe, a nawet zaskakujące rezultaty, w ich niezwykłej sile i kondensacji. Jest w nich to wszystko, co w poprzednich, ale jakby w większym napięciu lub redukcji. Czyste i surowe obrazy bez ozdobników, prawie bezpośrednio wyrażone figury, dźwięki, muzyka, skecze, pantomima, głosy i milczenie, stupor, napięcie, pojedynczość, podwójność i potrójność, samotność i towarzystwo, improwizacje i nieimprowizacje, harmonie i dysharmonie, miłość i śmierć, opętanie i apatia, logoree i blokady, duchy i materia, wiara,

niewiara i pragnienie wiary. I tak jak poprzednio pełno odniesień i aluzji bezpośrednich i niebezpośrednich do dzieł literackich i przede wszystkim Biblii. *Akty bez słów*; *Fragmenty dramatyczne*; *Cascando*; *Co gdzie*; *Ej, Joe*; *…jak obłoki…*; *Katastrofa*; *Kołysanka*; *Komedia*; *Kroki*; *Którzy upadają*; *Nie ja*; *Oddech*; *Partia solowa*; *Popioły*; *Przychodzić i odchodzić*; *Słowa i muzyka*; *Trio widm*; *Wtedy gdy* i inne – już same tytuły wiele mówią. Tu także widzimy poprawki i warianty, zmiany, a nawet radykalne rewizje całości, które kształtowały się w ogniu prób. Eliminowanie akcji, ruchu, przyczynowości, zrozumienia, a w końcu słów – patrz *Oddech*, działanie jakby przeciw tekstowi, czyli redukowanie literatury, oczyszczanie jej i siebie, aby pójść dalej, niczym w kręgach Dantego, jego mistrza. Już nie tyle głosy *ego*, co głosy obce, dochodzące jakby spoza jaźni i uzupełniające te jego istoty niepełne – do wypełnienia ich braku, drogi, poszukiwania, potrzeb. Metaliteratura, właściwie metafizyka i błyski mistyki, aż do pamiętnego ostatniego wiersza *Jak to powiedzieć*.

Reżyserując swoje sztuki, uważał je za stworzone przez kogoś innego: on i on-inny, ktoś inny, nie-on – udoskonalony, zmieniony, przemieniony, oczyszczony, zredukowany i zwielokrotniony. Sam to sobie przepowiedział, w eseju *Proust* w 1931 roku. Medium poruszające się po scenie i używające słów. Do muzyki i poezji. Wycofywał się, ogołocony w końcu prawie aż nie do istnienia i oczekujący na istnienie nowe, decydujący znak. Tak jak Nikt – jakby schowany za tym imieniem. W jego notatkach „ruch odzwierciedlał inny ruch, postawa odzwierciedlała inną postawę, gesty odzwierciedlały inne gesty, dźwięki były echem innych dźwięków. Akcję *Końcówki* w jego *Notatkach* wypełniają koła, łuki i krzyże – „od rund Hamma po mentalny spacer Clova. Językowym odpowiednikiem takiego wzorca jest przeróbka fraz w celu wprowadzenia efektu echa" – zauważa Gontarski.

Już nie ja, ale: nie ja i na to miejsce w nim, czy we mnie – on, a na końcu, w ostatecznym efekcie On. W sieci sprzeczności i przeciwieństw. W dole, w pułapce i w górze, w obłokach i wyżej. Wyzwolony. W tej ziemskiej i pozaziemskiej sieci.

Jak Kohelet, mówi: „Marność nad marnościami…" i powtarza to w różnych miejscach i kontekstach, ale na końcu stwierdza: „Boga się bój".

To inny głos, z zewnątrz lub dopisek uczyniony inną ręką, ale przecież na tamtej kanwie, ściśle z nią łączący się i tak zostaje, w połączeniu, już nie do rozdzielenia; podobnie jest u Miłosza.

Stanley E. Gontarski, *Beckett. Przewodnik*, tłumaczenie Piotr Szymor, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024

Krzysztof Myszkowski

Okiem Skorpiona

Nigdy bym się nie ożenił z Marią Konopnicką

…a więc Magdalena Grzebałkowska napisała kolejną książkę „taką jak trzeba". Ta

utalentowana reporterka historyczna chce zawsze być na fali i płynąć z głównym nurtem, nigdy pod włos, bo i po co, więc znowu się udało. Brawo! Jak zapragnęła, zbiera oklaski. Zachęca nas ona w swoim dziele, byśmy się zachwycili trudną, bezkompromisową biografią poetki z wieku XIX, która sporo miała na sumieniu, ale – co Konopnicką w zasadzie rozgrzesza – w opresyjnym systemie patriarchalnym umiała sobie jakoś poradzić, bo asertywnie i heroicznie dążyła – a jakże! – do intelektualno-społecznej samorealizacji, na którą nie pozwalał jej nikczemny system, ale – nic to! – że mocno się postarała, sukces osiągnęła. Prawdziwą była freelancerką, forsy jej brakowało, jako kobieta miała gorzej, z konwenansami się szarpała, ale w końcu wdrapała się wysoko. Grzebałkowska nie kryje, że cena tego sukcesu była spora.

Obraz Konopnickiej w jej książce malowany jest wedle wszystkich bieżących stereotypów liberalno-feministycznych i nic dziwnego, że są tacy, co zachwycają się, że Konopnicka, powszechnie znana jako patriotyczno-prawicowa ciotka polskiej literatury, w rzeczywistości ostra była jak papryka turecka, bo na przykład nieźle dokopywała Kościołowi, za co Kościół podły zmusił ją do upokarzającej spowiedzi u karmelitów. Pięknie! A jeszcze wcześniej mamy stereotyp patriarchalnego męża – wiecznego utracjusza, z którym zderzyły się rozbudzone „książkami ze strychu" aspiracje młodej Marii Wasiłowskiej, z którą, rzecz jasna, my, czytelnicy, od samego początku się solidaryzujemy. Mówiąc dzisiejszą liberalno-feministyczną gwarą – biedna dziewczyna spotkała się z niezrozumieniem ze strony przedstawiciela patriarchatu i ówczesnego systemu wychowawczego, bo miała wysokie intelektualne ambicje i stąd miała wyniknąć jej katastrofa małżeńska.

Gdyby Magdalena Grzebałkowska była naprawdę pisarką odważną, napisałaby, że prawdziwą katastrofą było to, że młodziutka kobieta o skłonnościach lesbijskich wyszła za mąż za mężczyznę, i to dużo starszego, co musiało się skończyć co najmniej silnym intymnym urazem o gorzkich konsekwencjach, nawet jeśli była w nim podobno początkowo zakochana. Zamiast tego mamy stereotypowy obrazek konfliktu wiejskiego szlachciury-utracjusza z emancypującą się Polką ze sfer szlacheckich, bo to pasuje jak ulał do wymagań naszego obecnego czasu. Ach, jakaż ta Konopnicka była współczesna! No, po prostu czytała co miesiąc „Wysokie Obcasy". Czytelniczki z Wilanowa dostają to, czego chciały, w nadmiarze. „My także jesteśmy deprecjonowane przez patriarchat, który rzuca nam kłody pod nogi! A ona – taka prześladowana, ale walcząca – zupełnie jak my!" Potem już mamy w opowieści Grzebałkowskiej całą epopeję zdarzeń wedle stereotypu walki dzielnej – chociaż nie do końca konsekwentnej – emancypantki z systemem patriarchalnym. Raz zwycięstwa, a raz klęski. Raz dobro, raz zło. Raz w górę, raz w dół.

Grzebałkowska nie kryje, że Konopnicka zmarnowała swoje dzieci, ale nie jest w stanie powiedzieć, że być może te dzieci miałyby sto razy lepiej niż z narwa-

ną matką, gdyby – może z wyjątkiem córki Heleny – zostały na wsi z ojcem, który być może by ich tak nie zmarnował jak sławna poetka. O, to byłoby ciekawe, gdyby Grzebałkowska zdobyła się na proste stwierdzenie, że Maria Wasiłowska była prawdziwym nieszczęściem dla tego nieszczęsnego mężczyzny, ale wtedy trzeba by wyjść poza aktualnie biorące stereotypy, tylko właściwie po co wychodzić, skoro to się dzisiaj zupełnie nie opłaca? W takim ujęciu nieszczęściem Konopnickiej nie byłby wtedy żaden konflikt emancypacyjny, na który wszyscy dziś czekają, tylko lesbijska niechęć do męża, która obudziła się, z dalszymi konsekwencjami, w młodej małżonce. Okropne musiałoby być to płodzenie przy antymęskiej awersji gromadki Bogu ducha winnych dzieci, które by znacznie lepiej wyszły na tym, gdyby urodziły się w innej rodzinie. Ale cóż, taką matkę miały, jaką miały. Oczywiście smutek i rozpacz ojca, któremu emancypacyjna heroina zabrała dzieci, nie interesuje Grzebałkowskiej zupełnie. Miałaby jeszcze taką sprawą głowę sobie zawracać? Podły macho-słabeusz powinien pocierpieć za grzechy systemu patriarchalnego jako jego nikczemny reprezentant, bo system – jak wszyscy wiemy – jest ciągle taki sam jak wtedy, a jak ktoś powie, że nie jest taki sam, to go w mordę. Opieka nad dziećmi – wie to dzisiaj każdy sąd – należy się kobiecie bez względu na okoliczności. Patriarchalni ojcowie na śmietnik! Niech zginą i przepadną!

O, to byłoby prawdziwie ciekawe, gdyby Grzebałkowska wczuła się w lesbijską psychikę swojej heroiny i opisała, jak mogłyby wyglądać kolejne seksualne zbliżenia nieszczęsnej Marii z wsiowym mężem-utracjuszem, który ją zapładniał wiele razy i to jeszcze w połogu. O, to byłoby dopiero prawdziwie odważne, bo rozwścieczyłoby spragnione czytelniczki, które takich obrazków wcale nie pragną. Ale wtedy by pisarka-reporterka dotknęła bolesnego rdzenia strasznego życia, jakie miała Konopnicka. Bo na spełnienie nadziei lesbijskiej w miłosnym związku z kobietą odważyła się dopiero długo, długo potem, więc początki budzenia się samoświadomości lesbijskiej w szlacheckiej pościeli nieświeżego męża mogły być pasjonująco okropne i literacko trudne do opisania – jako zadanie pisarskie. Zamiast tego Grzebałkowska, żeby zrozumieć Konopnicką, chodziła podobno w dziewiętnastowiecznym gorsecie i sukni oraz zapoznawała się z dziewiętnastowieczną sztuką sikania. Podobno dlatego, że chciała zamanifestować, że związki jednopłciowe uważa za coś najzwyklejszego w świecie, więc nie należy się w ich psychologii babrać, bo wszelkie rozmyślania nad psychologicznym fenomenem miłości jednopłciowej stanowią żałosny objaw patriarchalnego wścibstwa i szukania taniej sensacji, albo czegoś jeszcze gorszego.

Miarą wartości kobiety jest jej stosunek do dzieci, jeśli już ona te dzieci ma. Stosunek Konopnickiej do istot, które sama zmusiła do przebywania na ziemskim padole, był okropny. I nic jej nie rozgrzesza, nawet jeśli mąż ją zapładniał przemocą, bo i to mogło się zdarzyć. Żaden kultu-

rowy rachunek. Że to niby ona musiała być „bezkompromisowa" w swoim chwalebnym dążeniu do samorealizacji, żeby w tamtych fatalnych dla kobiet czasach wspiąć się na szczyty literatury polskiej i własnego samospełnienia? Niestety, wartość *Naszej szkapy* i *Sierotki Marysi*, a nawet *Roty*, nie przewyższa tragedii dzieci, które miały taką matkę. Za samo wsadzenie córki do psychiatryka Maria Konopnicka jest zdyskwalifikowana na wieki. Nawet jeśli miała ADHD. A jej córka była nieznośną wariatką. To było jej dziecko. I żadne sukcesy literackie tego nie zmażą. Boże, strzeż nas przed takimi matkami. Ale słyszymy, że autorka *Dezorientacji,* pisząc swoją książkę, wzbraniała się przed paskudnym stereotypem „złej matki". Brawo! Precz ze stereotypami! Dużo lepiej Konopnicką nazwać „matką niefajną". I sprawa załatwiona.

Że mamy się zachwycać taką „trudną, ale zwycięską kobietą", której życie zakłamywano przez dziesięciolecia, a teraz nareszcie w całej pełni odsłonięto? Wczoraj byliśmy na przyjęciu w L. Przy długim stole dwanaście osób, sześć kobiet. Część z nich przeczytała Grzebałkowską i ostro ją chwaliła. Jak? Dokładnie wedle smakowitego stereotypu. Oto nareszcie ktoś pokazał prawdziwą Konopnicką, która mocno dokopywała nie tylko Kościołowi, lecz dawała popalić i nikczemnym pisowcom, a nie tylko napisała *Sierotkę Marysię*. Alleluja i do przodu!

Na co ja: „Nigdy bym się z kobietą taką jak Konopnicka nie ożenił". Joanna P. rzuciła w moją stronę: „Ona z tobą pewnie też nie". „Na całe szczęście" – odrzuciłem z ulgą, sięgając po kawałek bezowego tortu, który ozdabiał zasłany obrusem stół.

Magdalena Grzebałkowska, *Dezorientacje. Biografia Marii Konopnickiej*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

w salonach Empik
i na legimi.pl

kwartalnik.art.pl

Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

N O T Y O A U T O R A C H

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował m.in. *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2023) oraz *Lekcję poezji dla zaawansowanych* (2023). Mieszka w Olsztynie.

NADINE CELOTTI, ur. we Francji, emerytowana profesor języka francuskiego na wydziale translatologii (Scuola per Interpreti) Uniwersytetu w Trieście. Wykładała język francuski, historię przekładu, podstawy teoretyczne translatologii i przekład włosko-francuski. Autorka publikacji w tych dziedzinach, „zawsze zaangażowana w transformację społeczeństw, pragnie zrozumieć świat poprzez języki, lubi obserwować, słuchać, komunikować i dzielić się emocjami i myślami". (M.K.)

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *m.in. Dziennik życia we dwoje* (2024) oraz *Mój Gdańsk* (2024) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny" 2010, nr 3; 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

ZBIGNIEW DMITROCA, ur. w 1962 roku w Michałówce, autor wierszy, tłumacz, bajkopisarz; ostatnio opublikował m.in. *Lekcje (nie)obecności* (2023). Mieszka w Lublinie.

LILIAN FASCHINGER, ur. w 1950 roku w Koryntii. Po doktoracie, nauczała w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu w Grazu, tłumaczyła teksty m.in. Gertrudy Stein, Janet Frame, Johna Banville'a, Paula Bowlesa, a od 1992 roku poświęciła się twórczości literackiej. Autorka powieści i opowiadań, m.in. *Wiener Passion (Pasje wiedeńskie)*, *Stadt de Verlierer (Miasto przegranych)*, *Magdalena Sünderin (Magdalena grzesznica)*. Ta ostatnia powieść, przetłumaczona na siedemnaście języków, zapewniła jej międzynarodową renomę (polskie wydanie w oficynie Noir sur Blanc, 1998). Wykładała m.in. w Darmouth College, New York University, Uniwersytecie w Amsterdamie. Mieszka w Wiedniu. (M.K.)

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wariacje faustyczne* (2023) oraz *Świat i głosy niedosłyszane* (2024). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

SAMANTHA KITSCH, rok i miejsce urodzenia – autorka nie podaje, zajęcie – autorka nie podaje; ostatnio opublikowała tomiki *Jojjo* (2022) i *Szybkie szkice z szopem* (2024). Miejsce zamieszkania – autorka nie podaje.

KRZYSZTOF LISOWSKI, ur. w 1954 roku w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; ostatnio opublikował tom wierszy *Trzeba czasu* (2024) oraz tom rozmów z Kazimierzem Orłosiem *Rozmowy o ludziach i pisaniu* (2024). Mieszka w Krakowie.

PAWEŁ MADEJ, ur. w 1967 roku w Jaśle, archeolog; jego zainteresowania naukowe skoncentrowane są na epoce brązu w strefie karpackiej. Mieszka w Krakowie.

PAWEŁ MOSSAKOWSKI, ur. w 1956 roku w Warszawie, dramaturg, autor słuchowisk i opowiadań, krytyk filmowy; ostatnio opublikował tomik słuchowisk *Amerykański wspólnik, czyli komedia romantyczna* (2023). Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka m.in. w Toruniu.

ALEKSANDRA NOSALSKA, ur. w 1986 roku w Krakowie; absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka pracy doktorskiej o architekturze Włodzimierza Gruszczyńskiego. Mieszka w Krakowie.

ANNA PIWKOWSKA, ur. w 1963 roku w Pruszkowie, poetka i eseistka; ostatnio opublikowała *Piękno i piekło. Opowieść o Beacie Obertyńskiej* (2021) oraz tomik *Furtianie* (2022). Mieszka w Warszawie.

ALESSANDRO ROSADA, ur. w 1957 roku w Trieście, właściciel Galleria Torbandena. Koncentruje się na artystach z północnych Włoch i Europy Środkowo-Wschodniej. Jako pierwszy we Włoszech pokazał dzieła Gao Xingijan. Publikuje także wiersze, większość jego tomików ilustrował Oreste Zevola. (A.N.)

CARL SANDBURG (1878–1967), amerykański poeta i prozaik, często porównywany do Walta Whitmana, reprezentant tzw. chicagowskiego renesansu (1912–1925), dwukrotny laureat Nagrody Pulitzera: za *Complete Poems* (1950) i monumentalną biografię Abrahama Lincolna. Również autor popularnych książek dla dzieci i autobiografii. (A.SZ.)

IVANA SOBAN, ur. w 1985 roku w Trieście; kieruje działem młodzieżowym Słoweńskiej Biblioteki Narodowej i Naukowej. Z wykształcenia literaturoznawczyni i polonistka, studiowała na Uniwersytecie w Lublanie i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Współpracuje z wydawanym w Trieście słoweńskim czasopismem literackim dla dzieci „Galeb" („Mewa"). Mieszka tuż przy granicy po słoweńskiej stronie i prowadzi pół życia w jednym, a pół w drugim kraju. (M.K.)

PIOTR SOBOLCZYK, ur. w 1980 roku w Lublinie, autor wierszy, prozaik, badacz i krytyk literatury; pracownik IBL PAN; ostatnio opublikował *Obstrukcję insługi* (2022) oraz *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował tomiki poetyckie *Sekretne przejścia* (2023) oraz *Zielony anioł i inne oktostychy* (2023). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZLOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czyśćcu* (2022). Mieszka w Berlinie.

BELLA SZWARCMAN-CZARNOTA, ur. w 1945 roku w Ferganie, pisarka, tłumaczka; ostatnio opublikowała przekład Lameda Szapiro *Wylej swój gniew* (2023).

ADRIANA SZYMAŃSKA, ur. w 1943 roku w Toruniu, poetka, eseistka, krytyk literacki, tłumaczka; ostatnio opublikowała tom poetycki *Zeszyt istnienia* (2025) oraz zbiór szkiców o poezji *Głód życia, głód wieczności* (2025). Mieszka w Pułtusku.

PAWEŁ TAŃSKI, ur. w 1974 roku w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował tomiki *Going inside* (2021) oraz *Głosy i performanse tekstów. Literatura – piosenki – ciało* (2021). Mieszka w Toruniu.

MARTA TOMCZOK, ur. w 1980 roku w Knurowie, literaturoznawczyni, profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio wespół z Piotrem Mitznerem opublikowała zbiór tekstów Krystiany Robb-Narbutt *Cień dotyka mnie: wiersze i proza* (2023). Mieszka w Katowicach.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. w 1948 roku w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnikach.

Biblioteka Kwartalnika Artystycznego

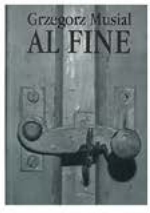

Grzegorz Musiał
Al fine
1997, nakład wyczerpany

Michał Głowiński
Czarne sezony
1998, cena 20 zł

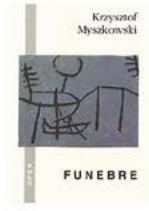

Krzysztof Myszkowski
Funebre
1998, cena 20 zł

Piotr Matywiecki
Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa
1998, cena 20 zł

Mirosław Dzień
Cierpliwość
1998, nakład wyczerpany

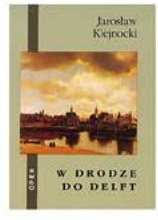

Jarosław Klejnocki
W drodze do Delft
1998, nakład wyczerpany

Bożena Keff
Nie jest gotowy
2000, nakład wyczerpany

Grzegorz Musiał
Dziennik z Iowa
2000, cena 20 zł

Janina Kościałkowska
Bih me!
2000, nakład wyczerpany

Maria Danilewicz Zielińska
Biurko Konopnickiej
2000, cena 20 zł

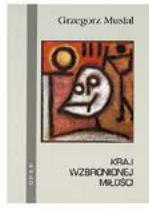

Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
2001, nakład wyczerpany

Jerzy Andrzejewski
Dziennik paryski
2002, nakład wyczerpany

Tadeusz Nowakowski
Obóz wszystkich świętych
2003, nakład wyczerpany

Mieczysław Orski
Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji
2002, nakład wyczerpany

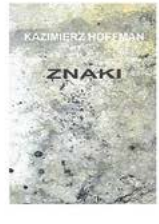

Kazimierz Hoffman
Znaki
2008, nakład wyczerpany

Krzysztof Myszkowski
Addenda
2017, cena 30 zł

Krzysztof Myszkowski
Puste miejsce
2018, cena 35 zł

Krzysztof Myszkowski
W rozmowie
2018, cena 25 zł

Krzysztof Myszkowski
Punkt wyjścia
2019, cena 40 zł

Marek Kędzierski
Krzysztof Myszkowski
Pułapka Becketta
2020, cena 35 zł

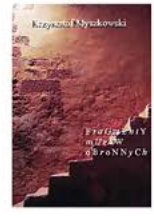

Krzysztof Myszkowski
Fragmenty murów obronnych
2021, cena 35 zł

Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego"

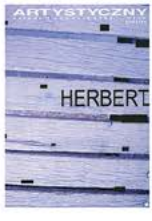

Zbigniew Herbert
2008, nr 2 (58)
nakład wyczerpany

Marek Kędzierski, Piotr Dżumała
Rue Samuel Beckett: Barbara Bray
2015, nr 4 (88)
cena 12 zł

Czesław Miłosz
2011, nr 2 (70)
cena 12 zł

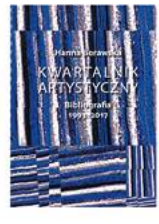

Hanna Borawska
Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017
2017, nr 4 (96)
cena 12 zł

Marek Kędzierski
Giacometti
2013, nr 4 (80)
cena 12 zł

Prenumerata

kraj i zagranica

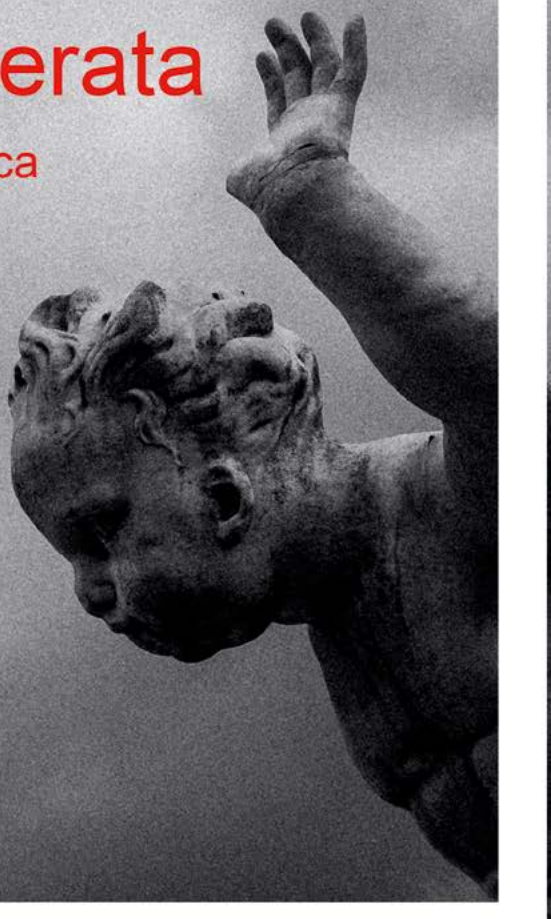

Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl

Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2025:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego":

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł + koszt wysyłki Pocztą Polską
  (list ekonomiczny – 8 zł; paczka krajowa – 17 zł)
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny"

Autorką obrazu na stronie 68 jest Živa Pahor. Ilustracja pochodzi z książki Eveliny Umek, *Malka gre v Trst*, Wydawnictwo Mladika, Triest 2004.

Rysunek Oreste Zevola na stronie 76 pochodzi z książki *The Best of All Worlds*, poems by Alessandro Rosada, drawings by Oreste Zevola, Negative Capability Press, Mobile, AL 2021.

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Zdjęcie na okładce: Artur Szlosarek

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Karol Cyranowicz

Druk i oprawa:

Machina Druku Sp. z o.o.
ul. Kociewska 26f
87-100 Toruń
www.machinadruku.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

KUJAWY POMORZE

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I Ą Ż K I

Biuro Literackie

Bohdan Zadura, *Zmiana czasu*, Kołobrzeg 2024

Serhij Żadan, *Skrypnykówka*, przekład Bohdan Zadura, Kołobrzeg 2025

Państwowy Instytut Wydawniczy

Władysław Czapliński, *Dziennik 1958–1981*, Warszawa 2024

Maciej Papieski, *Halkionia*, Warszawa 2025

Lola Szereszewska, *Wiersze zebrane*, Warszawa 2025

Adriana Szymańska, *Głód życia, głód wieczności. Szkice o poezji*, Warszawa 2025

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury

Jerzy Ficowski, *Lewe strony widoków, tomy 1–2*, wybór i opracowanie Piotr Sommer, Poznań 2024

Jerzy Ficowski, *Niepamiętnik, czyli podróż do Gorczakowa i jeszcze dawniej*, Poznań 2024

Jindřich Štyrský, *Wiersze i sny*, wybór, przekład i posłowie Anna Wanik, seria Biblioteka Poezji Współczesnej, Poznań 2025

Wydawnictwo ArtRage

Robert W. Chambers, *Król w Żółci*, przekład Tomasz S. Gałązka, Warszawa 2025

Wydawnictwo Austeria

Krzysztof Budziakowski, *A jeśli ja już nie żyję?*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2025

Agnieszka Żuławska-Umeda, *Niedokończony rysunek tuszem w poezji polskiej*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2025

Wydawnictwo Forma

Henryk Bereza, *Epistoły 2*, Szczecin-Bezrzecze 2024

Anna Frajlich, *Odrastamy od drzewa*, Szczecin-Bezrzecze 2024

Wydawnictwo Literackie

Beata Guczalska, *Konrad Swinarski. Biografia ukryta*, Kraków 2024

Jonathan Littell, Antoine d'Agata, *Kłopotliwe miejsce*, przekład Jacek Giszczak, Kraków 2025

Wydawnictwo MG

Zofia Nałkowska, *Granica*, Kraków 2025

Maria Rodziewiczówna, *Błękitni*, Kraków 2025

Wydawnictwo Pogranicze

Irena Grudzińska-Gross, *Miłosz i długi cień wojny*, wydanie II rozszerzone, Sejny 2024

Wydawnictwo Warstwy

Julia Fiedorczuk, *Glif*, Wrocław 2024

Wydawnictwo Więź

Zbigniew Herbert, *„Węzeł gordyjski" oraz inne pisma rozproszone 1948–1998*, tomy 1–3, zebrał, przedmową i notami opatrzył Paweł Kądziela, Warszawa 2024

Wydawnictwo Znak

Marta Byczkowska-Nowak, *Nieocalony. Tadeusz Borowski. Biografia*, Kraków 2024

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, *Przeszłość zagrania swoje piękne dzieci*, Kraków 2024